

# HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

WRZESIEŃ 2014/4

GOŚĆ SPECJALNY:

LUKASZ  
RADECKI



www.magazynhisteria.pl

CIUCH-CIUCH-CIUCH | CZARNA WÓDKA  
EKSPEDYCJA | JA, STRÓŻ | KOMPOST  
MALI POWSTAŃCY | METAMORPHOSIS  
ORATORIUM | TUŻ OBOK PIEKŁA | ZAPISANE

# SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryka		4
CIUCH-CIUCH-CIUCH	Dominik Derkacz	5
CZARNA WÓDKA	Antoni Nowakowski	15
EKSPEDYCJA	Arianne	34
JA, STRÓŻ	Norbert Góra	42
KOMPOST	Adrian Zwoliński	52
MALI POWSTAŃCY	Agnieszka Kwiatkowska	58
METAMORPHOSIS	Kornel Mikołajczyk	64
ORATORIUM	Przemysław Karbowski	77
TUŻ OBOK PIEKŁA	Łukasz Radecki	86
ZAPISANE	Piotr Borowiec	92
Strach tnie głębiej	Arkadiusz Mielczarek	107

**Redakcja:** Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

**Projekt okładki i skład:** Roman Panasiuk

**Ilustracje:** Roman Panasiuk

**Korekta:** Dagmara Adwentowska

email: [magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)



Witajcie!

Przed Wami czwarty numer „Histerii”. Z dumą możemy stwierdzić, że jest to prawdopodobnie najlepszy zbiór opowiadań, jaki dotychczas udało nam się wydać.

Wybierając teksty do wrześniowego numeru mieliśmy nie lada problem. Decydując się na jedno, z bólem serca musieliśmy odrzucić inne... Cieszymy się, że tak wielu utalentowanych autorów zdecydowało się przesłać owoce swojej pracy twórczej do „Histerii”.

Tematyka przeróżna. Znajdziecie tu rytuały satanistyczne, akty kanibalizmu i wątki historyczne. Mamy też coś dla miłośników horroru kolejowego spod znaku twórczości Stefana Grabińskiego.

Gościem specjalnym czwartego numeru jest Łukasz Radecki, autor cyklu „Bóg Horror Ojczyzna” i współautor zbiorów opowiadań: „Lek na lęk” i „Pradawne zło”. Napisał on dla nas specjalne opowiadanie „Tuż obok piekła”, które nie było dotąd publikowane. Bardzo się cieszymy, że odpowiedział pozytywnie na nasze zaproszenie, przyczyniając się do promocji grozy w Polsce.

Wrześniowa „Histeria” to jednak nie tylko opowiadania i niepokojące ilustracje. Zanim pochłonie Was dziesięć przerażających, a czasem smutnych historii, proponujemy przeczytać wywiad z Przemysławem Karbowskiem, którego „Pamiętka z tuberkulozy” w drodze głosowania została uznana za najlepszy tekst poprzedniego numeru.

Na deser zaś polecamy artykuł „Strach tnie głębiej”. O tym, jak tworzyć grozę, dowiemy się od jego autora – Arkadiusza „Armiela” Mielczarka, twórcy „Aphalonu. Świata Księżycowego Ostrza”, jednej z pierwszych polskich gier rpg, związanego od kilku lat z forum Lastinn.info, gdzie prowadzi liczne sesje w klimatach grozy i horroru.

Zapraszamy i polecamy,  
Histeryczna Redakcja



# WYZNANIA **HISTERYKA**



**Przemysław  
Karbowski**

*Na co dzień jestem operatorem maszyn i urządzeń w branży przyprawowej, nadętym bucem i abnegatem. W czasach dawnych skończyłem filozofię, czym chwalić się nie wypada, ale poinformować można. Znam się na futbolu, z historii mam stopień dyletanta-amatora, właśnie zostałem historykiem, choć niektórzy twierdzą, że byłem nim wcześniej... Kłamię...*

*Pozdrawiam Czytelników*

## **Skąd pomysł na „Pamiętkę z gruźlicy”?**

Z potrzeby ordynarnego lansu na gruźlicę, czego jeszcze w XXI wieku nie było, jestem pierwszy! (śmiech). A poważniej: ze zbyt dużej wiedzy w temacie funkcjonowania szpitali przeciwgruźliczych, którą, niestety, dysponuję. Jako piszący potraktowałem opowiadanie w kategoriach „obyczajowo-fantastycznych”, ale ktoś mi powiedział: „toż to, panie, groza!”. A jak groza, to uderzamy do „Histerii”...

## **Jak wyglądała praca nad tekstem?**

Usiadłem z kuflem piwa nad klawiaturą i czekałem na Muzę, ale szłała się chyba po sąsiednich powiatach. I, standardowo, okazało się, że siedziała, dowcipna, na dnie pustego kufła, tylko już nie pamiętam którego... Potem poszło gładko... Młodzież uprasza o to, by nie brała przykładu i potraktowała powyższe jako żart.

## **Skąd czerpiesz inspiracje do pisania?**

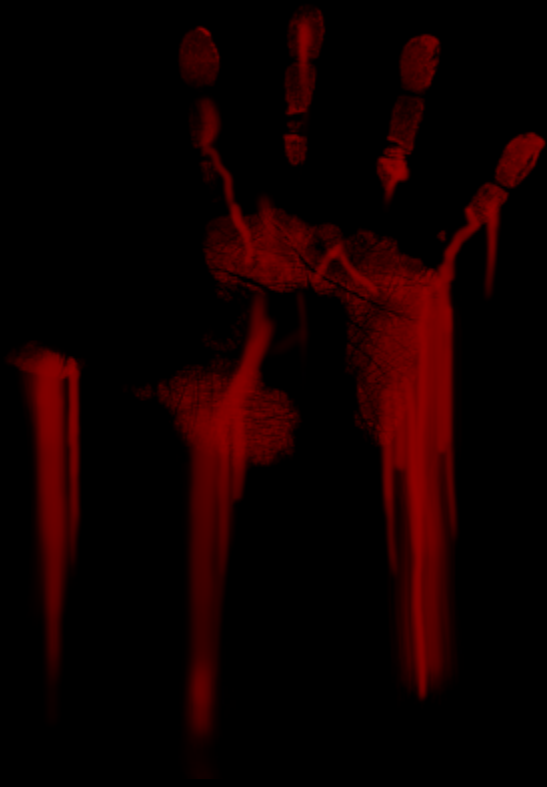
Pewnie z tego, co kiedyś czytałem, a potem zapomniałem i wydaje mi się, że jestem oryginalny... Z życia, bo bywa ciekawsze od literatury i z, wydawało by się, nieistotnych szczegółów, które mają to do siebie, że można na nich zbudować całą historię.

## **Pisanie to hobby czy coś więcej?**

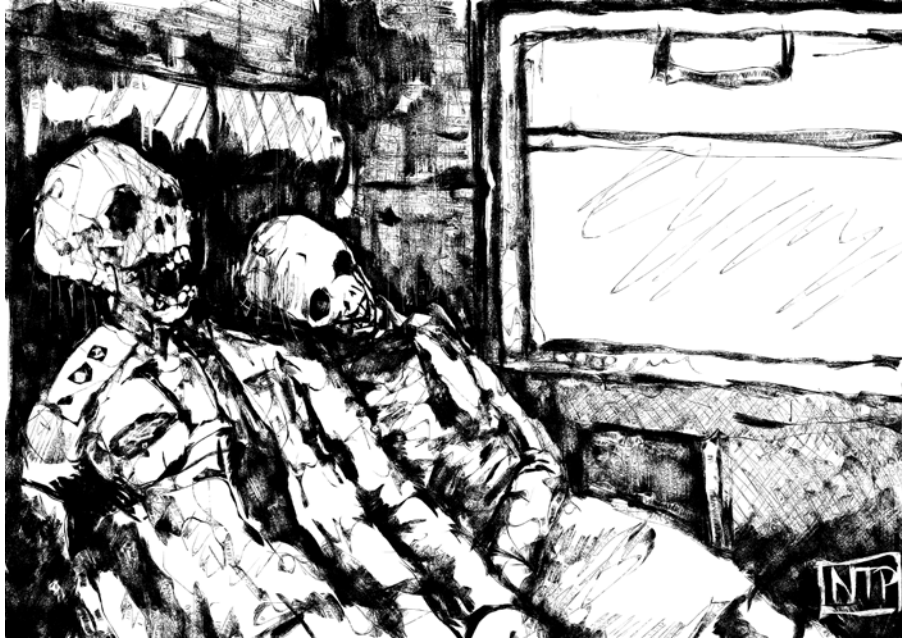
Raczej forma odreagowania. Jak się przez naście lat słucha przez osiem godzin ponad trzydziestu pięciu tysięcy taktów maszyny, to przychodzi taki moment, że albo kogoś zabijemy, albo wpadniemy w szpetne nałogi, albo coś napiszemy. To trzecie, wyszło mi, że jest najsensowniejsze.

## **Z czym kojarzy Ci się słowo histeria?**

Ja starszy człowiek, więc „histeria” kojarzy mi się głównie z dusznością maciczną. No i z historią, bo słowo podobne... I z moją Małżonką, która widząc, że waham się, czy spożyć produkt przeterminowany, mówi łagodnie: „histeryk...”.







# CIUCH-CIUCH-CIUCH

Dominik Derkacz

Koła pociągu turkotały wściekle, gdy mknął przez ziemie anektowane przez III Rzeszę w stronę Sopotu. Przedział restauracyjny, w całości zajęty przez esesmanów, wypełniały śmiechy. Było lato i urlop po ciężkiej pracy. A gdzie spędzić go lepiej niż nad morzem, wylegując się w słońcu? W końcu parę dni bez żadnych rozkazów, sabotażystów, Żydów, Polaków i smrodu śmierci, jeśli ktoś miał pecha pracować w obozie.

Hauptsturmführer Bruno Koppf miał to szczęście, że nie pracował w żadnym z nich, choć niewykluczone, że trafiło mu się gorzej. Pracował w wydziale do spraw bezpieczeństwa Generalnego Gubernatorstwa, a ponad sobą miał nikogo innego, jak Obergruppenführera Rudolfa Koehlera, słynącego ze swojej lodowatej perfekcji, bezwzględności i nierzadko brutalności. Bruna aż dreszcz przeszedł, gdy wspomniał tego ogromnego pięćdziesięciolatka z pedantycznie ułożonymi blond włosami i intensywnie niebieskimi oczami. Oczami, w które lepiej było nie patrzeć. No chyba, że chciało się poczuć jak zwykły robak.

Choć Koppfa czekało półtora tygodnia odpoczynku od tego typu, podróż nie sprawiała mu żadnej radości. Odkąd wsiadł do pociągu na Dworcu Głównym w Krakowie, jego humor momentalnie się pogorszył i naszły go niczym nieuzasadnione, złe przeczucia. Tym bardziej irracjonalne, że jako dziecko uwielbiał podróżować pociągami. *To pewnie przez stres*, usprawiedliwiał się. Ledwie wczoraj, na miłe rozpoczęcie urlopu, Koehler wrzeszczał na niego tak zawzięcie, że aż trząsał się ze złości. Bruno po tej awanturze nadal nie mógł dojść do siebie. A przecież niczym nie zawinił, przynajmniej tak jemu się zdawało. W takich chwilach szczerze żałował, że starał się o posadę za biurkiem. Myślał, że to przyjemna i bezstresowa praca. Że nie urobi sobie rąk po łokcie, jak chociażby w obozie. Mylił się. Już nawet na front wschodni mógłby wyruszyć, byleby uwolnić się od tego psychopaty, który rzekomo posuwa własną siostrę. Rzekomo. Bruno nie wiedział, kto zaczął rozsiewać tę plotkę, ale gdyby tylko Rudolf się o niej dowiedział... Aż strach pomyśleć, co mógłby zrobić.

Bruno jechał ze swoim przyjacielem – również kapitanem – Michaeliem Österem, a także dwoma kobietami, ich kochankami. Ani on, ani Michael nawet nie myśleli o małżeństwie. Mieli na to wystarczająco dużo czasu. Trzeba brać z życia pełnymi garściami, póki można.

Hauptsturmführer beznamiętnie patrzył na zmieniający się krajobraz za szybą, siedząc samotnie przy stole. Reszta korpusu młodszych oficerów okupowała bar wraz ze swoimi partnerkami, prowadząc ożywione konwersacje. Mądrzejsze bądź głupsze. Choć pora była popołudniowa, słońce zadawało się świecić mocniej niż rankiem. Kapitan z jednej strony starał się odciąć od otaczającej go kakofonii dźwięków. Z drugiej zaś, nie chciał zostać sam na sam ze swoimi myślami, bo wtedy wracał do wygrażającego mu Koehlera. *„Ty mnie lepiej nie doprowadzaj do ostateczności, Koppf!” Czy ostatecznością jest rozbicie głowy o mur, czy może jakieś wyszukane tortury?* – zastanawiał się Bruno, oczami wyobraźni widząc krew i kawałki mózgu wolno spływające po ścianie, a także swoją głowę, która tak właściwie głowy już nie przypominała. Mężczyznę wstrząsnął dreszcz. Nie chciało mu się podejść do roześmianego towarzystwa, więc zaczął mu się przysłuchiwać, nadal wyglądając przez okno. Jakiś kolejny kapitan, pracujący w Auschwitz, aktualnie wiódł prym, biadoląc o tym, jak trudna jest jego praca.

– Och, jak dużo obowiązków! A jakich ciężkich! Te wszystkie transporty Żydów! Nawet nie zdajecie sobie sprawy, ile to wszystko trwa. Rozładunek to jedno, ale trzeba jeszcze zrobić selekcję, część zagazować, a część odesłać do roboty. To zaledwie wierzchołek góry lodowej, ale nie będę was zanudzać. Powiem tylko tyle: ta praca kosztuje człowieka wiele zszarganych nerwów.

*O rany, jakiś ty biedny!* – zironizował Bruno. *Co ty, bęcwale, możesz wiedzieć o zszarganych nerwach?! Twoja praca to przyjemny, poranny spacer w lecie, w porównaniu z moją!* Koppf, tak mocno jak nigdy wcześniej, odczuwał niesprawiedliwość społeczną. Spojrzał na roześmianą gębę tego cwaniaka i aż mu się niedobrze zrobiło. *Karierowicz*, podsumował prychnięciem w swoich myślach. Po chwili do Bruna dosiadła się Ingrid – jego kochanka. Młodsza od niego kobieta o okrągłej, ładnej twarzy, pełnych ustach i miękkich, brązowych włosach. Koppf podejrzewał, że ma żydowskie korzenie, ale nie miał zamiaru tego sprawdzać. Spotykał się z nią od długich miesięcy i było mu dobrze. Mógł się użalać i narzekać ile wlezie, a ona zawsze go słuchała. A poza tym, romans oficera z Żydówką nie był niczym nowym.

– Dlaczego siedzisz tu sam? – Ingrid zapytała słodkim jak jej cipka głosem, kładąc dłoń na ramieniu Bruna i przybliżając się do niego. Mężczyzna oderwał się od oglądania widoków. Zwrócił głowę do kochanki, posyłając uśmiech zarezerwowany tylko dla niej.

– Myślę nad pewnymi sprawami – odpowiedział. – To nic ważnego.

Ingrid uśmiechnęła się do niego zalotnie, powoli gładząc jego dłoń palcami.

– Coś mi się zdaje, że potrzebujesz chwili zapomnienia – stwierdziła, na co Bruno odpowiedział mruknięciem i przygryzieniem dolnej wargi. Wstali od stolika. Koppf chwycił swoją kochankę za rękę i pociągnął w stronę następnego wagonu. Weszli do kuszetki, gdzie kapitan od środka zamknął drzwiczki i zasłonił zasłonkę. Ingrid już siedziała na sofie, w wyzywający sposób podnosząc do góry spódnicę, pod która nie miała majtek.

\*\*\*

Parę wagonów dalej, w przedziale klasy trzeciej, samotnie podróżował Hans Kläpper. Był typem tułacza, choć miał żonę i dzieci, z którymi został przeniesiony z Berlina do Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie. Jego żona miała mu za złe te wszystkie podróże i powinna w sumie zacząć podejrzewać, że Hans w międzyczasie ją zdradza. Jednak mąż nie miał nawet czasu spoglądać na inne kobiety, troszcząc się o to, by rodzinie żyło się jak najlepiej. Ba, nawet nigdy nie pomyślał o zdradzie żony, choć to grzech nie spojrzeć na ponętą kobietę.

Hans był handlarzem. Miał kontakty tu i ówdzie i jeździł wszędzie tam, gdzie mógł zagrabic lub po tanioci kupic przedmioty po wypędzonych Żydach, Polakach i innych przesiedleńcach. Czasami coś się trafiło, czasami nie. Wiadomo, właściciele zawsze na samym początku myśleli o dolarach, złocie i innych kosztownościach, ale zdarzało się, że i o tym zapominali.



Hans aktualnie wracał z dystryktu krakowskiego i łowy mógł uznać za udane, choć niemalże za wszystkie fanty musiał zapłacić żołnierzom, od których je odkupił. Zawsze zaznajamiał się z tymi, którzy mają dostęp do magazynów, w których przetrzymywane są zagrabione dobra, nim trafią do Berlina. Prawa tego biznesu były proste i uniwersalne – taniej kupić, drożej sprzedać, a ostatecznie zakupy miały zwrócić się Hansowi z nawiązką. Ponadto, od jednego żołnierzy dostał w prezencie ładną, dębową szafkę na wino. Była trochę ciężka, ale będzie ładnie wyglądać w salonie. Tak właściwie, to Hans nie chciał jej brać, ale mężczyzna tak napierał, że w końcu się zgodził. Kläpperowi przez chwilę zdawało się, że dostrzegł w oczach szeregowca jakieś szaleństwo, choć całkiem możliwe, że mu się to tylko przywidziało, bo był już zmęczony. Szafka na wino leżała teraz spokojnie na boku w poprzek bagażowej półki, a Hans, w ogólnym rozrachunku, cieszył się, że jednak ją wziął.

\*\*\*

Odprężony i zadowolony Bruno wrócił razem z Ingrid do przedziału restauracyjnego. Jako że jego wszystkie zmartwienia odeszły w niepamięć, mógł normalnie bawić się w towarzystwie.

Ledwie weszli do wagonu, pociąg gwałtownie wyhamował. Wszyscy pasażerowie polecili do przodu, niektórzy boleśnie upadli na podłogę. Kieliszki stojące na barze i parę butelek rozbiły się. W przedziale nagle zapanowała głucha cisza, zdominowana przez zaskoczenie i dezorientację. Po chwili jednak wszyscy głośno zaczęli się zastanawiać, co się stało. Pociąg nadal stał w szczerym polu. Pasażerowie innych przedziałów poczęli wylegać na korytarze i zaciekawieni wyglądać przez okna, co zrobili także esesmani. Jeden z konduktorów wyszedł na zewnątrz, a zaraz po tym dało słyszeć się krzyki, choć z trudem można było odróżnić słowa. Nie minęły dwie minuty, a pracownik wrócił z powrotem do pociągu i machnął ręką, by ruszać. Bruno od razu podszedł do dyszącego i purpurowego na twarzy konduktora, spytać, co się stało. Ten odpowiedział, że jakiś mężczyzna stał niebezpiecznie blisko torów, z ewidentnym zamiarem rzucenia się pod pociąg. Maszynista w porę go dostrzegł i zaczął hamować, a niedoszły samobójca rozmyślił się i sam odskoczył w tył.

\*\*\*

Niedługo później pociąg wtoczył się na niewielką stację, na której wsiadło raptem parę osób. Hans drzemał, nie martwiąc się o swoje kosztowności. Były zapakowane w brudne i lekko zniszczone walizki, które zdecydowanie zniechęcały do kradzieży.

Nowo przybyły pasażer, widząc wolne miejsce na półce bagażowej, rzucił się na nie jak wygłodniały pies na kości. Wrzucił swoją walizkę na metalowe pręty, nie zwracając uwagi nawet na to, że przygniata nią otwarte drzwiczki szafki na wino. Zadowolony pasażer zajął miejsce na ławce.

Pociąg mknął dalej. Zabawa w przedziale restauracyjnym trwała w najlepsze, choć Bruno i jego przyjaciele uważali, by nie przesadzić z alkoholem, jak chociażby ten bałwan z Auschwitz, który już rzygał, a teraz spał w swojej kuszetce. Koppf dobrze się bawił. Jedyne, co mu się nie zgadzało, to to, że dalej jechali, choć zaczynało już zmierzchać. Machnął ręką. Pewnie umknęło mu, że gdzieś zatrzymali się dłużej na stacji.

\*\*\*

Konduktor, który wcześniej wyszedł na zewnątrz, aby wściekle nawrzeszczyć na mężczyznę, chcącego rzucić się na tory, od tamtego czasu chodził zestresowany. Ogarniający go niepokój napinał mięśnie i przyprawiał o drżenie rąk. „Umrzecie”, wychrypiał samobójca nieludzkim głosem, gdy konduktor przestał się drzeć jak opętany. Wtedy to słowo tylko jeszcze bardziej go rozjuszyło.

– Idź się, człowieku, leczyć! – krzyknął po raz ostatni i wrócił do pociągu. Nie zwrócił wtedy na dziwnie rozszerzone źrenice mężczyzny, jarzące się na czerwono. Teraz nie mógł przestać o nich myśleć. Cały czas miał je przed oczami.

Spojrzał na zegarek.

To już godzina przyjazdu na stację w Sopocie.

Wyjrzał za okno.

Słońce krwawo zachodziło za chmurami, ostatnimi promieniami oświetlając kłębiaste chmury i nadając im złowieszczy wygląd. *A gdzie tam*, konduktor zachnął się w myślach. *Ile to razy oglądałem już podobny zachód słońca i nic się nie działo?* Dołączył do niego kolega – również konduktor.

– I co tak, Adolf, stoisz? – zapytał znużony. – Coś za długo jedziemy, nie wydaje ci się?

– Tak, też mam takie wrażenie – przytaknął niechętnie, starając ukryć się wypełzający z niego strach. Drugi konduktor westchnął ciężko.

– Idę się przejść do trójki – oznajmił i ponowił wędrówkę. Adolf tylko skinął głową, a zaraz po tym wyciągnął papierosa z papierośnicy i zapalił. Mijały minuty, zmierzch robił się coraz głębszy, a Robert dalej nie wracał. *Ach, pewnie się zagadał, plotkarz jeden.* Ale po pewnym czasie zaczęło się to robić dziwnie niepokojące. Ruszył więc w jego ślady. Po drodze, pasażerowie drugiej klasy pytali go, o której dotrą na miejsce. Każdemu odpowiadał, że prawie już to zrobili. Cóż innego mógłby odpowiedzieć? Mili państwo, bladego pojęcia nie mam, bo już powinniście wysiąść? Przede wszystkim nie należało niepokoić pasażerów. Spanikowany tłum, to zły tłum.

Adolf otworzył drzwi do pierwszego wagonu klasy trzeciej i zamarł. To, co zobaczył, nie śniło się chyba filozofom. A może jednak śniło? Konduktor zamrugał wielokrotnie powiekami, lecz obraz przed nim nie uległ zmianie. Nadal widział przed sobą martwe, wysuszone ciała pasażerów, którzy jeszcze niedawno temu byli żywi. Teraz pergaminowa skóra opinała kości, puste oczodoły patrzyły gdzieś w dal, a wyszczerzone zębiska trupim uśmiechem zdawały się kpić z powagi i koszmaru tej sprawy.

Adolf przeżegnał się, starając sobie wmówić, że to tylko paranoja, jakieś chore przywidzenie, i ruszył dalej. Zakręciło mu się w głowie, gdy otworzył drzwi drugiego wagonu i niespodziewanie uderzył w niego fetor zgnilizny. Konduktor przysłonił ręką oczy i wstrzymał oddech. Nigdzie nie dostrzegł Roberta. Były tu tylko gnijące i rozpadające się ciała, toczone przez larwy wylewające się z oczodołów, ust i uszu. Brzęczenie much było nie do zniesienia. Białe robactwo zaczęło oblegać buty Adolfa. Wzdrygnął się z obrzydzeniem i zaczął potrząsać nogami, byleby zrzucić je z siebie. Rzucił się do biegu, pędził do ostatniego wagonu. Musiał znaleźć przyjaciela, bez względu na to, co czekało za drzwiami. Znaleźć go i wrócić tą samą drogą, mijając żywych pasażerów.

Adolf wydał z siebie zduszony krzyk, widząc przedział w całości zbrukany krwią i wnętrznościami, zwisającymi z półek bądź zalegającymi na podłodze.

– Zwariowałem – szepnął, patrząc na nieludzko porozrywane ciała. Na samym końcu wagonu, jakby podtrzymywany przez diaboliczne siły, wisiał Robert. Żył, błędząc rozbieganym spojrzeniem po pomieszczeniu. Gdy dostrzegł przyjaciela, w jego oczach pojawiła się nadzieja na ratunek.

– Adolf, pomóż mi! Błagam! – zawył żałośnie. Konduktor poruszył niemrawo ustami, nie mogąc zdobyć się na chociażby najmniejszy ruch. Z chęcią by mu pomógł, ale nie



wiedział jak, a przede wszystkim bał się podejść. Co jeśli to coś złapie także i jego? Poza tym... nie byli aż tak bliskimi przyjaciółmi.

– Na co czekasz?! Pomóż mi?! – Robert ponaglał, lecz na próżno. Twarz konduktora gwałtownie poczerwieniała. Zamknął oczy, a usta wykrzywił w okropnym grymasie. Jego głowa w końcu pękła, wystrzeliwując gejerem krwi, jakby zmiążdżyły ją demoniczne, niewidzialne ręce. Bezwładne ciało Roberta z mlaskiem upadło na podłogę i zapanowała złowroga cisza, zakłócana jedynie przez miarowy stukot kół. Wtem przedział zaczął się mocno trząść i telepać. Adolf ocknął się i pędem rzucił do ucieczki, w myślach powtarzał sobie w kółko, że to nie dzieje się naprawdę.

Dotarł do pierwszego wagonu klasy drugiej. Choć zatrzasnął drzwi za sobą, popatrzył za siebie, czy to coś nie przedostaje się przez nie. Niczego nie było. Odetchnął z ulgą. Wyrzał jeszcze tylko ostrożnie za okno, by się upewnić i wytrzeszczył oczy. Pociąg oddalał się od odczepionych wagonów klasy trzeciej. Adolf z trudem przełknął ślinę. *Zresztą, jeśli to nie jest sen ani inny majak, to dobrze, że się odczepiły. Niech to diabelstwo tam zostanie,* pokrzepił się w myślach.

Rozejrzał się po wagonie. Jakież szczęście poczuł na widok żywych ludzi... Adolf starał się iść spokojnym, acz zdecydowanym krokiem, jakim zwykł chodzić, gdy był na służbie. Ale teraz nogi trzęsły się mu jak osiki na wietrze. Musiał dotrzeć do maszynistów, zapytać, co się dzieje i kiedy dotrą na miejsce. Tak, to teraz główny cel. Adolf dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że zmierzch zapadł już bardzo dawno temu, a krajobraz za oknem nie zmienił się od paru godzin – nadal pędzili przez te same szczerze pola, w których zatrzymał ich samobójca. Konduktor rozejrzał się raz jeszcze. Tak, choć ludzie zdecydowanie żyli, byli apatyczni. Milczeli, beznamiętnymi spojrzeniami wyglądali gdzieś za okno. Adolf potrzęsła głową. *No przecież to ze zmęczenia,* tłumaczył racjonalnie idąc dalej.

\*\*\*

Towarzystwo w przedziale restauracyjnym wykruszyło się całkowicie i przy barze zostali tylko Ingrid i bezwstydnie obmacujący ją Bruno. Barman regularnie dolewał alkoholu, nie mogąc doczekać się, kiedy dojadą na miejsce. Chciał już odpocząć.

Po jakimś czasie drzwi do przedziału otworzyły się. Bruno aż się przeraził, widząc bladego, trzęsącego się i całego mokrego od potu konduktora.

– Ej, ile jeszcze pojedziemy? – zapytał. – Już jest noc!

– Idę właśnie do maszynistów i wszystkiego się dowiem. – Adolf dał odpowiedź pozbawionym emocji głosem i poszedł dalej. Bruno odprowadził go zdziwionym wzrokiem.

\*\*\*

Adolf otworzył drzwi do maszynowni i raptownie cofnął się do tyłu, zasłaniając usta dłonią. Po chwili odważył się zajrzeć po raz drugi. Choć widział już ten widok parę minut wcześniej, dopiero teraz leżące wszędzie szczątki i wnętrzności maszynistów przyprawiły go o mdłości. Pociąg pędził sam, nikt nie sprawował nad nim kontroli. Wskazówki wskaźników szalały. Po chwili z hukiem pękły, a szkło posypało się na wszystkie strony. Adolf niemrawym ruchem przeżegnał się, bo wiedział, że już tylko Bóg może go uratować. Wtem wzrok wystraszonego mężczyzny przykuła szafka na wino, stojąca przed piecem, z którego biło niedające się znieść gorąco. Konduktor z niewytłumaczalnym zafascynowaniem patrzył na puste wnętrze otwartej szafki. Odważył się nawet zrobić parę kroków w jej stronę. Zatrzymał się, gdy tylko zobaczył wydobywający się z niej czarny dym, który gęstniał z każdą chwilą. W końcu było go tak dużo, że sięgał kolan Adolfa. Mężczyzna poczuł ostry fetor zgnilizny. Oskoczył do tyłu i z hukiem zamknął za sobą drzwi.

Wpadł do przedziału restauracyjnego w tym samym momencie, w którym pozostałe wagony zaczęły ostro przechylać się z jednej strony na drugą. Dwójka pasażerów, wyglądająca przez okna, była tak zaabsorbowana widokiem, że nawet nie zwróciła uwagi na przybyłego konduktora.

Po chwili rząd wagonów odczepił się od reszty składu i zrównał się z nim od lewej strony. W oknach pojawili się przerażeni pasażerowie, którzy wściekle tłukli w szyby, rozbijając je. Niektórzy ludzie w akcie desperacji wyskakiwali przez okna, lecz zaraz po opuszczeniu wagonu zamieniali się w pył. Po chwili oderwana część pociągu jęła się kurczyć, jakby była zgniatana przez niewidoczne łapska olbrzyma, aż w końcu z wagonów powstała zniekształcona kula, wypełniona w środku krwawą miazgą ludzkich szczątków, która z impetem zaryła o ziemię. Bruno, gdy tylko dostrzegł Adolfa obok, chwycił go za kołnierz i potrząsnął z całej siły.

– Co się tu dzieje?! – krzyknął przerażony. – Co?! – powtórzył, widząc jak konduktor niemrawo porusza ustami. Pociąg pędził jak szalony.

– A skąd mam niby, kurwa, wiedzieć?! Jestem tylko konduktorem!

Koppf chciał coś wrzasnąć w odpowiedzi, ale zreflektował się, gdy tylko czarny dym zaczął wypełniać wagon. Coś zaczęło szeptać. Ingrid zrozumiała. Była Żydówką.

– Umrzecie, umrzecie – słyszała cały czas. Odór zgnilizny uderzył w nozdrza wszystkich zebranych. Bruno, Adolf i Ingrid zbili się w ciasną kupkę. Barman, który właśnie zsiakał się ze strachu, skulił się za ladą, udając, że go nie ma. Miał nadzieję, że to go ocali.

Dym skupił się w jedną masę. Krążył po przedziale, aż w końcu zawisł przez trójką osób, dla każdego przybierając inną formę. Dla Ingrid był to wściekły hitlerowiec wpychający ją do komory gazowej. Dla Adolfa był to jego starszy brat, którego tak bardzo bał się w dzieciństwie, a dla Bruna Rudolf Koehler, którego oczy jarzyły się na czerwono. I nagle każde z nich znalazło się w innym miejscu, czasie i przestrzeni.

Ingrid wypadła z bydlęcego wagonu wprost na pyłącą się ziemię. Wściekła kakofonia dźwięków bezlitośnie atakowała jej uszy – krzyki przerażonych ludzi, wrzaski Niemców, ujadanie psów. Była tratowana przez ludzi wylewających się z pociągu. Ktoś nastąpił na jej dłoń, została skopana przez tłum. Nagle ujrzała obok siebie stratowane i zakrwawione ciało kilkuletniego dziecka. Czyjeś ręce uniosły ją do góry i rzuciły w bok. Zbito ją nahajkami i pchnięto w stronę jednej z grup, którą prowadzono do budynków. W oddali ujrzała kominy wypływające z siebie tony popiołu. Przerazenie chwyciło ją za gardło, a łzy zaczęły toczyć się po jej policzkach.

Adolf cofnął się do czasu, w którym był dzieckiem. Siedział w brudnym, ciemnym kącie swojego pokoju. Na schodach już było słychać ciężkie kroki wielkiego, złego brata. Po chwili nastolatek o upośledzonej twarzy wpadł do pomieszczenia. Adolf zamknął oczy, trzęsąc się jeszcze bardziej.

– Zniszczyłeś mi samochodzik! – ryknął, sepleniąc, Sebastian. Stanął nad bratem, chwycił go za głowę i zaczął tłuc nią o ścianę, w kółko powtarzając, że Adolf zniszczył mu samochód. Uderzał tak długo, aż na ścianie zaczęły pojawiać się krwawe ślady, kawałki kości i mózgu.

Bruno ocknął się, leżąc na mokrej posadzce. Otaczał go smród potu i fekaliiów. Nie było żadnej części ciała, która by go nie bolała. Brakowało mu zębów i paznokci u rąk i nóg. Ciało w całości pokryte było krwiakami. Wczoraj wyrwano mu język, kości miał zgruchotane, choć nie wszystkie. Nagle z hukiem otwarły się ciężkie drzwi. Bruno z trudem odwrócił głowę w ich stronę. Począł się trząść w spazmach, gdy ujrzał czerwonego ze wściekłości Rudolfa Koehlera.

– Plugawy psie – warknął ochryplym głosem, stawiając ciężkie kroki. – Zhańbiłeś mundur, zadając się z tą brudną, żydowską kurwą! – krzyknął pod koniec i następując na gołęń Bruna, złamał go. Kapitan nie krzyczał. Już wcześniej doszczętnie zdarł struny głosowe.

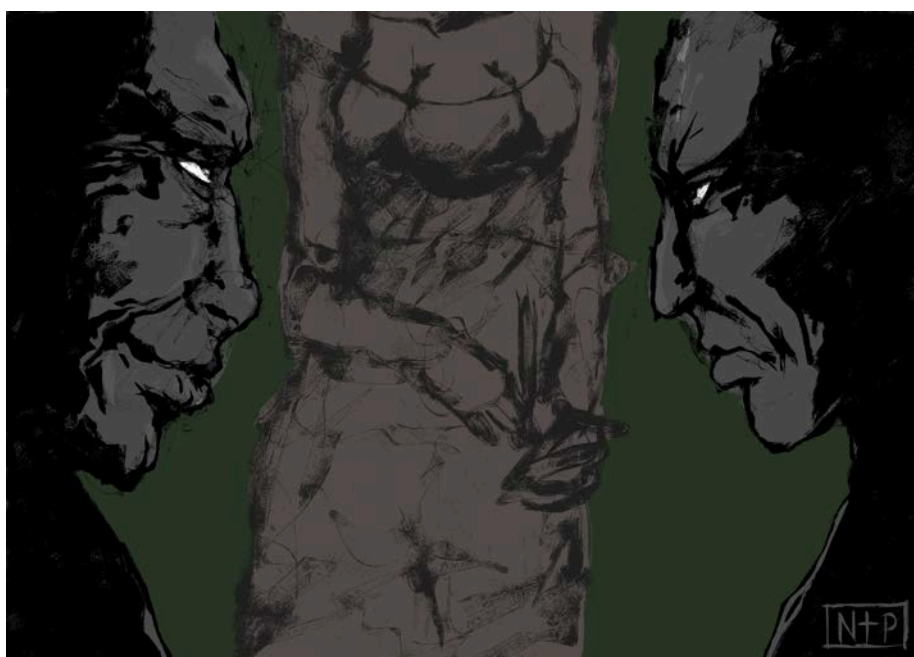


– Ale ja mam litość, Koppf. Mam ją i ci ją podaruję. Już nie będę cię torturować. Proszę, oto moje miłosierdzie dla ciebie. Przyjmij je z otwartymi ramionami – powiedział i butem zmiądzzył mu krtań.

\*\*\*

We wszystkich gazetach pisano o wielkiej katastrofie pociągu relacji Kraków-Sopot. Przyczyną tragedii był potężny wybuch lokomotywy i wykolejenie. Zginęli wszyscy pasażerowie, choć to do końca nie było prawdą. Znalaziono na wpół żywego barmana. Młody mężczyzna bełkotał bez sensu o jakimś dymie, który to wszystko zrobił, i o znikających pasażerach. Uznano go za wariata i zastrzelono go na miejscu, czego nie podano do wiadomości.

Później, we wraku wagonu, ktoś znalazł nienaruszoną skrzynkę na wino i zabrał ją do siebie, bo to taka ładna ozdoba.



# CZARNA WÓDKA

Antoni Nowakowski

Harmen lubił ten lokal – oferował dobre jedzenie za umiarkowaną cenę i naprawdę przyzwoite alkohole, też tanie. Smaczne żarło z rozweselającą popitką, powiedział kiedyś ze śmiechem do Liz, kiedy relacjonował pierwszą wizytę w nowej jadalni. Zaznaczył mimochodem, ale zupełnie świadomie, że ceny są niskie na wszystko – oprócz czarnej wódki, jak zwykle niebywale drogiej.

Dobrze pamiętał, że odęła wówczas z niesmakiem wargi – już stracili Dagny, ale Liz nadal nie piła zwykłych wódek czy win. Żadnych. Ciągle uparcie trzymała się nieaktualnej zasady, że nie weźmie do ust niczego, co mogłoby zaszkodzić dziecku, jeszcze niedawno wypychającemu jej kształtny brzuszek z pięknym pępkiem.

O kosztach nabycia czarnej wódki wiedzieli wszyscy. Liz też dobrze знаła cenę specyfiku o ciemnej jak smoła barwie, ale dotychczas używała go naprawdę rzadko. Nie to, że nie lubiła czarnej gorzałeczki, jak ją kiedyś określiła. Lubiła, tak jak wszyscy, może nie kochała jak wielu, ale często wypijała spory kieliszeczek albo nawet dwa. Teraz zaczęła

w niej bardzo gustować, właśnie zaraz po urodzeniu martwej Dagny, chyba, jak sądził, powoli uzależniając się od smolistego płynu – wódki dającej zapomnienie i zarazem pompującej w ciało mnóstwo energii, wystarczającej na długo.

O jednym w tej rozmowie dyskretnie nie wspomniał: w tej niedawno jeszcze garkuchni barman i tak nie ogałacał człowieka ze wszystkiego, kiedy klient poprosił o buteleczkę wódczanego specjału. Co więcej, jeżeli portfel świecił pustką, bez protestów nalewał tylko kieliszczyk, i to suto, bez oszukaństwa, aż po brzeg. Szybko też wprowadzono tam różne odmiany większych i mniejszych szklaneczek, tylko na czarną wódkę, w tym kilka nieco większych od naparstka, dostosowanych do zasobności kieszeni gości. Sądził, że może dzięki temu lokal z miejsca zyskał popularność – mimo oddalenia od Miasta. Barman obsługiwał wszystkich z jednakową rewerencją, nawet zwykłych robociarzy, na chybicka wychylających malutkie czarki, popijających je potem kwartą piwa i rzucających na ladę zmiętoszone i brudne banknoty. Ściany rozległego lokalu zapewniały bezpieczeństwo, oczywiście oprócz dojścia i powrotu, ale ten problem występował wszędzie – i prawie nikt się nim nie przejmował.

Harmen uważał, że inni goście myślą jak on – zawalenia stropów i obudów występowały rzadko, coraz rzadziej, i każdy sądził, że akurat jego ominie nieszczęście.

Sadowiąc się na wygodnym krześle, po raz kolejny stwierdził, że właściciel restauracji – tak ją teraz nazywano: zyskiwała renomę – dobrze rozumie i sprytnie wykorzystuje prawa rynku. Przyciągnął klientów zestawem tanich potraw, wcale nie najgorszej jakości – i bardzo smacznych – stale rozszerzając kartę dań. Jeszcze pół roku temu jadłospis składał się z dwóch stroniczek w lichej oprawie, a teraz liczył ponad tuzin kart, przyciągających wzrok kolorystyką poszczególnych pozycji. Duża reklama u wejścia nie kłamała – jedzenie rozpływało się w ustach, a spis potraw systematycznie pęczniał. Kiedyś Harmen zastanowił się nad tym i stwierdził, że pewnie i z tego powodu lubi tu bywać – odwiedzał porządną jadłodajnię, a nie spelunę, gdzie chrzczono wodą czarną wódkę, a większość gości raczyła się tanim samogonem albo ordynarnym wińskiem za parę centów. Tutaj ciemny alkohol, podawany w ładnych butelkach, nalewany do pięknych kieliszków – z prawdziwego szkła, a to też stanowiło rzadkość – stanowił tylko dyskretny dodatek do pysznego jedzenia.

No i rzeczywiście sprzedawano prawdziwą czarną wódkę, a nie ersatze dla prostaków, epatujące pięknymi opakowaniami, ale z zawartością dającą lichego efekt. Kolejny neon nad bufetem też nie łgał – człowiek wlewał do gardła ciemną ambrozję, a może napój zapomnienia, natychmiast czując przepełniającą ciało błogość, przemieszaną z potężnym

zastrzykiem energii – podniety, trwającej kilka dni, tydzień, nieraz i dłużej, po prostu w zależności od wielkości dawki.

Dzisiaj jednak nie zamierzał kupować smolistego alkoholu – koniec miesiąca ograniczał wydatki. Planował, że może na zakończenie niedzielnego obiadu wypije taki maluteńki kieliszek – na miły wieczór i jutrzejszy poranek.

Jeszcze się nie zdecydował.

Wiedział jednak, co zamówi – kraby. Wszyscy jedli kraby, pożywną i energetyczną strawę, jednak w końcu powodującą przesyt. Ale on po prostu je lubił. W głębi ducha przyznawał, że może nawet uwielbiał – soczyste mięso, niezwykle smaczne, niepowodujące nigdy uczucia napchania brzucha, ale znakomicie zaspokajające apetyt i dające organizmowi mnóstwo sił. Cenił nową restaurację i za to, że kucharze przyrządzali skorupiaki na różnorakie sposoby, nawet jako kotleciki. Całe sześć kart menu poświęcono potrawom z krabów – studiował teraz uważnie jadłospis, zastanawiając się nad połączeniem dwóch, a może trzech dań.

Kelnerka czekała cierpliwie, lekko się uśmiechając. Harmenowi wydawało się, że go lubi – podchodziła natychmiast, kiedy się zjawiał, odsuwała krzesło, i z przejściem w głosie polecała świeżuteńki specjał z krabów, zawsze trafiając w jego gust. Liz śmiała się, kiedy opowiedział jej o sympatycznej pracownicy restauracji, jednej z wielu – klientów przybywało, a właściciel systematycznie zwiększał liczbę personelu.

– Spryciara liczy na dobre napiwki – stwierdziła, wznosząc ramionami. – Wyczuła, że jesteś dobrze sytuowany, więc trzęsie się nad tobą jak kwoka nad kurczęciem. Oczywiście, na pewno jest ponętna – i wykorzystuje swój urok, udając, że leci na ciebie. Stary numer.

Rzucił okiem na czekającą na zamówienie roślą dziewczynę – Liz, jak zwykle, nie pomyliła się w ocenie, choć nie do końca miała rację. Spory dekolt wyraźnie ukazywał jędrny zarys trzech piersi z okazałymi brodawkami, a przykusa sukieneczyna spore fragmenty sprężystych ud.

Wyraźnie epatowały seksem.

Jakby odgadując myśli Harmena, kelnerka oblizwała wargi.

Mimo tych uroków, ponętnej twarzy i otaczającego dziewczynę nimbu zmysłowości, nie pociągała go. Liz myliła się, jeśli sądziła, że coś czuje do długonogiej, zgrabnej pracownicy – ciągle nie mógł się przyzwyczaić do trzech wzgórków ciała na kobiecym torsie. Lubiał takie kobiety i często z nimi współpracował, a także zatrudniał, ale ich wybujały seksualizm traktował obojętnie. Znacznie bardziej przyciągały go na pewno mniejsze, lecz niezwykle kształtne piersi Liz.

Dwie wspaniale ukształtowane piersi. Troszczyła się o nie, przygotowując się do wytesknionego macierzyństwa. Naprawdę o nie dbała, tak jak o resztę ciała, a kiedyś z szelmowskim uśmiechem, dostrzegając spojrzenie Harmena, zauważyła, że po urodzeniu Dagny na pewno się zwiększą.

– Będę karmić maleństwo najdłużej, jak się da, i pewnie staną się bardziej wydatne, choć potem wrócą do normy. Mleko robi swoje, więc będziesz zadowolony. Może dam ci trochę possać, chłoptasiu.

Też wtedy oblizwała wargi. Rozmawiali parę razy o lokalu, i Harmen, tak dla pewności, podkreślił, że kobiety o trójczłonowym biuście odstręczają go. Często je spotykał – w jego firmie prawie wszystkie sprzątaczk i sekretarka też prezentowały trzy piersi.

Po prostu nadal nie mógł się do nich do końca przekonać.

Liz uśmiechnęła się wtedy – wiedziała, że nie kłamie. Doskonale wyczuwała, kiedy łągał, a ciąża jeszcze dodatkowo podniosła tę umiejętność. Miała też niezachwianą pewność, że urodzi dziewczynkę, nie wiadomo, skąd się biorącą, ale tak wielką, że zaraz po tej błahej pogawędce, wieńcząc wcześniejsze rozmowy, wybrali jej imię: Dagny. Rzadko używane, a Liz stwierdziła, że jest piękne.

Też tak uważał, i cieszył się z tej decyzji, bo on je wynalazł i podsunął Liz. Pamiętał, że nie zapytał wtedy, co żona sądzi o jego ciele, choć miał chętkę.

Nie czuł dziś ochoty na rozmowę z przystojną pracownicą, choć zwykle lubił z nią pogawędzić. Dzisiaj pragnął jednego – długiej chwili samotności przy stoliku, dobrego jedzenia i niemyślenia o niczym istotnym, zwłaszcza o Liz i martwej Dagny.

Złapał się na myśli, że może jednak właśnie ta niewymuszona intymność powoduje, że tak polubił restaurację. Lokal miał kilka sal, a w najrozleglejszej ustawiono sporo małych, oddzielonych boksami stolików. Bardzo rzadko ktoś się przysiadł – każdy znajdował miejsce, odseparowane od innych.

Zamknął jadłospis. Nie do końca jeszcze przemyślał wybór dania, ale obecność kelnerki przyspieszyła decyzję.

– Potrawka z krabów z podwójnymi jarzynami. Dużo sosu. Proszę dołożyć dwa dobrze wypieczone krabowe kotleciki. – Postukał palcem w blat. Od niedawna stoliki nakrywano obrusami – lubił sprawdzać ten miękki, stłumiony odgłos uderzenia w koronkową tkaninę. – Niech pani wybierze coś do picia, jakieś przyzwoite piwo. Kwarta wystarczy.

– Oczywiście, panie Linker. Potrawka jest nowością. Naprawdę pyszna!

Wystukała zamówienie na przenośnym ekranie, przewiązanym różową wstążką. Harmen nigdy nie potrafił zrozumieć, czemu służy dziwaczna ozdoba: podejrzewał, że

podkreślała odświętny nastrój pobytu w lokalu. Nie rozumiał też, jak radzi sobie z bezbłędnym wpisywaniem danych niezwykle długimi, perfekcyjnie pomalowanymi paznokciami o często zmienianej barwie. Przyznawał jednak, że wyglądają wspaniale.

– Świeżutkie i pyszniutkie jedzenie – ciągnęła z ożywieniem – z dostawy nowych skorupiaczków, tych większych, wie pan. Ale, jak zwykle, wyśmienite! Podam za parę minutek. Może kieliszeczek na deser?

Przecząco pokręcił głową – koniec miesiąca ograniczał wydatki, a jeszcze dobrze czuł działanie poprzednio wypitej dawki.

Dziewczyna nie próbowała go namawiać. Odeszła, stukając wysokimi obcasami o metalowe płyty podłogi.

Ten sposób zachowania obsługi też lubił: nie próbowano niczego wmuszać, ale nawet tanią przekąskę kelnerki podawały z uśmiechem.

– Nawet krócej niż chwilkę! – rzuciła jeszcze na pożegnanie, łobuzersko puszczając do niego oko, jakby podkreślając, że bardzo ceni obecność Harmena i obsługuje go ze specjalną, tylko dla niego przeznaczoną starannością.

Jak zwykle, dotrzymała przyrzeczenia – wszystkie kelnerki poruszały się niczym frygi – i teraz z zastanowieniem kosztował pierwsze kęsy potrawki, badając, czy nie potrzeba więcej przypraw, ale prawie natychmiast począł łakomie jeść. Smakowała doskonale.

Uścisk dłoni na ramieniu okazał się nadspodziewanie silny – prawie wbił go w krzesło. Walnięcie ręką zaprawioną do ciężkiej pracy spowodowało, że prawie się zakrztusił.

– Witaj, Linker! – Przybysz odsunął drugie krzesło i rozsiadł się wygodnie. Tak daleko wyciągnął nogi, że Harmen poczuł ucisk buta na kostce. Śpiesznie podkurczył stopy. – Doprawdy, kopę lat minęło od ostatniego spotkania. Kopa lat! Chłopie, co słyhać? Smaczne jedzonko? – Piegowata twarz nachyliła się nad talerzem. – Wiele słyszałem o tej nowej knajpie, więc wpadłem zbadać, co i jak. Trochę daleko, to pewne. No i patrz, spotkaliśmy się! Psiakrew, po tylu latach! Cholera, jak ten czas leci... Ciągle siedzisz z Liz? Pamiętam ją: fajna dziewczyna, cycata dupcia co się zowie, bez dwóch zdań. Szczęściarz z ciebie, Linker.

Wskazujący palec zawisł nad sosjerką. Kelnerki przysięgały, że dobranie dowolnej ilości sosu jest darmową ofertą, ale Harmen nie wierzył tym zapewnieniom: na pewno wliczono ją w cenę, mimo wszystko naprawdę niską.

– Danie prosto z pieca, jeszcze sosik smakowicie paruje. Też tak lubię. Jakby przynieść swojego chlebka, nasączyć pajdkę, miałbyś dodatkowe danie. – Niespodziewany



gość wylewał z siebie potok słów i zdawał się nie czekać na odpowiedź. – Często tu bywasz? I przychodzisz bez Liz? Chwila samotności, co, Linker? Chłopie, dobrze to rozumiem.

Człowiek, poklepujący teraz kordialnie Harmena po dłoni trzymającej widelec, wypowiedział długą sekwencję zdań jednym ciągiem, niczym automat foniczny, informujący o najnowszych wydarzeniach w Mieście, bardzo podobnym, afekciarskim i napuszonym tonem.

Przerwał i dwa razy głośno wysmarkał nos w kraciatą chusteczkę. Nozdrza poruszały się, wyraźnie badając zapach ciemnego sosu.

Wyszczерzył w uśmiechu dawno niemyte, pożółkłe zęby.

Harmen pospiesznie przełknął jeszcze nie do końca zżuty kęs. Machinalnie nabrał kolejny.

Przyglądał się profilowi kogoś, kto na pewno go znał – bez wahania wymienił jego nazwisko, no i wiedział o Liz – mocno już obwisłemu podbródkowi, puciołowatym, niezbyt dokładnie ogolonym policzkom, perkatemu nosowi i sporej łysince ze śmiesznie wyglądającym kosmykiem rzadkich włosów pośrodku. Ta nachylona nad jego talerzem twarz nic mu nie mówiła.

*Jeden z tych robotników, też mieszkańców Miasta – pomyślał – ciągle śpieszących do jakiejś pracy, dokonujących zakupów, chlepcących piwsko i plotkujących z sąsiadami przed kwaterami mieszkalnymi. Skąd on mnie zna?*

Uznał, że pewnie jest towarzyszem lat dziecińczych, może nawet kolegą lub synem sąsiada, dawno niewidzianym, jeżeli nawet zapamiętanym, to w postaci dzieciaka, może młokosa, ale nie dorosłego mężczyzny. Jakaś dawna, może i sympatyczna, ale nigdy nieodnawiana znajomość.

Nikogo nie potrafił przypisać do pospolitej twarzy. Umysł pracował intensywnie, ale bez efektu: z nikim nie kojarzył przybysza.

Jednym rzutem oka ocenił też jego zamożność – dawno się tego nauczył. Niespodziewany gość nie wyglądał na kogoś, kto mógłby sobie pozwolić na bezrozumne używanie chleba, właściwie nadal rarytasu. Wypieczony bochenek smakował bosko, ale dużo kosztował. Dla wielu pozostawał ozdobą nawet nie niedzielnego, ale wyłącznie świątecznego stołu. Liz lubiła wstawać cichcem rankiem, nie budząc go, iść do pobliskiego sklepiku tuż pod załamaniem magistrali wentylacyjnej i przynosić świeży bocheneczek, tak gorący, że owijała go szmatką, bo parzył palce. Napotykała ledwie dwóch, trzech nabywców, choć prawie wszyscy cenili gorące pieczywo. Zajadał się potem ciepłuteńką kromką, czasem dwoma, a Liz cierpliwie czekała, aż świeży wypiek ostygnie – lubiła nieco już chłodniejsze.

Ale nie czyniła tak zbyt często, bo nawet oni, majątni ludzie, nie mogli sobie codziennie pozwolić na chleb.

Ale ten człowiek, w znoszonej kurtce i spranej koszuli, wyglądający na pospolitego robotnika, na pewno rzadko wbijał nieoczyszczone siekacze w pajdę razowca, pewnie, tak jak inni, traktując ją niczym eucharystią.

Harmen osądził, że nie warto teraz wytykać mu głupiej fanfaronady: nikt nie lubił podkreślania, że zalicza się do biedaków, wręcz przeciwnie, każdy z takich typów liczył na zrozumienie dla swojej ciężkiej harówki, może nawet i na pochlebstwa. Tego też się dawno nauczył, kiedy z Liz założyli pierwszą firmę, a potem prędko przenieśli się do o wiele bardziej rozległego – i wyższego – sektora ładowni. Kiedy Liz z nieco wstydliwym uśmiechem poinformowała o ciąży, z radością projektowali przeprowadzkę w rejon rufy. Ten facet o mieszkaniu na rufie z pewnością mógł tylko pomarzyć.

– Oczywiście, że z nią siedzę – rzucił Harmen niezobowiązującym tonem. – Wiesz, wyszła za mnie za męż. Bardzo się kochamy – i nie zamierzamy przestać. Nigdy.

Ostrożnie dolał sosu. Powoli stygnący płyn, jak zwykle przy obniżaniu ciepłoty, bardziej ściemniał, zaczynając lekko opalizować. Teraz danie wyglądało i smakowało tak, jak Harmen naprawdę lubił. Wbił na widelec spory kawałek kraba.

Żuł starannie. Kelnerka nie kłamała – przyrządzone w ten sposób skorupiaki wyśmienicie smakowały, a danie nadal miało odpowiednią ciepłotę.

Nie chciał czerzą gadaniną z kimś dawno zapomnianym stracić przyjemności rozkoszowania się dobrą potrawą. I czegoś więcej – chwili zapomnienia o Liz i Dagny. Ale nie mógł tak po prostu kazać gościowi wynieść się – albo przywołać kelnerkę i dyskretnie poprosić o wezwanie strażnika. Wiedział, że właściciel kilku zatrudnił.

Ten człowiek go znał. Kiedyś mogli się nawet lubić. Harmen miał nadzieję, że przywołane przez gościa z kraciastą chusteczką pierwsze wspomnienie rozwieje mrok niepamięci. Pomyślał, że nawet tego pragnie – ta niemożność przypomnienia sobie, kim jest sąsiad przy stoliku, stawała się denerwująca. Męczyła umysł. Irytowała, chociaż miała jednak zaletę – pozwalała zapomnieć o Liz i Dagny. Zająć się rozwiązywaniem trywialnej – i w sumie, jak oceniał, śmiesznej zagadki.

Znając ten typ ludzi, wiedział, że nie będzie długo czekał na kolejny wytrysk słów.

Nie zawiódł się.

– Ładne dupcie tu obsługują. Doprawdy, cacy kobitki. – Mężczyzna z łysinką zatarł dłonie. Kilka razy pokręcił głową, omiatając salę wzrokiem. – Wiesz, Linker, dowiedziałem się o tej knajpie z głośników – mocno się reklamują. Chłoptaś prowadzący ten bar ma łeb na

karku, to pewne – no i dojścia. Informacje nadal się przydają, jakby na to nie patrzeć – ludzie ich słuchają. Chyba od czasu do czasu wpadnę tutaj. Kawalek drogi, ale co tam...

Nadal mówił tym monotonię brzmiącym tonem, z przebijającą niemal w każdym słowie nutą emfazy.

Harmen chrząknął. Nie znosił terkotliwych głośników w kajutach i korytarzach, ciągle o czymś informujących. Uważał, że prawie nikt już nie zwraca na nie uwagi – odrywały od pracy, przeszkadzały w wypoczynku, niepotrzebnie zabierały czas. Nadal jednak istniały, tak jak w czasach dzieciństwa, tylko wtedy odbierał informacje z otwartymi ustami. On i inni – dobrze to pamiętał.

Ten człowiek słuchał ich nadal, bo formułował zdania bardzo podobnie.

Kątem oka studiował twarz – ciągle nic mu nie mówiła. Nie przypominał sobie z czasów młodości kogoś tak dobrze naśladowującego głośnikowe informacje.

*Może wszyscy wtedy tak gadaliśmy?* – pomyślał, czując ogarniające go rozbawienie. – *Wyrośliśmy z tego, a ten nie.*

Też chrząknął, jakby w odpowiedzi na kolejne zdanie, już niesłuchane. Miał nadzieję, że prędko pojawi się kelnerka o imponującym, trzypiersiowym biuście. Miałby trochę czasu do namysłu, przypomnienia sobie starych wspomnień i dawno niewidzianych osób.

Fertyczna dziewczyna podeszła prawie natychmiast.

– Szanowny pan życzy sobie...? – Znacząco zawiesiła głos. Znowu oblizła usta. – Oferujemy tanie dania w bardzo dobrym gatunku – przekona się pan.

– Złociutka, tylko się rozglądam. – Człowiek z łysinką uroczyście pokiwał głową. – Wszyściuteńko dobrze wygląda, widać szyk. Nie skłamię, jeśli powiem, że całkiem przyzwoicie. Złotko, jedno pytanie: macie czarną wódkę, ale taką prawdziwą, niechrzczoną jakimś świństwem? Dużo oszukaństwa teraz się spotyka, naprawdę sporo, pewnie, złociutka, dobrze o tym wiesz. Podaj może jakąś przekąseczkę jarzynową, spróbuję, jak u was smakuje.

Wygłaszał zdania jak poprzednio, jednym ciągiem, terkotliwym głosem przejętego swoją rolą spikera, podającego nowe komunikaty.

Harmenowi przychodziło do głowy tylko jedno – łysol mieszkał kiedyś na dziobie, tam, gdzie on. Pewnie w pobliżu ciasnej kajuty rodziców. Bardzo możliwe, uznał, że nadal gnieździ się w małych klitkach sterowni – tak ją wtedy nazywano.

*Teraz powiadają, że przystosowaliśmy i zasiedliliśmy kokpit,* stwierdził w myślach, odkrawając kawałek kotlecika. *Jak go zwał, tak zwał, ale panowała niesamowita ciasnota. W sumie dobre czasy młodości, wszystko się nam cholernie podobało, no i poznałem Liz.*

– Oczywiście, że ją serwujemy. Jeżeli zechce pan zamówić coś więcej, proszę dać znak. – Kelnerka uśmiechnęła się uwodzicielsko. – Wystarczy unieść dłoń. Zawsze jestem w pobliżu.

Znowu starannie poprawiła wstążeczkę przewiązującą pulpit. Westchnęła. Pokażny biust zafalował, poruszony głębokim oddechem.

Kiedy odchodziła, a potem wróciła z tacą, przynosząc danie, wysokie obcasy znowu mocno zastukotały o płyty.

– Mogliby czymś wyłożyć podłogę – zauważył przybysz. – Dźwięczy w uszach, tak samo, jak wtedy, kiedy kopaliśmy piłkę na naszym boisku. Powiem ci jedno, Linker – świetnie grałeś na tej lewej pomocy. Bezbłędnie! Nauczyć się prowadzić piłkę lewą nogą – nigdy tego nie złapałem. Wiadomo, na nasz stadionik nikt nie dałby nawet kawałka sztucznej gumy. Ale tutaj? Gość mógłby się trochę postarać. Smaczne, nie powiem.

Młasnął głośno, przetykając pierwszy kęs.

– Przybysze nie zostawili za dużo syntetyków. Chyba nie były im potrzebne, a właściciel dopiero wszystko urządza.

Odpowiedź sama zeszła z warg Harmena – w sklepie Liz klienci często wybrzydali na mały wybór pokryć podłogowych i dywaników, nieistotne, z czego wykonanych, byleby tylko miękkich, a zarazem sprężystych. Sprzedawała wszystko, jak szło, na żale o brak towaru z uśmiechem odpowiadając zawsze tak samo – „oni nie zostawili zbyt wiele syntetyków”. Czarującym gestem rozkładała przy tym ręce. Zapamiętał ten frazes, odruchowo go powtarzając.

Ucieszył się – nareszcie coś mu się przypomniało: facecik kopał piłkę razem z nim. Często grywał w tej samej drużynie chłopaczków ze skrajnej części dziobu, położonej tuż przy powłoce ochronnej. Już wiedział – zawsze grał na obronie, posledniej i lekceważonej formacji, wybierany do składu prawie na ostatku. Zobaczył teraz jego młodzieńczą, znacznie szczuplejszą twarz, żywszą, z bujniejszą, choć już wtedy niezbyt okazałą czupryną.

Nareszcie przypomniał sobie jego nazwisko – Myers, choć nadal nie pamiętał imienia. Zajadając kotlecik, przeszukiwał obszary pamięci, ale nic nie znajdował.

Przypomniała mu się za to piłka ze skóry przybyszów – z wielu powodów doskonale ją pamiętał. Świetnie się spisywała, prawdziwa futbolówka, z powietrzem w środku i wentylem, żadna tam ordynarna szmacianka ze starych łachów. Nigdy się nie dowiedział, kto z sąsiadów ją zmajstrował – bo nigdy się tym nie interesował. Ale nadal dobrze pamiętał dzień, kiedy wpadł na pomysł produkowania takich piłek – i ile zarobił na pierwszej serii.

Teraz nawet dzieciaki skażonych używały jego piłek – harmenówek.

– Dawno się nie widzieliśmy, Myers... – Uprzejmie podsunął sosjerkę. – Spróbuj twoich warzyw z tym – pyszny dodatek. Co u ciebie?

Myers wodził wzrokiem za kołyszącą biodrami kelnerką – nadal krążyła w pobliżu, ustawiając krzesła, poprawiając obrusy i pewnie, jak osądził Harmen, czekając na większe zamówienie nowego gościa.

Wydawało się, że Myers nie słucha Harmena. Nagle głęboko nachylił nad obrusem.

– Wiesz, Linker, nie lubię takich cip – wyszeptał. Teraz mówił wolno, z namysłem pocierając dłonią podbródek. – Nie cierpię tych skażonych suk. Kurwa, a musimy je znosić. A jak ona się pyszni! Widziałeś, jak ten pomiot chodzi? Niczym królowa... i jaka spryciucha, jak ci wszyscy skażeni – pinda poluje tylko na napiwki. Te wywłoki zaczynają się panoszyć. Tego, powiem ci, kompletnie nie rozumiem.

Odchrząknął. Nie czekając na odpowiedź, zajął się wyjadaniem reszty warzyw. Harmen przyjrzał mu się uważnie – często spotykał takich ludzi. Nie zwracał uwagi na ich słowa, ale dawniej, dla świętego spokoju, często przytakiwał. Ale teraz już nie – od czasu, kiedy Liz straciła Dagny.

Niespodziewanie dla siebie, przemówił zjadliwym, prawie impertynenckim tonem:

– Myers, a ty nie masz trzeciej brodawki na swoim owłosionym torsie, hę? Bo ja mam. Prawie wszyscy mężczyźni mają. Nie opowiadaj głupot. Po prostu – u niektórych kobiet tworzy się trzecia pierś, i tyle. Bzdury. Też jesteś skażony, tak jak ona, tylko mniej. To coś zmienia?

Wiedział, że dawny kolega z boiska nie zaprzeczy – jako dzieciaki często grywali w samych spodenkach i Harmen pamiętał, z jaką uwagą oglądali sobie piersi. Porównywali, bo kilku jednak miało tylko dwie brodawki. Zaledwie paru, ale Myers na pewno do nich się nie zaliczał. Śmiano się z dwubrodawkowców, jak ich określano, a oni twierdzili, że właśnie pozostali są odmieńcami. Początkowo wszyscy dociekali powodów nieco innej budowy ciała, ale szybko przestali – tak wyglądali prawie wszyscy mężczyźni i nikt z dorosłych nie zwracał uwagi na ten szczegół. Rodzice tłumaczyli, że dla mężczyzn jest nieistotny.

Przypomniał sobie, że ostatnio sporo rozmawiali o tym z Liz.

Uparcie twierdziła, że to wpływ mięsa z krabów – teraz nie chciała go jeść. I nie dawała się przekonać. Zdarzało się, że na sam widok świetnie przyrządzonej przez Harmena skorupiakowej potrawy dostawała torsji. Nie rozumiał tego: zawsze jedzono smaczne i energetyczne pożywienie z krabów, łatwych do złowienia nawet przez dzieci, z możliwością przyrządzania na tysiące różnych sposobów, błogosławiąc ich istnienie.

Myers uciekł ze wzrokiem. Harmen zrozumiał, że dobrze trafił – mężczyźni z dwiema brodawkami nieczęsto się już trafiali.

Przypomniał sobie twierdzenia Liz, że coraz rzadziej, a kobiety z trzema piersiami – coraz częściej. Kiedy zbliżał się trzeci miesiąc ciąży, zaczęła roztrząsać, czemu wszyscy przyrządzają tylko gorące dania. Posunęła się nawet do twierdzenia, że je kochają – i że wszyscy się uzależnili.

– Żremy je na okrągło, pewnie tak jak oni – stwierdziła kiedyś stanowczym tonem. – Smakują nam, więc się przyzwyczajamy. Prawie wielbimy. Oni ich nie uwielbiali – oni po prostu tak jedli. Traktowali jak powszedni pokarm, ani smaczny, ani niesmaczny, najzwyczajniejszy w świecie. Ich świecie, Harmen. A my podążamy śladem przybyszów, nie wiadomo dlaczego.

Poczuł, że trzecia brodawka na torsie zaczyna go mocno swędzieć. Czasami zdarzały się takie stany, ale szybko przemijały. Miał wtedy wrażenie, że w tym miejscu, pod skórą, coś nabrzmięwa.

Liz wtedy śmiała się. Łobuzersko puszczając oko, rzucała, niby to mimochodem, że ogarnia go podniecenie na jej widok. Zaczynała pieścić środek jego piersi – a potem kochali się nieprzytomnie, aż do zatracenia zmysłów.

Potrząsnął głową – nie chciał teraz o tym myśleć.

Myers coś mówił. Harmen skupił się – nie zwrócił uwagi na kolejny słowotok kompana z dzieciństwa, zajęty wspomnianiem Liz. Teraz docierały do niego wypowiedzane zdania:

– ...ale przecież nie powiesz, że ci żyjący na powierzchni nie są skażeni. Muszą być – oczywista sprawa. Przybysze, te gnoje, wszystko tam zmienili. Zatruli. Trzeba czekać, aż zniwelujemy skutki ich pobytu i ziemia wróci do normy. A skażeni, beznadziejni głupole, budują jakieś budy na powierzchni i coś uprawiają. Oczywiście, narażają się na wpływ zatrutego środowiska. Zmiany ich ciał są nieuchronne – wszyscy o tym wiedzą.

Łakomie dojadał nikłe resztki swojej jarzynowej przekąski.

– Cholera, naprawdę smaczne – zauważył z uśmiechem. – Muszę przyznać, że do jednego ci zdechli parszywcy się przydali: do produkcji czarnej wódki. Bez niej byłoby naprawdę ciężko.

Odsunął talerz.

– Słuchaj, Linker. – Ton głosu Myersa zmienił się. Mówił ze słyszalnym wahaniem, może nawet skrzepowaniem. – Ta cipcia o trzech wymionach twierdzi, że mają tutaj czarną



wódkę. Niefalszowaną. Nawet jej wierzę. Nie przyłączyłbyś się do kupna małej buteleczki? Potem uczciwy podział pół na pół. Mam pojemniczek – rozlejemy.

Harmen poczuł, że ogarnia go znużenie. Zdał sobie sprawę, że podświadomie spodziewał się takiego zakończenia spotkania. Wiedział, co nastąpi, jeśli przystanie na propozycję – facet wyciągnie kilka zmiętych banknotów, nawet nie jedną trzecią ceny butelki, a on dopłaci resztę. W chodniku wejściowym podzielił się ciemnym płynem po połowie, a Myers, oblizując wargi, zaznaczy, że zrealizowali bardzo uczciwą transakcję. Na pewno pociągnie solidny łyk ze swojej flaszki za pierwszym załomem tunelu, a może nawet od razu.

A potem będzie tu przyłaził, bezceremonialnie dosiadał do stolika, plotąc głupoty i nieodmiennie proponując kolejny zakup. On będzie pokrywał coraz większą część, a Myers coraz mniejszą. Szybko rzuci uwagę: „Ciebie na to przecież stać”, kończąc zdaniem:

– Chłopie, nie wspomóżesz starego znajomka?

Niebawem zaproponuje też wspólną libację, oczywiście w jego domu.

– Mamy spory zapas u siebie. Tutaj tylko czasami jadam – bezpiecznie, tanio i smacznie. Kup sobie sam.

Specjalnie wypowiedział zdanie jowialnym tonem. I specjalnie, tak jak niedawno Myers, zatarł dłonie.

Twarz o wyraźnej łysince wyraźnie zmierzchła. Palce Myersa niepewnie miętoszyły wyciągniętą chusteczkę. Przez chwilę bezgłośnie poruszał wargami.

– Szkoda – rzucił zawiedzionym tonem. – Myślałem, że stary kolega... No nic. Ściany rzeczywiście wyglądają na mocne. I szczelne – ciągnął, wyraźnie pragnąc zmienić temat. Kilka razy obrócił podniesioną głowę. – Wiesz, do czego to im służyło?

Harmen poczuł ulgę – dawny koleżka nie naciskał na wspólny zakup czarnej wódki – ale jednocześnie zawód: nie miał szansy dania mu do zrozumienia, żeby się odczepił i zdecydowanego odprawienia z kwitkiem.

Zerknął w górę. Lubił widok lejkowatej ściany metalu, zwężającej się ku górze, ginącej w mroku. Cenił poczucie bezpieczeństwa, dawane przez lity odlew, wykonany z nieznanego materiału – i to niezbyt mocne, ale jednak wyraziste poczucie tryumfu, że smakuje dobre dania w miejscu bezapelacyjnie wydartym przybyszom.

Wrażenie – Harmen lubił patrzeć w górę, czekając na posiłek – pogłębiała jasna plama nowego, jeszcze nieukończonego stropu, owijające się wokół masywnego wspornika kręcone schody – wznoszono kolejne piętro. Sądził, że właściciel szybko wybuduje następne. Robotnicy pracowali wieczorami i w nocy, żeby nie odstraszać klientów. Zamierzał nawet powiedzieć ich szefowi, że niepotrzebnie planuje prace po zamknięciu restauracji – teraz już

sprawiała wrażenie monolitycznego schronu. Bezpiecznego i przytulnego kokonu, szczelnie odgradzającego od świata, nadal jeszcze nierozpoznanego – i niebezpiecznego.

Pomyślał, że właściwie i dla niego ta biegnąca w górę otulina, przedzielona nieukończoną jeszcze solidną powalą, stanowi główny powód narastającego przywiązania do tego miejsca – dawała pewność siebie.

Może i dlatego odpowiedział uprzejmie:

– Całkowicie bezpieczne miejsce, dysza silnika ich kosmolotu, sądząc z wielkości, głównego napędu. Pełna izolacja... Polubisz tę restaurację.

Harmen ciągle nie mógł przypomnieć sobie imienia dawnego kolegi. Czuł, że ta niepamięć go męczy – nie miała znaczenia, ale wolałby, żeby jego mózg popisał się zwykłą sprawnością.

Wsadził do ust kolejny kęs. Stracił już nieco ciepłoty, ale mięso nadal świetnie smakowało.

Myers chrząknął, obracając w palcach papierową serwetkę. Przyglądał się jej uważnie.

– Przysługuje do mojego dania? – zapytał niepewnie. – Papier jest cholerycznie drogi. Te wywłoki z zewnątrz drogo sobie liczą za pulpę drzewną. Skażeni, ale o forszę, skubańcy, dbają.

– To dla mnie – szorstko odpowiedział Harmen. – Czytaj!

Podsunał Myersowi jadłospis pod nos. Poczul złość – nieproszony gość powinien wiedzieć, że cena serwetki jest wyraźnie zaznaczona. Nawet tutaj wysoka. I że nie do każdego posiłku kelnerki ją podają – papier stanowił drogą rzadkość.

*Cholerny ćwok – pomyślał – nie pamiętać takich prostych spraw. Oczywiście specjalnie tak pyta.*

Miał dziwną pewność, że dawny znajomek bez żenady zabierze serwetkę. Pewnie je zbierał, wykorzystując spotkania z dawnymi kolegami, a potem z satysfakcją ustawiał na domowym stole podczas świąt, pusząc się swoją zakłamaną zamożnością, w którą i tak nikt z jego znajomych nie wierzył.

*Tandetnym sprytem, poprawił się w myślach. Chęłpi się głupim cwaniactwem. Nadal mieszka na dziobie i pozostanie tam do końca. Pieprzony ćwok.*

Nie zdziwił się, kiedy Myers z szerokim uśmiechem wsadził plastikowy futerałik z serwetką do kieszeni.

– Wezmę sobie na pamiątkę spotkania, co, Linker? – W głosie brzmiała pewność, że Harmen nie zaprotestuje. – Drogie są, a ciebie stać na jedną więcej. Moja stara się ucieszy.

Wyszczrzył w uśmiechu brudne siekacze.

– Nadal mieszkasz na dziobie? – rzucił Harmen. Ciągle nie mógł sobie przypomnieć imienia Myersa. Ten głupi szczegół naprawdę go męczył.

Oczekiwał potwierdzającej odpowiedzi i poczuł dziwną ulgę, kiedy ją uzyskał.

– Jasne, Linker. – Myers pokiwał głową. – Chłopie, najlepsze miejsce na świecie! Trochę ciasno, ale, wiesz, dookoła tyle ludzi, jak nigdzie indziej. Kapitalna sprawa. W życiu nigdzie się bym nie przeniósł. W życiu.

– Oczywiście... Masz rację. – Harmen odsunął talerz. Zostało jeszcze trochę potrawki, ale stracił na nią apetyt – zbyt ostygła. Zresztą, czuł się naprawdę najedzony, jak zwykle przy daniu z krabów. – Stare, dobre kąty.

Poczuł dziwną, złośliwą uciechę, i to podwójną. Myers też nie pamiętał jego imienia – ciągle używał tylko nazwiska. Może cały czas główkował, jak ono brzmi. A teraz na pewno zaproponuje, takim troskliwym tonem, że doje resztki – żeby nie zmarnowało się cenne pożywienie.

Spojrzał mu prosto w oczy, jednocześnie odsuwając talerz w róg, wiedząc, że uśmiecha się przy tym szyderczo. Chciał wyraźnie dać do zrozumienia, że wie, o co dawny znajomek poprosi.

– Serwetka, proszę pana. – Głos kelnerki odwrócił uwagę Harmena. Zdał sobie sprawę, że nie usłyszał stukotu obcasów o płyty. Wiedział, dlaczego: ciągle myślał o tym natręcie. – Doliczę do rachunku. Zabrać już talerz i przynieść piwo? Nie zjadł pan wszystkiego.

Owionął go zapach jej perfum, kiedy schyliła się, sięgając po nakrycie.

Myers głośno przełknął ślinę.

*Czuwała* – pomyślał Harmen. – *Zwróciła uwagę, że miękki kawałek papieru zniknął. Bystra kobitka.*

Ocecił, że ładnie pachnie. Choć nie tak podniecająco jak Liz, naprawdę nieźle – czystym, często mytym ciałem, bez potu, i dobrymi środkami kosmetycznymi, o takim tajemniczym, trudno identyfikowalnym, ale wyrazistym zapachu.

To był naprawdę dobry interes, produkcja tych wszystkich tubelek, tubeczek, flakoników i rozpylaczy. Chciał w niego wejść, ale konkurencja okazała się za ostra. Zdecydowali się z Liz na rozszerzenie działania o produkcję papieru, spokojniejszy biznes. Pamiętał, że Liz nie wahała się ani chwili, kiedy wspomniał o konieczności kontaktów ze skażonymi.

– Dzięki nim przeniesiemy się w końcu w rejon silnikowy – stwierdziła z uśmiechem. – Jaka przestrzeń! Moglibyśmy nawet mieć apartament. Jednak uważaj na siebie. Jeżeli chcą

mieszkać na zewnątrz, to niech się tam gnieźdzą. Ale nazywanie ich wywłokami i odmieńcami jest przesadą – ludzie często bywają dziwni. Pewnie, że niekiedy wyglądają odrażająco, ale czego się nie robi dla dobrego interesu.

Chrząknięcie Myersa wyrwało go z zamyślenia.

– Będę leciał – obwieścił, pociągając nosem. – Linker, naprawdę nie dołożysz się do kupna butelczyny czarnej wódki? Jakiegoś małego pojemniczka?

– Nie. – Harmen potrząsnął głową. – Dysponuję w domu sporym zapasem. Starczy na długo. Przecież ci powiedziałem.

Starannie wytarł usta. Już nie mógł niedbałym gestem zmiąć serwetki i położyć na talerzu – dziewczyna z trzema piersiami go zabrała. Stłumił chęć złożenia kawałka papieru na kilka części i wsadzenia do marynarki – chciał mu się spokojnie przyjrzeć w domu i oszacować koszt produkcji.

– Po prostu stać nas na nią, Myers – ciągnął niedbałym tonem. – Wspólnie z Liz robimy zapasy, raz na jakiś czas. Nie muszę kombinować, pożyczać, składać się. Odliczać poszczególne porcje. Wiesz, chłopie, po prostu nas na nią stać. Przykro mi.

Świadomie mocnym tonem wymawiał poszczególne zdania – chciał, żeby Myers wreszcie zrozumiał, co sądzi o zasobności jego kieszeni. Chciał, żeby do tego cepa dotarło, że uważa go za biedaczynę, próbującego wykorzystać niespodziewane spotkania i naciągnąć na znaczną sumę.

Trochę żałował, że jednak nie rzucił na zakończenie „Odwal się!”.

Zamierzał otworzyć nowy sklep na dziobie i nie byłoby dobrze powiedzieć Myersowi, tak do końca, co o nim myśli – mógłby się mścić, zrażać klientów, wyrabiając jemu i Liz opinię cwaniaków i pyszałków. Pewnie nie miałyby to wielkiego znaczenia, ale jednak zmniejszałyby obrót.

Powstrzymał się, żeby nie powiedzieć czegoś ostrego, ale jednak tego żałował.

Myers nie obraził się. Nawet się uśmiechnął.

– Jasne, jasne... – stwierdził ugodowym tonem. – Dorobiłeś się, ja to rozumiem. Bystrzak zawsze był z ciebie, no i powiodło ci się. Ja tam też nie narzekam – trochę ciasno na dziobie, ale fajne miejsce. Powiedz mi jeszcze jedno – pewnie znasz się na tym, bo kręcisz się w różnych branżach i dużo wiesz, naprawdę sporo.

Poruszył się niespokojnie na krześle. Znowu mówił w ten jednostajny sposób, wyrzucając zdanie po zdaniu, sprawiając wrażenie, że wcale nie zastanawia się, czy Harmen ich słucha. Jakby nie zależało mu na postawieniu pytania i uzyskaniu odpowiedzi.

Jednak nagle je zadał.

– Naprawdę czarną wódkę skażeni robią z trupów przybyszów? – Twarz wykrzywiła się w grymasie niepewności. – Cholercia, musiało ich być naprawdę dużo. I wielkich. Trochę czasu minęło, jak wyginęli, a jeszcze starcza materiału na wódeczkę! Wiesz coś o tym? Coś pewnego?

Niespodziewanie zaśmiał się ochryple.

Harmen znowu poczuł znużenie. Myers został tam, gdzie dawniej lubił przebywać, choć nie za bardzo chętnie widziano go w tym miejscu – na boisku. Niczego nie zrozumiał i niczego się nie nauczył. Ledwie podrosł, już kopał piłkę ze skóry przybyszów, naprawdę dobrą futbolówkę, cenny i drogi przedmiot. Innej skóry nie było, a mas plastycznych tyle, co kot napłakał. Harmen dobrze jeszcze pamiętał, jak dopytywał się, usłyszawszy ten zwrot, czym jest kot – i swoje zdziwienie, kiedy pierwszy raz zobaczył niewielką, miauczącą kulkę sierści.

Myers próbował zatrzymać, przeważnie bez powodzenia, bieg albo lot piłki, chłopaka prowadzącego ją przy nodze – i nie budziła w nim żadnego zdziwienia. A teraz pytał się, czy czarną wódkę naprawdę produkuje się ze zwłok przybyszów.

– Jasne, że tak – odpowiedział Harmen ze zniecierpliwieniem. – Wykorzystujemy wszystko, co się da. Rzeczywiście, wylądowało ich naprawdę sporo, a trupy rozkładają się długo. Bardzo długo. Mieli w sobie coś niezwykle witalnego, tak sądzą ci, co ich badają. Pewnie z tego powodu czarna wódka ma takie właściwości. Nieważne, Myers, skąd pochodzi – ważne, jak działa. Po prostu, daje nam energię do życia... Czyni nas mocniejszymi. Działa jak eliksir witalności.

Myers już wstawał. Pokiwał głową.

– Wykorzystujemy po nich wszystko do najdrobniejszego detalu. – Harmen nie wiedział, czemu się tak nagle rozgadał. Może, osądził, chciał temu tępakowi coś uświadomić. – Jasne, że musi być droga – produkcja, transport, nieuchronne ograniczanie zasobu surowca... Warta jest tej ceny, sam wiesz.

– Wpadnę do ciebie kiedyś, jeszcze sobie pogadamy. – Przybysz zatarł ręce. – Starzy kumple powinni się trzymać razem, bez dwóch zdań. Napijemy się po kieliszeczku. Na początek ja coś przyniosę!

Odwrócił się i odszedł, pogwizdując pod nosem.

Harmen patrzył uważnie na oddalającą się postać. Myers pomachał jeszcze kilka razy dłonią do kelnerki.

Nie odpowiedziała żadnym gestem. Kiedy zniknął za drzwiami wejściowymi, wrzuciła ramionami. Usłużnie postawiła na stoliku butelkę piwa.

Harmen wiedział jedno: musiał się pozbyć Myersa, raz na zawsze, tak, żeby już się nie przysiadł. Nie przyłąził do ładowni, a wkrótce na rufę, i z szerokim uśmiechem pakował do domu. Nie nagabywał o czarną wódkę, pożyczki, nie głaskał kotów i nie dopytywał Liz o Dagny, coraz to śmieiej.

Wiedział, jak to osiągnie – po spotkaniach z podobnymi typami, starymi kumplami z dziobu, nieodmiennie próbującymi go na coś naciągnąć, wypracował skuteczny sposób. Przy najbliższym spotkaniu zbeszta Myersa jak pospolitego prostaka. Zwykłego, nachalnego cepa. Dobrze pamiętał ten wyraz – i uświadomi jego znaczenie Myersowi.

Skażeni przy pozyskiwaniu ziarna z upraw posługiwali się prostymi przyrządami, nazywanymi, nie wiadomo dlaczego, cepami – i wszyscy mieszkańcy kosmolotu śmiali się z tego. Harmen sądził, że niesłusznie. Ale ten dziwny wyraz doskonale pasował do Myersa, do jego tumanowatej prostoty myśli i zachowań.

*Jeżeli jeszcze raz go spotkam, powiem, że jest głupim cepem – pomyślał z niespodziewaną satysfakcją. – Podstarzałym, głupim cepem. Nikim. Wtedy się odczepi.*

Starannie odliczył okazały napiwek. Przez chwilę zastanawiał się nad jego wysokością – i dodał do zwykłej wysokości kilka monet, zdając sobie sprawę, że działa pod wpływem uwag Myersa o skażonych.

Wtedy dołożył jeszcze kilka.

\*\*\*

Do Miasta, zajmującego wnętrze jednego ze zdobytych kosmolotów przybyszów, miał jeszcze spory szmat drogi podziemnym chodnikiem. Światła paliły się przed wejściem do lokalu i spory kawałek dalej – potem rzedły, i, jak zwykle, musiał użyć latarki.

Harmen uśmiechnął się do siebie, ostrożnie omijając nadpęknięty stempel nisko w tym miejscu zwieszającego się stropu. Czuł ucisk buteleczki z czarną wódką w kieszeni spodni, mocniejszy, kiedy się schylił, żeby ściślej związać poluźnione sznurowadło. Wiedziony jakimś impulsem, kupił ją, wychodząc z restauracji. Barman uśmiechnął się kordialnie, kiedy wkładał niepokazną flaszkę do plastikowej torby.

Liz będzie zachwycona nieoczekiwanym podarunkiem – może nawet, jeżeli nabędą więcej trunku, na całe dwa tygodnie przestanie myśleć o Dagny i wróci do siebie. Może nawet znowu zaczną się kochać, uprawiając dziki seks, tak jak dawniej.



Skłamał, mówiąc Myersowi, że posiadają spore zapasy smolistej w barwie gorzałeczki. I dalej się cieszył z tego kłamstwa. Mieli, ale Liz zdążyła już wszystko wypić. Stary znajomek nie musiał o tym wiedzieć.

Na skrzyżowaniu chodników automatycznie skręcił w prawo. Dobrze już pamiętał drogę i nawet się nad nią nie zastanawiał. Równie machinalnie zboczył do ściany – tym odcinkiem zawsze wędrowały kraby. I zawsze środkiem.

Czarne kraby, przywiezione w ładowniach kosmolotów przybyszów. Pewnie, tak wszyscy sądzili, ich pożywienie, a teraz strawa dla ludzi. Niektórzy twierdzili, że przybysze wieźli wiele skrzyń zarodków krabów, wypełniających przepastne ładownie. Kraby ciągle gdzieś szły, ale Harmen, tak jak teraz, nigdy się nie zastanawiał, gdzie i po co. Dawniej niekiedy o tym myślał, ale przestał. Uważał, że nie ma to znaczenia.

Po prostu ciągle wędrowały, a wszyscy sądzili, że tak jest bardzo dobrze – niezwykle łatwo przychodziło je złowić. Wszyscy je też omijali, żeby niepotrzebnie nie unicestwić cennego pożywienia.

Teraz znowu je spotkał – dwa długie szeregi, szparko przemierzające nierówne dno chodnika łącznikowego. Obojętnie rzucił na nie okiem – znowu odniósł powtarzające się od dawna wrażenie, że stały się większe. Urosły.

Teraz niekiedy przystawały, tak jak kilka najbliższych Harmenowi. Zdawały się patrzeć, przyglądać ludziom, ale zaraz ruszały dalej.

Sam nie wiedział, dlaczego zdeptał trzy okazy, starannie rozgniółł na miazgę. Przez chwilę się nad tym zastanawiał, wycierając buty serwetką z restauracji – doszedł do wniosku, że z tego powodu, iż były czarne. Tak samo smoliście czarne jak Dagny, martwa w chwili urodzenia. Kraby żyły i rosły, a jego córeczka nawet nie zdążyła się uśmiechnąć.

Reszta nie zwróciła uwagi na śmierć towarzyszy – jak zwykle zmierzały przed siebie.

Już nie zwracał na nie uwagi – one ciągle szły, gdzieś tam, tylko w sobie wiadomym kierunku, jakby ten marsz miał jakieś znaczenie.

Sam nie wiedział, dlaczego, ale ciągle czuł zadowolenie, że zdeptał trzy skorupiaki. Nawet coś więcej – radość.

I radość sprawiło jeszcze coś innego, drobnego, ale jednak ważnego – wreszcie przypomniał sobie imię znajomka z pomieszczeń dziobu. Jednak je pamiętał, więc jego umysł pracował tak, jak dawniej – sprawnie.

Wychynęło z głębin jego pamięci, kiedy już obojętnie mijał kolumnę czarnych krabów, nadal uparcie gdzieś przed siebie zmierzających, w jakimś dziwnym celu, przez

nikogo nierozumianym i dla wszystkich nieważnym – tak oczywiście pewne, że zdziwił się, iż go nie pamiętał.

Myers miał na imię Jacob.



# EKSPEDYCJA

## Arianne

Jakiś czas temu nasz świat runął. Sam tego nie pamiętam, jednak moja babka wielokrotnie opowiadała mi o tym, co się wydarzyło. Cieszę się, że nie doświadczyłem tego na własnej skórze. Agresywna bakteria wybiła połowę populacji. Osoby, które przeżyły, zostały przeniesione do schronów. Gdy epidemia minęła, tam zaczęło się toczyć życie.

Sam wychowałem się w schronie przynależnym do Instytutu – nie było to dzieciństwo marzeń, wciąż żyło w nas echo strachu naszych przodków. Baliśmy się, że choroba wróci, a my nie byliśmy na to przygotowani. Wciąż nie posiadaliśmy leku.

Gdy wyruszyłem na wyprawę, liczyłem już sobie dwadzieścia dwa lata i byłem świeżo upieczonym botanikiem. O poszukiwaniu ochotników dowiedziałem się z prasy. Mieliśmy zbadać jedną z większych puszczy Europy. Uznałem więc, że będzie to dla mnie wspaniała okazja, by sprawdzić swoją wiedzę, a przy okazji zobaczyć kawałek świata. Zwłaszcza że nie sama puszcza była dla nas celem, a odnalezienie zaginionych członków grupy AD-00, z którymi Instytut stracił kontakt pół roku wcześniej. Nasi przełożeni podejrzewali, że byli

zbyt słabo wyposażeni albo pochłonęły ich bagna. Postanowili więc drugi raz nie popełnić tego błędu i wyekwipowali nas dużo staranniej. Niestety, nie dysponowali dokładnymi mapami tamtych terenów – mieli je sporządzić zaginieni. Znaliśmy tylko przypuszczalną wielkość obszaru.

Dwa dni po zakończeniu wstępnego szkolenia i wyposażeniu w najpotrzebniejsze rzeczy, nasza ekspedycja była gotowa do drogi. Jeszcze mogliśmy się wycofać, byliśmy jednak młodzi i pełni nadziei, spragnieni przygód i niezwykle naiwni. To wszystko zaważyło na naszej wyprawie.

Ja, Andrzej, Borys i Kasieńka byliśmy dobrze przygotowani, a przynajmniej tak nam się wydawało. Andrzej był kartografem, Borys żołnierzem (nieoficjalnie przyznał, że wywalili go na zbity pysk za picie ponad dwadzieścia lat temu), Kasia natomiast specjalizowała się w łączności radiowej na duże odległości. Raczej nie było między nami spięć, przez te dwa tygodnie spędzone w Instytucie doskonale się dogadywaliśmy.

Z samego rana wsadzili nas do wozu terenowego i, jeszcze śpiących, zawieźli tak głęboko w las, jak tylko się dało. Niestety, droga skończyła się szybko. Poinstruowali, że mamy się kontaktować raz na dwanaście godzin, podali nam sprzęt i prowiant w ogromnych plecakach, po czym życzyli powodzenia i odjechali. W tym momencie Borys wsadził łapę pod swoją kurtkę i wyjął piersiówkę, za nic mając prośby i wcześniejsze ustalenia. Kasieńka zrobiła naburmuszoną minę. Była najbardziej zasadniczą ze wszystkich kobiet, które kiedykolwiek poznałem i widziałem po jej oczach, że do końca wyprawy będzie na niego wściekła.

Niewiele rozmawialiśmy. Było chłodno, choć czuliśmy w powietrzu wiosnę. Co jakiś czas zatrzymywaliśmy się, by Andrzej mógł nakreślić nasze przypuszczalne położenie na mapie. Pora dnia nie miała dla nas dużego znaczenia, przez konary drzew przedzierała się niewielka ilość światła. Czulem się jak w ciemnym, zawilgoconym korytarzu. Jedynie śpiew ptaków upewniał mnie, że wciąż jestem w puszczy.

Szliśmy gęsiego, pierwsza osoba torowała nam drogę, co i rusz obcinając gałęzie ostrą maczetą. Nie byliśmy bezbronni – zostaliśmy przeszkoleni w używaniu maczet i pistoletów hukowych ze względu na możliwość spotkania dzikich zwierząt. Otrzymaliśmy również race, na wypadek problemów z połączeniem radiowym w sytuacjach kryzysowych, takich jak zagrożenie życia. Gdyby komuś coś się stało, mieliśmy dawać nimi sygnał co piętnaście minut przez godzinę – po czym pozostawić osobę ranną z bronią i zapasem jedzenia potrzebnego do przetrwania następnej doby. W tym czasie miała dotrzeć pomoc.

Pierwsze dwa dni były dobre – meldowaliśmy o położeniu, na noc rozstawialiśmy

namiot. Nie działo się nic nadzwyczajnego. Póki co, nie znaleźliśmy również nikogo z AD-00, chociaż Andrzej wypatrzył medalik z Matką Boską w ściółce nieopodal naszego obozowiska. Uznaliśmy, że mógł należeć do któregoś z członków tamtej ekipy.

Niestety, niedługo potem Kasięce przydarzył się wypadek – skrzyła kostkę. Początkowo szła z nami, chociaż widać było, że sprawia jej to ból. Wieczorem uznaliśmy jednak, że tak być nie może – dziewczyna się męczy, my zaś mamy coraz większe opóźnienie. Początkowo protestowała, zwłaszcza że żaden z nas nie miał zielonego pojęcia o obsłudze radiostacji. Nie chciała również zostać sama. Wahaliśmy się, była przecież kobietą, nie powinniśmy zostawiać jej samej w głuszy.

Połączyliśmy się z Instytutem, tym razem przed upływem dwunastu godzin. Zamiast poprzeć naszą prośbę o zawieszenie ekspedycji do czasu wyzdrowienia Kasięki, objechali nas od góry do dołu i kazali trzymać się ustalonych procedur, zostawić radiostację i iść dalej. Nawet Borys zmiękł, na pożegnanie oddał Kasi swoją piersiówkę, zaznaczając, że gdy się spotkają, to ją odbierze.

Tego samego dnia dotarliśmy do skalnego występu. Wznosił się na wysokość kilku metrów. Z trudem udało nam się wspiąć i chyba wszyscy dziękowaliśmy w duchu, że otrzymaliśmy również sprzęt wspinaczkowy. Co jak co, ale żaden z nas nie miał powalającej formy, więc wspinanie bez zabezpieczenia nie wchodziło w grę.

Dalszy teren był płaski, choć wciąż mocno zalesiony. Wieczorem Andrzej oznajmił, że połowa drogi już za nami. Cieszyłem się, mimo tego, że martwiłem się o Kasię. Miałem nadzieję, że dotarli już do niej, że niebawem zabiorą ją poza puszcę i będzie czekała na nas bezpieczna, w ciepłe.

Spałem bardzo długo i mocno, dopiero po trzecim szturchnięciu Borysa zerwałem się jak oparzony. Uciszył mnie gestem i wskazał, bym wyszedł z nim przed namiot. Wygrzebałem się ze śpiwora, przeciągnąłem i poszedłem, choć nie miałem pojęcia, co też mój towarzysz może chcieć w najciemniejszej porze nocy.

– Słyszysz to? – zapytał szeptem.

– Co? – odpowiedziałem nieco za głośno, wciąż nie do końca obudzony.

– Wsłuchaj się, młody.

Nadstawiłem uszu, pewien, że gdzieś w okolicy buszuje dzikie zwierzę, dzik albo wilk. Nieco przestraszony, bowiem do tej pory nie miałem okazji widzieć na własne oczy żadnego drapieżnika i, prawdę mówiąc, wolałbym tego unikać. Tymczasem usłyszałem coś zgoła innego – to były rytmiczne dźwięki, ciche zawodzenie dochodzące z niewielkiej odległości. Moją pierwszą myślą było to, że naszej kompanie dzieje się krzywda, ale gdy

wspomniałem o tym byłemu żołnierzowi, popukał się znacząco w czoło.

Poszedłem za nim, starając się naśladować jego ostrożne kroki. Nieomal godzinę drogi od naszego namiotu znajdowała się mała polana, a na niej gład. Gdy jednak przyjrzałem się raz jeszcze, przetarłem oczy ze zdumienia. Wokół kamienia zgromadzeni byli ludzie, nie zauważyłem ich wcześniej w ciemności. Mimo chłodu mieli jedynie przepaski na biodrach, na ich szyjach błyszczały długie sznury wypolerowanych otoczków, które nosili tak, jak nasze kobiety noszą perły. W dłoniach mieli patyki, którymi uderzali jeden o drugi, wyglądało to jak dziwny rytuał, urozmaicony pieśnią w nieznanym nam języku.

Chcieliśmy wycofać się cicho, jednak, będąc niezdarą, nadepnąłem na gałązkę, która pękła z trzaskiem pod moim butem. Zamarłem, a Borys przewrócił oczami wymownie. Nie było sensu uciekać, zbyt słabo znaliśmy ten gąszcz, a oni wydawali się tubylcami. Mieliśmy maczety i mimo przewagi, jaką mieli tamci, czuliśmy się bezpieczni, choć poddenerwowani. Usłyszeli nas, wiedzieliśmy to, gdyż nastąpiła cisza, w której po chwili rozległy się miękkie kroki.

Zbliżyli się do nas w trójkę, reszta zastygła w oczekiwaniu kawałek dalej. Byli niżsi od nas, sięgali nam mniej więcej do ramion. Wszyscy mieli ciemne, długie włosy i czarne, małe jak paciorki oczy. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Byli równie niepewni jak i my. Po chwili jeden z nich wyciągnął do mnie dłoń i delikatnie dotknął mojego czoła. Uśmiechnął się i zauważyłem, że to kobieta – pod otoczkami błysnęła pierś ozdobiona prostymi znakami. Próbowwała coś mówić, ale nie rozumieliśmy.

– Obcy – wydukała w końcu. – Chodź.

Wtedy zrozumieliśmy, że AD-00 musieli tu być przed nami. Pokazywaliśmy na migi, pytaliśmy. Odpowiadali w ten sam sposób, wskazując, że poszli, że ich nie ma. Później kobieta powtórzyła, skinęła na nas ręką i zaprosiła do kręgu. Wciąż trzymając maczety w pogotowiu, poszliśmy za nimi.

Podali nam dziwne kwiaty, przypominające z wyglądu grzybień. Jeden z nich nadgryzł płatek swojego kwiatu i zaczął ssać sok. Spojrzeliśmy niepewni, jednak uczyniliśmy to samo, nie chcąc ich w żaden sposób urazić. Był lepki i słodki, orzeźwiający lepiej niż woda, a jednocześnie poczuliśmy się dziwnie zadowoleni, ocieżali.

Nim się obejrzelśmy, wrócili do przerwanej czynności, a my siedzieliśmy i patrzyliśmy. Tak minęła noc. Gdy tylko świt przedarł się przez gałęzie, zaprosili nas do siebie. Patrzyliśmy na ich małe chatki obrośnięte pnączami. Były niezwykle ładne, jednak jeśliby nas nie zaprowadzili, pewnie byśmy je ominęli – były niemal niewidoczne z daleka. Wokół pełno było bujnej roślinności, drzew i krzewów rodzących owoce o najróżniejszych



barwach.

Borys mruknął coś na temat tego, że Andrzej powinien to zobaczyć. Tymczasem skierowali nas troskliwie do jednej z chat, podali wodę i ich przysmaki. Obsiadły nas kobiety. Powoli zaczynałem się czuć niekomfortowo, nie przywykłem do obsługiwania przez innych, wciąż jednak nie chciałem im uchybić.

Grali i śpiewali, oprowadzali nas po okolicy, pokazywali miejsce, gdzie rosną owe tajemnicze kwiaty. Widać było, że nas lubią. Spędziliśmy tam już dwa dni, a oni nie przestawali nam dogadzać. Było to miłe, jednak krępujące, szczególnie kobiece dłonie, które tak ochoczo pomagały mi zdjąć ubranie, kiedy szedłem się kąpać do pobliskiego jeziora. Mimo że je odganiałem, one się śmiały i spoglądały na mnie. Widać było, że Borysowi pasuje takie zainteresowanie z ich strony. Z mężczyznami grał w jakąś dziwną grę podobną do kości, z kobietami zaś spędzał noce.

W końcu stwierdziłem, że tak być nie może i choć czułem się tu dobrze, rozum nakazywał mi powrót i sprowadzenie tu Andrzeja, a następnie kontynuowanie wyprawy. Im szybciej wyruszymy, tym lepiej dla nas. Poza tym złapałem się na tym, że coraz częściej myślę o Kasieńce i chciałbym być już w Instytucie. Tęskniłem również za smakiem mięsa, a w wiosce tych małych ludzi nie istniało żadne pojęcie na określenie go – kiedy pokazywałem, że chcę coś dużego, w czym mógłbym zatopić zęby, podawali mi owoc lub kwiat przynoszący upojenie.

Nocą wyruszyłem po Andrzeja. Błąkałem się dość długo, udało mi się w końcu dotrzeć do tamtej polany, później szło już łatwiej. Zastałem go siedzącego przy namiocie, tak jak go zostawiliśmy. Miał na twarzy kilkudniowy zarost, na mój widok zerwał się i krzyknął:

– Gdzieś ty, do cholery, był?!

Opowiedziałem mu co i jak. Był wściekły, gdybym był Borysem, pewnie dostałbym w mordę. Natychmiast kazał mi zabierać się za sprzątanie obozu, wyzywał mnie od hulaki, a jednocześnie utyskiwał, że ekspedycja została narażona na szwank przez naszą niefrasobliwość.

Zdenerwowałem się, kiedy kilkakrotnie pomyliłem ścieżkę. Straciliśmy przez to dużo czasu. Dotarliśmy do osady nad ranem, było cicho jak makiem zasiał. Pokazałem Andrzejowi drogę do domku, w którym spałem, i położyliśmy się więc.

Dzień wstał, przynieśli nam śniadanie złożone z owoców. Mój towarzysz nieco się odprężył za sprawą ciemnowłosej kobiety, która cały ranek nie odstępowała go na krok. Wszystko byłoby w porządku, gdybym nie zauważył, że chata Borysa stoi pusta. Zapytałem jego ostatnią towarzyszkę, gdzie poszedł. Wskazała mi jezioro.

Wybraliśmy się tam, ponieważ minęło wiele czasu, a on wciąż nie wracał. Na brzegu stały jego buty, niedaleko leżała kurtka. Zaniepokoiło mnie to, nie widziałem go ani w wodzie, ani nigdzie w pobliżu. Zawiał wiatr i poczułem dziwny zapach dochodzący zza drzew. Przywodził na myśl psujące się mięso. Ruszyłem tam, prowadząc za sobą zdezorientowanego kolegę.

Zmroziło mi krew w żyłach, niedawno spożyty posiłek podszedł mi do gardła. Obok mnie wymiotował Andrzej.

Wśród drzew, na palach wbitych w ziemię wisiały ciała, niektóre obgryzione do kości, inne całkiem świeże. Dostrzegłem nagiego Borysa, chodziły po nim pierwsze muchy. Bzyczenie owadów było nieznośne, wypełniało mi uszy. Chyba płakałem. Rozpoznałem szczątki grupy AD-00, na kilku ciałach zachowały się jeszcze kurtki, które wyglądały jak nasze. Na samym środku poboju stał prymitywny posążek wykonany z drewna i to nasunęło mi myśl, że cofnęliśmy się do czasu składania ofiar z ludzi.

Nie wiem, jak długo tak staliśmy. Mogły minąć minuty lub godziny. Usłyszeliśmy krzyki. Nie znaleźli nas przy jeziorze, domyślili się, gdzie jesteśmy. Andrzej ocknął się pierwszy i potrząsnął mną. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że powinniśmy uciekać, bo skończymy jak reszta.

Deptali nam po piętach, słyszeliśmy uderzanie patyków i zawodzenie piszczalek, wciąż bliskie i niezmiennie. Polowali na nas, bo wiedzieliśmy. Wkrótce nad głową śmignął mi kamień wielkości pięści, potem drugi, który trafił mnie w ramię. Wrzasnąłem z bólu i pociemniało mi przed oczami, jednak biegłem dalej, choć płuca paliły mnie z wysiłku. Nagle Andrzej krzyknął. Dostał między łopatki i padł na ziemię. Próbowałem go podnieść, przez chwilę ciągnąłem go za sobą, ale wtedy któryś z naszych prześladowców zadał ostateczny cios – w jego głowę. Pobiegnąłem dalej sam.

Łzy zalewały mi oczy. Nie wiedziałem, dokąd trafię, jednak moim celem było oddalić się od tego przeklętego miejsca raz na zawsze. W końcu potknąłem się o własne nogi, przekoziółkowałem po stromym zboczu i straciłem przytomność.

Obudziłem się wśród liści. Bolała mnie głowa, czułem się, jakby każda najmniejsza kosteczka w moim ciele była złamana. W gardle miałem sucho z pragnienia, a na mojej piersi spoczywał kwiat.

Początkowo sądziłem, że mnie znaleźli. Jednak minęła niemal doba, a ja wciąż idę, co i rusz ssąc sok kwiatu. Nie jest już tak upojny jak tamtej pierwszej nocy. Teraz czuję w nim gorycz.

Niedługo później dotarłem do skaju lasu i uprzytomniłem sobie, że wciąż mam przy

sobie rące. Wystrzeliłem je. Pomoc przybyła niespodziewanie szybko. Byłem tak zmęczony, że pozwoliłem im zapakować się do helikoptera, i, choć wypytywali mnie, co się stało z resztą, nie byłem w stanie im odpowiedzieć. W końcu ciało odmówiło mi posłuszeństwa i zapadłem w sen.

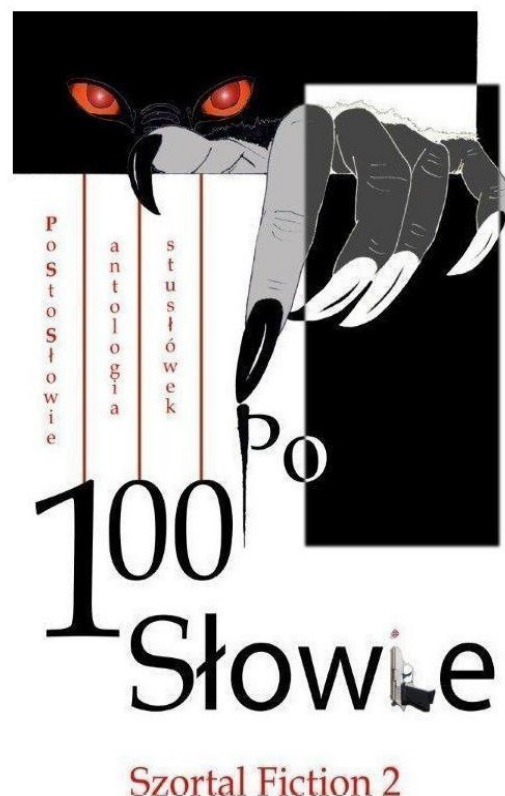
Byłem w Instytucie. Pokój był biały, a ja leżałem na czystym, pachnącym lawendą łóżku.

Podłączyli mnie do kroplówki. Obok mnie siedziała Kasieńka. Kiedy zobaczyła, że na nią patrzę, uśmiechnęła się.

**80 autorów!  
460 tekstów!**

**To tylko liczby, ale  
dla nas  
najważniejsze były  
słowa.  
A dokładniej  
mówiąc, 100 słów.**

**Antologia do  
kupienia w księgarni  
internetowej:**



**[solarisnet.pl](http://solarisnet.pl)**

**Tutaj miało być wyjaśnienie,  
dlaczego antologia  
"Postosłowie" jest dla Was  
niezbędnym zakupem, ale nie  
zmieścilibyśmy tego w stu  
słowach, więc po prostu nie  
napiszemy nic.**



# JA, STRÓŻ

Norbert Góra

Udało się. Pracodawca – chociaż rzekłbym raczej, że potencjalny pracodawca – był ze mnie zadowolony, to znaczy, prawie. Mogłem jednak zauważyć u niego pewne symptomy tego, że już wkrótce zostanę zatrudniony. Przede wszystkim uśmiech i kiwanie głową z uznaniem.

– Wie pan, nie będę owijał w bawełnę. Na terenie budowy mam sporo cennego sprzętu i nie chciałbym, żeby ktoś go sobie pożyczył bez pozwolenia. Ostatnio ledwo uchroniłem się od kradzieży – stwierdził mój przyszły pracodawca, nakreśliwszy w powietrzu cudzysłów.

Ten człowiek miał niewiele ponad trzydzieści lat i czuprynę lekko siwiejących, ale wciąż z przewagą kruczoczarnych, lśniących włosów. Nosił fryzurę à la Joachim Löw. Ubrany w kratkowaną koszulę w kolorach spranego błękitu i rubinowej czerwieni, a także w klasyczne, niebieskie dzinsy – nie wiedzieć czemu, wytarte, niepasujące do reszty stroju – zupełnie nie przypominał bogatego biznesmena, jakim sam siebie określał. Gdzie garnitur,

gdzie skórzane buty? Może jednak był nowoczesnym przykładem człowieka sukcesu, łamiącego oficjalny, cuchnący stęchlizną dress code?

Pokiwałem głową, uśmiechnąłem się – zresztą, on to robił cały czas – a potem wygładziłem swoją białą jak płatki przebiśniegu koszulę.

– Dobrze, oprowadzę pana po terenie budowy i pokażę wspomnianą przeze mnie dyżurkę. To właśnie tam znajduje się cała maszyna odpowiadająca za monitoring. To naprawdę nie jest zła czy ciężka praca – mówił, potrząsając czupryną.

*Też tak sądzę*, pomyślałem i udałem się za nim.

\*\*\*

Zwiedzanie zajęło nam raptem pół godziny. Pracodawca i właściciel terenu, na którym budowano dom, wymigał się pilnym biznesowym spotkaniem. Wsiadł w swoje wypucowane, czarne audi (ten samochód jakby wołał coś w stylu: „Patrzcie i podziwiajcie, jestem przy kasie”) i odjechał z piskiem opon.

Byłem umówiony na rozpoczęcie pracy dzisiaj o dwudziestą, a była dopiero dziesiąta. Postanowiłem poświęcić jeszcze chwilę na rozejrzenie się po okolicy, gdy moją uwagę rozproszył odgłos gwałtownego hamowania.

Zaintrygowany, skierowałem swoje spojrzenie właśnie w tym kierunku i ściągnąłem brwi.

*Kto to może być?* – zastanawiałem się, widząc granatowego, gdzieś tam gdzieś porzucanego seata ibizę. Silnik auta pracował jeszcze przez moment, po czym kierowca wyłączył go, wprowadzając mnie w stan niepewności. Ćwierkanie ptaków, tak licznych w tej okolicy, przelatujących z jednego drzewa na drugie, nie uspakajało ani odrobinę. Chciałem podejść i zapytać, o co chodzi, ale coś mi nie pozwalało. Zupełnie jakbym wiedział, że kierowca seata i tak wysiądzie z samochodu. Nie myliłem się.

Osoba, która prowadziła auto, otworzyła drzwi z charakterystycznym, niezbyt miłym dla ucha skrzypnięciem i wydostała się na zewnątrz z niemałym trudem. Ściągnąwszy brwi, zacząłem się jej przyglądać. Szybko zrozumiałem, dlaczego kierowcy tak długo zajęło, zanim wykaraskał się ze środka i stanął w odległości jakichś dwóch metrów ode mnie. Jego włosy, srebrne jak księżyc na niebie wieczorową porą, uświadomiły mi, że ich właścicielowi nigdzie się już nie śpieszy. Mógł mieć ponad sześćdziesiąt lat. Powolnym ruchem przetarł siwy, niechlujny wąs, zaznaczający się wyraźnie na jego owalnej, pomarszczonej twarzy i ściągnął usta.

Rzuciłem krótkie spojrzenie na ciuchy, w których przyjechał, i cicho westchnąłem. Stare, pogniecione polo – niegdyś białe, teraz zszarzałe jak firanki z reklamy proszku do prania – opinało pokaźny brzuch tajemniczego jegomościa. Z tym wszystkim klóciły się nieco za krótkie i za ciasne szorty w jaskrawym, błękitno-zielonym kolorze. Jeszcze niżej mogło być już tylko gorzej – czarne skarpety do jasnych sandałów.

– Przepraszam, jest szef? – zapytał, kiwając głową w kierunku budowy.

– Nie, nie, właśnie pojechał – odpowiedziałem zgodnie z prawdą i uśmiechnąłem się.

Mężczyzna spochmurniał, opuścił głowę, ciężko westchnął i spojrzał ponownie w moją stronę.

– No nic, postaram się go złapać kiedy indziej.

Bardziej mruczał do siebie niż mówił do mnie. Zignorowałem go i obróciłem się twarzą ku fundamentom, gdy kierowca seata kaszlnął.

– Pan tu do pracy? – zapytał, a ja mimowolnie przeniosłem na niego swoje spojrzenie.

– Tak, jako nocny stróż. Dzisiaj o dwudziestej zaczynam – odparłem z wyczuwalną w głosie dumą, ale nieznajomy podniósł ręce do góry, zrobił wielkie oczy i gwizdnął.

– Jest pan absolutnie pewien?

To pytanie sprawiło, że uśmiech zniknął mi z twarzy. O co mu chodziło?

– Nie rozumiem – powiedziałem chłodno.

– Niech się pan jeszcze zastanowi – mruknął, cały czas lustrując mnie wzrokiem.

*Nad czym niby mam się zastanawiać, pomyślałem ze złością. Mężczyzna musiał zauważyć moje zaniepokojenie.*

– Jestem byłym nocnym stróżem – stwierdził, a ja spoważniałem.

Zdecydowanym ruchem zamknął drzwi samochodu i kroczył ku mnie jak detektyw z powieści kryminalnych, szukający śladu w wymykającej się spod kontroli sprawie.

– Kawał chłopca z pana – powiedział i kiwnął głową z uznaniem.

Przemilczałem te słowa. Przywykłem już, że moje metr dziewięćdziesiąt cztery centymetry robiły wrażenie, nie mniejsze niż brązowe, ciężko układające się włosy, zawsze krótko ostrzyżone, i moja trójkątna twarz, jakby zdjęta wprost z okładki czasopisma Vogue. *Ach, zapędziłem się. Czasami bywam narcyzem.*

– Nie pan pierwszy to mówi – odparłem, siląc się na jakąś ciętą ripostę, ale najwidoczniej nie udało mi się. Siwowłosy stanął twarzą zwróconą do miejsca budowy i wydał z siebie cichy śmiech.

– Nie panujmy sobie. Jestem Leon – powiedział i wystawił dłoń.

– Piotr, miło mi – mówiąc to, uściśniłem jego prawicę.

– Pracowałem tu rok – szepnął, a jego głos sprawił, że coś we mnie zadrżało.

*Dlaczego mówi o tym jak o najbardziej brutalnym koszmarze?*

– Dlaczego zrezygnowałeś?

Moje pytanie przyciągnęło uwagę Leona. Spoważniał. Szybko wygładził wąsa – to jakiś tik nerwowy? – i wypuścił powietrze z ust.

– Zrezygnowałem, bo... – zaczął i obrzucił fundamenty domu lodowatym spojrzeniem

– Tu działo się coś niedobrego.

Nie miałem bladego pojęcia, o czym mówił.

– Coś niedobrego?

Chwila ciszy między nami. Leon chyba posmutniał.

– Ten dom budują już trzy lata – stwierdził nieco ponurym głosem.

*Ile?!*

– Trzy lata? Jak to możliwe? – zapytałem, nie mogąc uwierzyć.

– Ten nowobogacki kretyn, teraz już twój szef, wpakował się w niezłe bagno. Kupił tę działkę dosyć okazyjnie jak na podwarszawskie stawki i chciał zbudować dom. Prawie mu się udało, prawie.

– Prawie? Chcesz powiedzieć, że przez trzy lata nie zdołał nawet doprowadzić go do stanu surowego?

– To nie takie proste, jak myślisz. Kiedy budowlańcy zatrzymali się na wylewaniu betonu, budowa nie mogła ruszyć dalej.

Mówił nie do końca zrozumiale.

– Jak to, nie mogła ruszyć dalej?

Leon spojrział na mnie ze strachem w oczach.

– Trzy razy wylewali beton i za każdym razem pękał. Dosłownie. Wylali gruszkę jednego dnia, nazajutrz beton kruszył się co chwila. Na początku podejrzewano, że to słaba jakość, ale... – Leon przerwał i po raz kolejny ciężko westchnął.

*Wyduś to z siebie*, pomyślałem, chociaż chciałem to powiedzieć na głos. Z ust wyrwało mi się jedynie:

– Ale?

– Ekipa budowlana postanowiła spróbować po raz ostatni. Wylewano beton pod wieczór i wtedy zdarzyło się coś, czego nie zapomnę. W okamgnieniu pojawiły się na nim ślady butów, chociaż, z wiadomego powodu, nikt z budowlańców po nim nie chodził.

Wpatrywałem się w Leona jak w pluszową zabawkę, gadającą głosem rodem z najgłębszych otchłani piekieł.



– Ślady butów?

– Dokładnie. Pojawiły się znikąd, ot tak. Podobne widywałem na starych filmach o drugiej wojnie światowej. Wiesz, wojskowy but, solidna podeszwa.

Przez moment patrzyłem jeszcze na tego starszego człowieka i po chwili zamrugałem oczami. Coś mi nie pasowało w jego opowieści.

– Wspominałeś, że byłeś nocnym stróżem przez rok. Skąd wiedziałeś o tym wszystkim, skoro, jak sam mówiłeś, ten dom jest budowany od trzech lat?

Leon uśmiechnął się. Wyczuł moje intencje, wyczuł nieufność, która ode mnie promieniowała.

– Mieszkam w okolicy i najpierw pomagałem przy budowie. Potem, ze względów zdrowotnych i po rozmowie z szefem, przenieśliem się na stanowisko nocnego dozorczy – powiedział, kiwnąwszy głową w stronę samochodu. Podeszedłem bliżej auta i spojrzałem na rejestrację.

Żadnych podejrzeń. Leon faktycznie musiał mieszkać w pobliżu.

– Nie wierzysz, co? – zapytał, zbliżając się do mnie.

– Sam nie wiem – odparłem, opuszczając ręce wzdłuż ciała. – Była tylko jedna ekipa?

– Och, nie, naturalnie, że nie – stwierdził Leon i pokazał mi trzy palce prawej dłoni. – Były trzy różne ekipy. Druga zwinęła się po miesiącu, a trzecia po dwóch tygodniach. Jeden z pracowników tej ostatniej mówił, że słyszał jakieś głosy w obcym języku. Przemyśli swoją decyzję. Ten cały biznesmen powinien wyburzyć fundamenty i wynieść się stąd w cholerę. Tu nie jest bezpiecznie.

Pokiwałem głową, bez zrozumienia. Zacząłem nawet zastanawiać się, dlaczego starszerek chciał mnie nastraszyć. Pewnie gdybym zrezygnował, szef błagałby go o powrót, a wtedy mógłby wydrzeć dla siebie niezłą podwyżkę.

*Nic z tego*, postanowiłem, zmierzając do domu.

\*\*\*

Wróciłem na teren budowy o dziewiętnastej pięćdziesiąt. Wysokie brzozy poruszały się na niespokojnym wietrze, jakby ich gałęzie – niczym upiorne ręce – próbowały osłabić moją odwagę do podejmowania nowych wyzwań.

Szef stał blisko swojego luksusowego samochodu, co chwila rozglądając się na prawo i lewo. Jego zachowanie – stukanie podeszwą białych, sportowych butów o ziemiste podłoże – zwróciło moją uwagę.

– Już jestem – poinformowałem go. W pierwszej chwili obrócił się ku mnie z przerażeniem i prawie uderzył pośladkami o drzwi auta. Był blady jak cała fabryka papieru. Miał na sobie niebieską, niedostosowaną do pory roku wiatrówkę i przewiewne, szare spodnie do joggingu. Czy tego człowieka naprawdę charakteryzował kompletny brak gustu?

– Och, wyśmienicie. Zgodnie z umową, daję panu klucze do dyżurki. Mój numer telefonu pan też ma, w razie czego proszę dzwonić – wyrecytował jak lektor reklam o tematyce medycznej i uśmiechnął się nerwowo. Skinąwszy głową na pożegnanie, wsiadł do samochodu, odpalił silnik i odjechał, tak samo jak poprzednim razem, z piskiem opon.

Mało brakowało, a klucze, które miał mi wręczyć, wylądowałyby na ziemi. Dlaczego tak się spieszył? Ktoś na niego czekał, czy bał się tu przebywać?

Przez moment jeszcze patrzyłem, jak audi opuszcza zwirową ścieżkę i skręca w prawo, na asfalt, i wspominałem przerażone spojrzenie szefa. W jego oczach płonął lampion strachu, i to nie był byle jaki płomień. To był ogień lęku pierwotnego, lęku przed nieznanym i niewytłumaczalnym.

Już kilka razy w swoim życiu widziałem podobne spojrzenia, kiedy ludzie przecierali nowe szlaki – nieodgadnione, z czyhającymi na rogu zagrożeniami, wyskakującymi w najmniej spodziewanym momencie. Chcąc, nie chcąc, przypominałem sobie słowa Leona.

*Tu działo się coś niedobrego.* Czy ten „nowobogacki kretyń”, jak Leon nazywał szefa, zdawał sobie z tego sprawę?

*Wtedy zdarzyło się coś, czego nie zapomnę.* Przełknąłem ślinę i spojrzałem w kierunku dyżurki. Niesamowite. Właściciel tej działki, na której rozpoczęto budowę, zainstalował na całym terenie monitoring składający się z pięciu kamer, a także kazał postawić i zorganizować specjalne pomieszczenie, mające raptem osiem do dziesięciu metrów kwadratowych, skąd zarządzało by się monitoringiem. Zapewne później, jak już dom zostanie zbudowany, to pomieszczenie przeistoczy się w kanciapę na narzędzia.

*Tu działo się coś niedobrego.*

Mrugnąłem oczami. Miałem nieodparte wrażenie, że czuć tutaj osobliwy, trudny do scharakteryzowania zapach, jakby zepsutego mięsa.

*Uspokój się, człowieku.*

– To tylko zwykły teren budowy najnormalniejszego domu pod słońcem – powiedziałem na głos, po czym szybkim krokiem udałem się do dyżurki. Otworzywszy ją, rozsiadłem się wygodnie na obitym czarną, ekologiczną skórą fotelu obrotowym.

Bez wyraźnego celu rozejrzałem się po pomieszczeniu i zamarłem, gdy zobaczyłem czarne urządzenie, leżące blisko ściany naprzeciwko wejścia, na sosnowym, wypolerowanym

biurku. Ściągnąłem brwi, wstałem z fotela i podszedłem bliżej. Po chwili – z rosnącym wewnątrz mnie zdziwieniem – uświadomiłem sobie, że to był paralizator.

– O cholera – wymamrotałem z trudem. Ktoś na serio traktował kwestię bezpieczeństwa.

*Ślady butów.*

Nagle słowa Leona przybrały zupełnie inne znaczenie – groźniejsze, bardziej niepokojące.

*Wtedy zdarzyło się coś, czego nie zapomnę.*

Może to szef zostawił go tutaj. Przecież wspominał, że raz o mało nie został okradziony. *Oby tak było*, pomyślałem, starając się uspokoić. Wypuściwszy powietrze z ust, wróciłem na fotel i zacząłem obserwować to, co rejestrowały kamery.

\*\*\*

– A ty eta kto?

Otworzyłem oczy i potrząsnąłem głową. Ku mojemu zdziwieniu, musiałem zasnąć. Przerażony wyjąłem z kieszeni spodni telefon komórkowy. Dwie minuty po dwudziestej trzeciej. Obudził mnie czyjś szept. Niski głos, na granicy mowy i jęku.

*To tylko sen*, mruknąłem do siebie i przeciągnąłem się. Przewinałem monitoring. Przez pierwsze trzy godziny pracy kamery nie zarejestrowały niczego podejrzanego, ale kiedy...

– O Jezu. O Jezu Chryste.

Stopklatka z godziny dwudziestej trzeciej, tuż przy wjeździe na teren budowy. Cienista, wysoka postać. Stała wyprostowana, na baczność, plecami do kamery. Wyłączyłem pauzę i przewinałem dalej, o dwie minuty. Postać po prostu rozplynęła się w powietrzu.

– Paniał? Kto ty?!

Obróciłem się twarzą w kierunku drzwi wejściowych do dyżurki. To właśnie stamtąd dochodził ten dziwny, jęczący szept.

– Halo, kto tam jest? – zapytałem niepewnie, gotów w każdej chwili podnieść się z fotela. Odpowiedź nie nadchodziła.

Lekko chrząknąwszy, przeniosłem spojrzenie na ekran komputera. Wszystko w porządku. Udałem się w głąb pomieszczenia, gdzie leżał paralizator, i sięgnąłem po niego drżącą ręką. Czułem, jak wzrasta mi ciśnienie krwi.

*Tu działo się coś niedobrego.*

Musiałem wziąć byka za rogi – to była moja praca. W jednej ręce dzierżąc paralizator, a w drugiej niewielkich rozmiarów czerwoną latarkę, którą pożyczyłem z domu, wyszedłem na zewnątrz.

*Pora na obchód*, pomyślałem, przesuając od prawej do lewej strony ręką, w której trzymałem latarkę. Postawiłem trzy kroki do przodu i prawie wrzasnąłem, gdy drzwi od dyżurki zamknęły się z hukiem. To nie mógł być wiatr – dzisiejszej nocy był zbyt słaby.

*Wtedy zdarzyło się coś, czego nie zapomnę.*

Rzuciłem się w kierunku drzwi wejściowych do dyżurki i szarpnąłem za klamkę. Zero reakcji. Były zamknięte na amen, chociaż klucze nie znajdowały się w zamku. Zupełnie tak, jakby ktoś napierał na drzwi od wewnątrz.

*Uspokój się, to wszystko da się jakoś racjonalnie wytłumaczyć*, mówiłem do siebie, starając się zachować zimną krew.

– Kak tiebia zawut, bladź?!

Znowu ten jęczący, niski głos. Dochodził zza moich pleców, gdzieś spomiędzy tych wysokich, poruszających się na wieczornym wietrze brzoź. Obróciłem się twarzą w tamtym kierunku i zamachnąłem się latarką, tak dla absolutnej pewności, czy nikt nie próbował podejść mnie od tyłu. Przeciąłem jedynie powietrze, powodując, że latarka wyłączyła się na moment. Na tę jedną chwilę zostałem całkowicie bez światła. Nawet mleczną poświatę księżycy skryły chmury.

*No, dalej, dalej*, jęknąłem, potrząsnąwszy latarką.

Ulga.

Niewielki snop światła padł na szeleszczące krzewy. Nie zauważyłem nigdzie fluorescencyjnych oczu ani tej dziwnej, wysokiej postaci, która pojawiła się na nagraniu monitoringu. Błyskawicznie porzuciłem myśli o zawodzącym głosie i zamykających się drzwiach od dyżurki.

– Narzędzia... – zdołałem wyszeptać i opuściłem ręce. Miałem ich pilnować.

Biegiem przemierzyłem kilka metrów, dzielących okolice dyżurki od wejścia na teren budowy. Co za szczęście!

Wszystkie – mało używany młot udarowy, srebrna wiertarka i pilarka tarczowa – leżały zaledwie o krok od fundamentów. Leżały pozostawione same sobie, na widoku, tak jakby ktoś chciał, żeby zostały zrabowane.

Pozornie niepowiązane ze sobą kawałki tej układanki teraz tworzyły mniej lub bardziej logiczną całość. Najpierw pomyślałem o człowieku, dla którego od paru godzin pracowałem – ubranie niezbyt charakterystyczne jak na rozwijającego interes biznesmena, ten

strach w jego oczach, płonący żywym ogniem, ta niekończąca się budowa, niepotrzebnie stworzona dyżurka i... narzędzia, beztrosko rozrzucone na ziemi.

– Czy to możliwe? – szepnąłem, drapiąc się po głowie. Czy mój szef był prawdziwym pomyślnym, który wciągał wyselekcjonowanych przez siebie ludzi do swojej chorej gry? Kim w takim wypadku był Leon? Sprzymierzeńcem czy wrogiem?

Poczułem, że jest mi niedobrze. Cała ta sytuacja wymykała się spod kontroli, wymykała się jakimkolwiek zrozumieniu.

– Czas się stąd zmywać – mruknąłem i skierowałem latarkę w stronę wyjścia z terenu budowy. Gdy postawiłem raptem dwa kroki, usłyszałem szelest pośród krzewów.

Ktoś się zbliża, podpowiadała mi podświadomość. Oświetliwszy trzy krzewy, które rosły swobodnie nieopodal dyżurki, zamarłem. Spomiędzy nich wyłoniła się cienista postać.

– Gawarisz, bladź! Kto ty?!

Drżałem. Nie byłem w stanie wydobyć z siebie nawet piśnięcia. Istota, która wydostała się zza zarośli przypominała sowieckiego żołnierza z czasów drugiej wojny światowej. Upiornie blada, pociągła twarz, szara, zmechacona czapka furazerka na głowie. Nosił na sobie ciemnozielony, drelichowy mundur, a na nogach miał czarne buty – sapogi. Był realny, nie mniej niż szeleszczące krzewy i brzozy o wysokich koronach, dumnie wyginających się pod wpływem wiatru. W rękach trzymał bagnet.

*Wtedy zdarzyło się coś, czego nie zapomnę.*

Leon nie kłamał. Tu musiał rozegrać się prawdziwy horror. Na oczekaniu wyobrażałem sobie twarze budowlańców, będących świadkami jednego z tych niewytłumaczalnych zjawisk. Spojrzałem jeszcze raz na obuwie postaci.

*Wiesz, wojskowy but, solidna podeszwa.*

Kiedy to „coś” stanęło w odległości trzech, może czterech kroków ode mnie, podświadomość po raz kolejny dała o sobie znać. Kazała mi uciekać.

*A narzędzia?* – zastanowiłem się przez moment, po czym, z rezygnacją, machnąłem ręką i upuściłem paralizator. Nikt i tak by ich nie ukradł. Nie wtedy, kiedy na posterunku był „wartownik”.

Wystarczyło mi wrażeń jak na jedną noc. Ciężko dysząc, uciekałem, co jakiś czas obracając się do tyłu, czy nikt nie podąży moim śladem. Istota w furazerce zatrzymała się przy wejściu na teren budowy i przecięła powietrze bagnetem w niezrozumiałym geście, chociaż ja domyślałem się, co chciała mi przekazać.

*Nigdy więcej tu nie wracaj.*

\*\*\*

Wróciłem jednak nazajutrz, krótko po godzinie dziewiątej. Przez całą noc nie mogłem skontaktować się z szefem. Jego telefon był wyłączony.

Na miejscu, ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, spotkałem Leona przechadzającego się w tę i w tę. Tuż za nim znajdowały się, ciągnące się w nieskończoność, policyjne taśmy bezpieczeństwa.

– Co się stało? – zapytałem, zwracając jego uwagę, uprzednio kiwnąwszy głową w kierunku taśm.

– O wpół do pierwszej wpadłem tu zobaczyć, jak sobie radzisz. Kiedy zauważyłem, że nikogo nie ma w pobliżu, a dyżurka jest zamknięta, pomyślałem, że musiało wydarzyć się coś złego. Ponadto w okolicy budowy ktoś się kręcił. Widziałem na własne oczy jakąś postać.

Przełknąłem ślinę i nieomalże usłyszałem jęczący głos. „*Pania! Kto ty?!*”.

– Było włamanie? – zapytałem, wchodząc mu w słowo. Uśmiechnąwszy się, pokręcił głową i kontynuował:

– Nie, ale i tak zadzwoniłem na policję. Przyjechało dwóch gości z owczarkiem. Nie wyobrażasz sobie, co odkrył ten psiak.

Ściągnąłem brwi i usta. Bałem się nawet zapytać.

– Zresztą, sam zobaczysz – dodał po chwili. Przeszliśmy kawałek wzdłuż taśm.

Kiedy Leon zatrzymał się i wskazał coś palcem w pobliżu dyżurki, szczeka mi opadła.

Raptem cztery kroki od miejsca, gdzie stała dyżurka – bardzo blisko krzewów – znajdowała się ogromna dziura, przy której pracowało mnóstwo osób i trzy duże koparki. Ludzie przechodzili z prawej strony na lewą, starali się przekrzykiwać warkot silników albo porozumiewali się na migi.

– Ten owczarek – powiedział Leon, patrząc na grzecznego, stojącego tuż przy jednym z policjantów psa o czarnej, podpalanej sierści i wystawiającego swój długi, różowy jęzor – znalazł masowy grób żołnierzy sowieckich z czasów drugiej wojny światowej. Miałem rację, że działo się tu coś niedobrego.

Gdy Leon tylko wspomniał o żołnierzach sowieckich, od razu przypomniała mi się istota z bagnetem w dłoniach i furażerką na głowie.

– Błądź! – Jakbym znowu to słyszał.

*Spokojnie*, pomyślałem i wypuściłem powietrze z płuc. Teraz mogłem znaleźć sobie ciekawsze zajęcie. O wiele ciekawsze i... co najważniejsze... spokojniejsze.



# KOMPOST

Adrian Zwoliński

*Zadzwoni jutro. Tomuś obiecał, że zadzwoni jutro, a odwiedzi mnie, jak tylko będzie miał wolne popołudnie. Młodzi tyle dzisiaj pracują, kiedy mają czas na te studia? Tacy ambitni, kiedyś było spokojniej, ja rozumiem... Ale czemu nie przyjechał? Już trzeci raz. Coś mnie strasznie boli, o tu, panie doktorze. Mówiłam pani Kolarzewskiej, żeby tyle nie piła tej wody, lekarz zabronił. Nie mogę, babciu, oddzwonię za godzinę. No, ale czekaj. Rozłączył się. Marlena tak samo, ciągle ma zajętą komórkę. Abonent czasowo niedostępny, proszę zostawić wiadomość. Zostawiłam już trzy. Zajęta linia.*

Józefinę obudził hałas. Ktoś wrzeszczał na korytarzu, jakby obdzierano go ze skóry. Krzyk zagłuszył dźwięk tłuczonego szkła i przewracanych krzeseł. Po chwili przeraźliwy wrzask przerodził się w jęk, aż umilkł zupełnie. Zapanowała cisza. Józefina mieszkała w Ośrodku już dwa lata i nie pamiętała, żeby ktoś krzyczał. Ani w złości, ani ze strachu, jak

przed chwilą. Szpital szeleścił za dużymi kapciami, z rzadka skrzypiał źle dokręconym kołem wózka inwalidzkiego. Ściszone rozmowy i rozdzwonione łyżeczki odbijające się od ścian filiżanek pętały uszy. Pokoje zdawały się różnić wyłącznie liczbą łóżek, a pierwszy i ostatni oddech dnia miał smak lawendowego odświeżacza powietrza. Znajome dźwięki, obrazy i zapachy porastały życie w Ośrodku niczym gęsty, rozłożysty bluszcz, pnący się po ruinach domostwa.

Pokój był pusty. Halina, współlokatorka Józefiny, gdzieś poszła, w dodatku na bosaka – zostawiła poobszywane różowymi cekinami buty, innych nie miała. Dopiero kiedy Józefina usiadła, zobaczyła, że z łóżka współlokatorki zwisa pogniecione, naznaczone śladami brudnych stóp prześcieradło. Halina miała liczne przyzwyczajenia, jak chociażby składanie pościeli za każdym razem, kiedy opuszczała pokój, albo chodzenie w świecących różem, ponoć przywiezionych z Brazylii butach. Józefina przetarła twarz, wyczuwając ręką paletę zmarszczek i wgłębień. Zdawało się, że przybywa ich z każdym rankiem, jakby karmiły się wzbierającą frustracją. *Tomek miał zadzwonić z samego rana, znowu zapomniał!* – pomyślała kobieta, prawie zapominając o tym, co wyrwało ją ze snu. Gdy tylko wspominała wnuczki, myśli biegły od skojarzenia do skojarzenia, choćby po raz setny wydeptaną drogą. Mieli wpaść jakiś czas temu. Józefina bardzo kochała Tomka i Marlenę, w końcu wychowała dzieci po tragicznej śmierci ich rodziców. Uwielbiała gości, a że jedynymi, których miewała, byli Tomek i Marlena, od poniedziałku do piątku o siedemnastej, a w weekendy o dziesiątej stawała przy oknie, wypatrując srebrnego BMW Tomka albo smutnej twarzy taksówkarza przywożącego Marlenę. Od wczoraj lekarz kazał Józefinie zażywać nowe pigułki. Nigdy nie działały na nią środki nasenne, ale te dosłownie zwały ją z nóg. Opadła na materac po porannym obchodzie lekarskim. Teraz na zewnątrz panował mrok i gdyby nie mleczne światło gwiazd, zaległe nad Ośrodkiem niczym drapieżna zjawia obserwująca z góry ofiary, sala tonęłaby w nieprzeniknionych ciemnościach. Ktoś znowu krzyknął, jednak tym razem kilka pomieszczeń dalej.

Józefina zsunęła się z łóżka i skierowała się w stronę drzwi. Zwyródnienie kręgosłupa dało o sobie znać tępym, rozchodzącym się wzdłuż ciała uciskiem, lecz musiała zbadać, skąd biorą się odgłosy i co stało się z współlokatorką. Halina miała mieć urodziny za dwa dni, ale to tylko data. Wiadomo, że w pewnym wieku czas i przestrzeń przestają mieć większe znaczenie. Może wszyscy udali się na przyjęcie? Pensjonariuszka wyszła na słabo oświetlony korytarz. Prostokątny tunel z obu stron zamykały zielone drzwi, które teraz zwisały, kołysząc się lekko na zawiasach. Józefina powiodła wzrokiem po smudze krwi, zdobiącej jasne linoleum. Czerwony ślad kończył się przy stercie przewróconych krzesel, gdzie leżała jedna



z pielęgniarek. Sanitariuszkę powoli pochłaniała gęsta, szkarłatna ciecz, sącząca się z roztrzaskanej czaszki. Można było poznać, że ma się do czynienia ze zwłokami kobiety tylko po stroju oraz długich, pomalowanych na zielono paznokciach, które teraz wbijały się w zmasakrowaną twarz, jakby chciały wyrwać i zachować cząstkę dawnej urody. Józefina rozejrzała się dokładnie raz jeszcze, starając się zapamiętać każdy szczegół. Brzydziła się widokiem wnętrzności, więc tym bardziej była zaskoczona, gdy uświadomiła sobie, że kieruje nią ciekawość, nie strach. Kiedy szła chłodnymi, opuszczonymi korytarzami, miała coraz silniejsze wrażenie, że coś złego obserwuje jej chód, lecz gdy spoglądała za siebie, za każdym razem spodziewając się najgorszego, widziała tylko martwe, białe ściany Ośrodka. Natykała się na zniszczone meble i wybite okna. Długie niczym macki ogromnej meduzy, obleczone przezroczystym plastikiem kable straszły z wyrwanych jarzeniówek.

– *Przecież robimy to dla jej dobra, jeszcze mamy z tego kasę.*

– *Nie mogłeś znaleźć gorszej wymówki.*

– *Dla kraju nawet. Czytałaś wczorajszą „Narodową”? Nie? No to przeczytaj.*

– *Wspieram composting, ale niekoniecznie na naszej babci, teraz rozumiesz?*

– *Composting czy eutanazję? Co?*

– *Spierdalaj.*

– *OK, spoko. Nie ma sprawy. Jeśli sama będziesz jej zmieniała pieluchy, to luz, nie musimy robić po mojemu, znaczy po normalnemu.*

– *Można ją przenieść gdzieś bliżej, no i bez compostingu.*

– *Co ja, kurwa, znajomym powiem? Zapieprzamy do kościoła przedsoborowców, przecież ty masz nawet legitymację Frontu Nowej Polski, a tu nagle, że spoko, oddaliśmy babcię do ośrodka, ale takiego zwykłego. Kurwa, nie godzi się. Jesteśmy odpowiedzialni za ten kraj!*

– *Ale nie kosztem starej! Nie wiem, jak to zniosę, ja naprawdę ją lubię.*

*O czym oni mówią? Zupełnie nie wiem, młodzi mają tyle spraw na głowie, tacy zabiegani, świat strasznie się zmienił. Mówiłam już, że zmarł mąż Aliny? Tydzień temu, zupełnie sam w domu, Alina była na spacerze z psem. Straszny cios, straszny. Ciasto pyszne, wyśmienite, mój drogi. Ile mają lat? O, to już duże dziewczyny z nich!*

Silny ból pleców o mało nie powalił Józefiny na ziemię. Z trudem dotarła do salonu, a kiedy przekroczyła próg sali, kolana same się pod nią ugięły. Z potężnego żyrandola, powieszony za własne jelita, zwisał doktor Krukowski. Tuż pod nim piętrzyły się rozszarpane ciała. Ciężko było odróżnić, czy ze stosu zwłok wystaje zakrwawiony kikut, czy lśniąca brunatną czerwienią postrzępiona poręcz krzesła. Reszta trupów leżała za przelamanym na

pół stołem, gdzieś między rozrzuconą zastawą a przewróconą szafką na książki. Józefina rozpoznała w przygniecionym przez mosiężny zegar starszym mężczyźnie sąsiada z pokoju 32. Z szyi nieboszczyka wystawała srebrna wskazówka, próbująca wyrwać się z grubej tkanki i siłą mechanizmu nadać bieg czasowi. Kobieta wpatrywała się w tykający cicho wskaźnik, jakby miał zaraz wyrwać się z pułapki, ruszyć do tyłu i przywrócić harmonię wczorajszego dnia. Ręka pensjonariuszki zakresliła odruchowo znak krzyża, jakby symbol miał oddalić wszechogarniającą śmierć. Krucyfiks nad wejściem tkwił odwrócony, egzemplarz podręcznej Biblii błyszczał pozłaczanymi kartkami, tuląc się do trzymającej go brudnymi palcami oderwanej kończyny. Józefina chciała wstać z klęczek, lecz ból był tak potężny, że zamiast uciekać, przewróciła się na bok, kuląc się ze strachu i cierpienia. Tuż obok jej głowy zadzwoniła komórka. Telefon wibrował bezradnie, próbując przywołać właściciela. „Always look on the bright side of life” rozbrzmiało dźwięcznie wśród nocnej ciszy.

Pod ciężkimi, powolnymi krokami dywan ugiął się rytmicznie, sprawiając, że głowa Józefiny niemalże poruszała się w rytm muzyki. Kobieta zagryzła wargi. Starła się po prostu zasnąć, wmawiając sobie, że śni na jawie, zaraz obudzi się uśmiechnięta i wyspana. Do kroków dołączył głęboki, głośny oddech, a chwilę potem smród rozlewający się w nozdrzach, gardle i żołądku, żądający wymiotów na ołtarzu z zakrwawionej tkaniny. Józefina delikatnie uchyliła powieki. Przez łzy dostrzegła szary i obrosnięty zielonymi punktami kształt. Lepkie ciepło, jak powietrze po burzy zapadające nad miastem w środku lata, zmieszało się z odrażającym zapachem. Komórka uniosła się do góry, znikając w szarości, a po chwili szczątki telefonu posypały się na głowę kobiety. Ucichł oddech, dzwonek telefonu. Zdawało się, że krew przestała kapać z okaleczonych ciał, rozmasała się różem i szkarłatem w powietrzu, zamieniając przestrzeń w najgorsze z dzieł Pollocka. Józefina przestała słyszeć bicie własnego serca, do tej pory walącego w bramy klatki piersiowej. Uczucie gorąca odbierało zmysły, jakby zawisł nad nią wielki kaloryfer, dotykając chropowatą powierzchnią łydek, ramion i tyłu głowy. Poczuła, że świat zaczyna płynąć, oddalać się od niej. Po chwili zrozumiała, że to nie świat, lecz ona zmieniła pozycję. Trąc obolałym policzkiem po linoleum, dostrzegła siwy, rozmazany kwadrat, ciągnący ją wzdłuż korytarza za nogę. Łzy spłynęły do ust, wzięła głęboki oddech, krztusząc się nimi. Poczuła, jak noga bezwładnie opada na ziemię. Przytłaczająca, niewyraźna figura, boski trójkąt z wszechwidzącym okiem pośrodku, nachyliła się nad nią, urosła jeszcze bardziej, schylając się aż do samej twarzy kobiety, po czym zniknęła za zakrętem. Ciężko powiedzieć, czy to hałas wystrzałów, czy przenikliwy alarm przegonił napastnika.

Józefina przeczołgała się na bok i nawet nie spostrzegła, jak szybko pochłonęła ją ciemność wąskiej klatki schodowej. Zsunęła się po schodach, resztkami sił trzymając podbródek blisko piersi, tak, by nie uderzyć głową o żaden z licznych stopni. Nogi i ręce odmówiły posłuszeństwa, kręgosłup zdawał się być obumarłym pniem, który za nic nie chciał posłużyć jako podpora dla reszty zbolałego ciała.

Pomieszczenie rozświetlały jarzeniówki. Blade, sztuczne światło odbijało się od sztucznych zbiorników z wyciekającą galareta, białych kafelków, metalicznych rur, paneli i półprzezroczystych monitorów. Podłużne pomieszczenie lśniło niczym naświetlana przez opiekuna kostnicy posiniała skóra trupa.

– Wynocha – jęknął słabo głos, który Józefina natychmiast poznała.

Doktor Rozbicki, opiekun medyczny Józefiny, siedział pod jedną z rozbitych kadzi, kręcąc ze smutkiem głową. Lekarz spróbował się podnieść, lecz bezskutecznie. Ciężko powiedzieć, czy poślizgnął się na rozlanej brei, czy też gęsty płyn przykleił go do podłogi.

– Wynocha! – krzyknął, wciąż usiłując wstać, niezgrabnie podpierając się rękami. – Koniec, wszystko skończone. Wszystkich zabijają, lata ciężkiej pracy pójdą na nic. Na nic!

– Ciebie zabijają, cały kompost i Nowych. Wszystko w pizdu. Tu chodzi o przetwarzanie, o nowe życie, wyższą jakość. O dobro ojczyzny – powiedział Rozbicki, jakby odpowiadając na pytania, które Józefina zadała sobie w myślach. – Nowi uciekli, wszystko w pizdu. Może to twoja wina? Twoja robota?! Nigdy nie chciałaś zasnąć, podświadomie nie chciałaś dołączyć do Nowego, stać się częścią wspólnoty! Każdy z nas ma obowiązki. Wy musicie stać się kompostem, tylko w ten sposób...

Coś wydarzyło się na górze. Dziki ryk wstrząsnął klatką schodową, przetaczając się coraz niżej, aż wpadł do rozświetlonego pomieszczenia. Józefina dostrzegła szare nogi i ręce, szarą, kanciastą bryłę, przypominającą porzuconą w pośpiechu rzeźbę golema. Zielone, pękające i nadymające się naprzemiennie pęcherze pokrywały szerokie barki i muskularne dłonie istoty. Józefina uniosła głowę. Wykrzywione grymasem bólu i wściekłości oblicze Haliny w jednej chwili przybrało sardoniczny uśmiech. Halina stała się jednością z wynaturzoną bestią, podobnie jak tysiące innych obliczy, należących do pacjentów Ośrodka. Twarze płakały, śmiały się, wyły przeciągle, tonąc w muskularnej masie istoty.

– Nie zabierzesz mi jej, zdiro! To moja praca, moje dziecko! – wrzasnął Rozbicki.

Józefina odetchnęła, spostrzegła, jak lekarz zbliża się do bestii. Doktor jednak nie stanął w obronie kobiety, lecz schwycił ją za nadgarstki i odciągnął.

– Jesteś kompostem, starym grzybem, który nadaje się tylko do hodowli. To jest prawdziwe dzieło, to jest Nowe! – Kopnął Józefinę w brzuch, chcąc wyrazić gniew w inny sposób niż przez słaby, zachrypnięty wrzask.

Po chwili pomieszczenie zapełniło się dymem, serią wystrzałów, krzykiem. Wszystko działo się błyskawicznie, jakby ktoś przełączył rzeczywistość na film wojenny. Ból odebrał Józefinie mowę. Czowała, że mgła opadła, mimo to była w stanie dostrzec tylko leżącą przed oczyma instrukcję obsługi maszyny przypominającej gigantyczną próbkę.

– Tu pułkownik Olszewski. Nowi uciekli z laboratorium w Ośrodku I, wszystko pod kontrolą. Ten był ostatni.

Ktoś dotknął szyi i głowy Józefiny.

– Żyje, raz, kompost! – krzyknął męski głos.

– Nie żyje, raz, lekarz! Nie żyje, dwa, Nowy!

– Co z nią robimy? Z tą pacjentką?

– Mniejsza, to tylko kompost. Pytanie, co zrobimy z pierdolnikiem. Zawsze uważałem, że Nowi to poroniony pomysł i nigdy nie zastąpią ludzkich żołnierzy.

– Nowi też ludzie, tyle że z odzysku. Żołnierz 2.0.

– Ludzi się szkoli, a to... to coś tresuje. Jak widać nieskutecznie.

Mundurowy nadepnął na włosy Józefiny, schylił się, podniósł instrukcję.

– Całe laboratorium rozpieprzone. Kto wypuścił Nowych?

– Szaleniec, ktoś z opozycji, może masoni? To już robota dla komisji śledczej, my tu mamy tylko sprzątnąć. Zaraz będą media. Coś trzeba zrobić z trupami personelu.

– No, a co z kompostem? Ta tutaj żyje.

– Powiedziałem: czekamy na rozkazy. Chociaż pewnie przyda się w innym Ośrodku.

Recykling must go on.



# MALI POWSTAŃCY

Agnieszka Kwiatkowska

Po sześćdziesięciu latach Warszawa jest zupełnie inna niż ta, którą zachowałem we wspomnieniach. Nic dziwnego. Pamiętam ją jeszcze z czasów wojny. Zbombardowane kamienice, strugi krwi na ulicach, cisza przerywana odgłosami walk dogorywającego miasta.

Teraz Warszawa powitała mnie deszczem.

Stoję przy oknie hotelowego pokoju. Nie czuję zmęczenia. Dziewięć godzin lotu z Nowego Jorku to dla mnie nic, a przecież mam osiemdziesiąt trzy lata. W moim wieku powinno się siedzieć na miejscu i nie wędrować po świecie, jak to ujęła moja najstarsza córka. Ona sama jest wielką patriotką i każde wakacje spędza gdzieś w Stanach. Ja też jestem patriotą. Opuściłem Polskę tuż po wojnie. A teraz tu wróciłem.

Do wspomnień i wciąż nierównych chodników, na których jednak nie ma już krwi.

Do Placu Zawiszy, gdzie mój przyjaciel dostał kulę prosto w serce i umarł na mych oczach.

Nie, nie jestem zmęczony. Jestem starcem, ale mam ogromną siłę woli. Wróciłem, bo mam zadanie do wykonania. Kiedyś byłem żołnierzem. Na dźwięk słowa „zadanie” zmieniałem się w psa gończego. Zadanie, działać. Odruch. Tak jak teraz.

W szybie odbija się moja twarz. Surowa, zacięta.

Nadal jestem żołnierzem. Walkę mam w krwi. Wykonam zadanie.

Choć nie wiem, na czym ono polega.

\*\*\*

Te wszystkie twarze nie pozwalają mi zasnąć. Wypełzają z kątów, z ciemności, zza zasłon. Patrzą na mnie pustymi oczami. Mali powstańcy, dzieci jeszcze, bez rąk, z roztrzaskanymi głowami, z mundurkami sztywnymi od krwi. „Pamiętaj o nas”, zdają się szeptać. Pamiętam. Przecież jestem dziadkiem, który lata temu brał wnuki na kolana, czytał im bajki, łagodził dziecięce kłótnie i ocierał fontanny łez po stłuczonym łokciu.

Mali powstańcy nie zwykli płakać. Zagryzali wargi, ocierali oczy i szli wykonać rozkaz. A teraz wracali do mnie w snach i na jawie. Bez słowa. Obojętnie. *Czego ode mnie chcecie?* – pytałem wiele razy. Nie odpowiadali.

Tej nocy Warszawa jest splukana deszczem. Migotliwe światła wielkiego miasta przecinają ciemność hotelowego pokoju. Mali powstańcy siedzą w milczeniu w kątach. Nie podchodzą do łóżka, nie pochylają się nade mną. Wzywali mnie przez sześćdziesiąt lat i oto jestem. Teraz czekają.

\*\*\*

Poranek jest słoneczny. Wraz z jego nadejściem mali powstańcy znikają. Rozpoczyna się dla mnie codzienny rytuał – kąpiel, golenie, ubieranie się. Z zaparowanego lustra patrzą na mnie błękitne, czujne oczy żołnierza.

Koszula, jasny garnitur, krawat. Schodzę na śniadanie.

A potem ruszam w miasto. Powolnym krokiem zanurzam się w ciepłym wrześnieowym dniu. Idę przed siebie, pamiętając o jednym: nie stracić czujności. Żołnierzu, zadanie do wykonania. Rozglądaj się, bądź uważny.

Chodniki wciąż są nierówne, ale już nie ma na nich krwawych kałuż. Teraz w kałużach odbija się figlarnie słońce.

Warszawa tętni życiem. Kolorami. Jakaż ona inna od tej powstańczej, zdeptanej niemieckim butem. Kiedyś runęła na kolana, ugięła dumny kark, ale nie dała się zgnieść. Duma. To jest wspólny mianownik dla tych ludzi, których pamiętam. Pamiętam ich oczy. Choćby nie wiem jak zgnębieni, byli dumni.

Nawet ten mały powstaniec z bibułą, który padł na chodniku na Placu Zawiszy, ustrzelony jak kaczka. Konał dłuższą chwilę, ale nie wydał z siebie choćby najcichszego jęku. Jego twarz pamiętam do dziś.

Za to oblicze mojego przyjaciela, zabitego w kilka sekund później, stało się dla mnie niewyraźną plamą.

\*\*\*

– Nie jedź, dziadku – prosi najstarsza wnuczka. *Ach, a więc rodzina zebrała się i wysłała do mnie delegata.*

– Dlaczego nie? – odpowiadam. – Nie jestem aż taki stary, aby nie przeżyć podróży.

Udaję, że nie wiem, o co jej chodzi. Wnuczka wzdycha, ale rozumie, że dalsze przekonywanie mnie byłoby bez sensu. Siedzimy przy stole kuchennym. Alice sięga po kawę, a ja patrzę na nią z dumą. Wspaniała dziewczyna. Na wskroś amerykańska, piękna i niezależna, ale, jak wszystkie moje dzieci i wnuki, pamięta o swoich korzeniach.

Nie na darmo dbałem, aby pamiętać o tym, kim jesteśmy, skąd pochodzimy i co jest dla nas ważne, przetrwała w mojej rodzinie.

\*\*\*

Idę Nowym Światem. Dziwna jest ta moja wędrówka, taka bez celu, po prostu przed siebie. Przysiadam w kawiarence na świeżym powietrzu. Obok mnie weseli, kolorowi ludzie.

Cała rodzina odprowadziła mnie na lotnisko. I choć nikt nie próbował już więcej perswadować, abym odpuścił sobie podróż, widziałem, że najchętniej wyciągnęliby mnie z hali odlotów, wpakowali do samochodu i zamknęli w domu, dopóki plany wyjazdu nie wywietrzałyby mi z głowy.

Nie powiedziałem im, dlaczego tu wróciłem. Nie wspomniałem o zjawach pomordowanych. Nie uwierzyliby w nie nikt, kto ich nie widział. A nawet gdyby ktoś uwierzył, byłby to dodatkowy argument za odwołaniem podróży.

Pomordowani pragną zemsty.

Ten, który ma na sumieniu śmierć wielu powstańców, wciąż żyje. Jest tutaj, w Warszawie. A zmarli mają dobrą pamięć i nie są miłosierni. Szukają pomsty. A do tego potrzeba im narzędzia, które wykona rozkaz.

W jednej chwili wszystko staje się jasne. Moja wędrówka nie była bez celu.

Wiem już, dlaczego ściągnęli mnie tutaj zmarli.

\*\*\*

Melduję się na recepcji. Młoda blondynka ogląda dokumenty, rozciąga twarz w profesjonalnym uśmiechu.

– Welcome to Warsaw, mister Stevens – mówi. – Did you have a good flight?

Odpowiadam uśmiechem.

– Znakomity, proszę pani.

Bawi mnie zaskoczenie na jej twarzy.

– Och, przepraszam. Nie wiedziałam, że mówi pan po polsku.

– Nic się nie stało. Moja matka była Polką.

W recepcji pustki. Nic się nie dzieje, cisza, spokój. Dziewczyna wyraźnie jest pod wrażeniem.

– Ach, rozumiem. Znakomicie mówi pan po polsku. Zupełnie bez obcego akcentu.

– Cóż, mieszkałem w Polsce przed dwadzieścia pięć lat. To kawał czasu. Wyjechałem do Stanów zaraz po wojnie.

– To tak jak moi dziadkowie! – uśmiecha się dziewczyna. – Dziadek w czasie wojny był oficerem, a babcia łączniczką. Ale oni wrócili do Polski po kilkunastu latach. Tata urodził się w Chicago, a ja już w Warszawie.

Po chwili peszy się, orientując się najwyraźniej, że mogę odebrać ją jako zbyt poufałą. Widzę, że bardzo zaciekała ją moja osoba i pewnie miałyby ochotę zadać wiele standardowych pytań. „Czy po wojnie był pan w Warszawie?”, „Czy brał pan udział w walkach?”, „A może znał pan mojego dziadka?”. Mało prawdopodobne, abym go kiedykolwiek spotkał. *W przeciwnym razie nie pojawiłabyś się na świecie, ponieważ byłem doskonałym strzelcem.* Mało kto mógł się poszczycić tak dobrym okiem i celną ręką jak ja, Obergefreiter Kaempffer. *Nie, mała, z pewnością nie miałem przyjemności natknąć się na twojego dziadka.*



\*\*\*

– Cóż, skoro się uparłeś, to jedź. – Wnuczka jest zirytowana, ale wie, że dyskusje ze mną nie mają sensu. Nie byłaby jednak sobą, gdyby nie wypowiedziała własnego zdania: – Ale uważam, że to zbyt ryzykowne.

– Dziecko drogie – śmieję się – a jakie niebezpieczeństwo mogłoby mi grozić? Jestem uczciwym amerykańskim obywatelem, mam obywatelstwo, papiery. Helmut Kaempffer alias Jan Stokowski już nie istnieje.

– A jeśli ktoś cię rozpozna?

Uparta jak osioł. Ma to po mnie.

– Kto miałby mnie rozpoznać? Dawny powstaniec? Przecież znałby mnie jako Janka Stokowskiego.

Wnuczka wydyma usta, ale wie, że dalsze dywagacje doprowadzą do kłótni. Przybiera obojętną minę i dolewa herbaty. Wszystkie moje dzieci i wnuki są udane, ale Alice zawsze była moją ulubienicą. Jest inteligentna, rozsądna i bardzo oddana sprawie. Aż miło na nią popatrzeć. Rasowa Aryjka. Ma w sobie geny po moim ojcu, podczas gdy ja wziąłem po matce szerokie, słowiańskie kości policzkowe.

*Gdyby coś miało mi się stać... Nie, nic się nie stanie. Ale gdyby... wtedy to Alice zajmie moje miejsce. Ona będzie umiała zadbać o tradycję tak, aby kolejne pokolenia pamiętały, że wywodzą się z rasy panów.*

\*\*\*

Zataczam duże koło i trafiam w końcu na Plac Narutowicza. Ten spacer jest wycieczką we wspomnienia; ostatnią w moim życiu. Wiem, że nie wrócę do domu. Zmarli ściągnęli mnie tutaj, aby wymierzyć sprawiedliwość. Nie wiem tylko, kto lub co będzie ich narzędziem. Przypadkowy przechodzień? Rozpędzony samochód?

Idę chodnikiem, wolno i ostrożnie.

Za młodu lubiłem tędy spacerować. To tu poznałem Halszkę, łączniczkę, z którą niby niechcący się zderzyłem, wytrącając jej torbę z książkami, a potem w ramach przeprosin zabrałem na kawę. Od tego miejsca zaczęła się pleść moja nowa historia – Janka Stokowskiego, młodego patrioty, który pragnął zrobić coś dla Polski, a nawet oddać za nią życie. Świetnie podrobione dokumenty, perfekcyjna znajomość języka i odziedziczone po matce rysy twarzy pomogły mi wskoczyć w nową tożsamość.

Zawsze byłem patriotą. Czułem dumę, że mogę przysłużyć się Rzeszy.

Był tylko jeden, jedyny raz, gdy omal się nie zdradziłem. Przy Placu Zawiszy, do którego dochodziliśmy razem z Halszką i Staśkiem. Z naprzeciwka szedł Kurt, mój przyjaciel. Nie wiem, jak do tego doszło, dlaczego Kurt wyjął pistolet i strzelił do tego dzieciaka. Skąd wiedział, że mały miał przy sobie bibułę? Jak mógł być tak głupi, aby zrobić to w biały dzień? Nie miał szans, nie ze Staśkiem, który momentalnie wyjął broń i zabił Kurta na miejscu. Wybuchło zamieszanie; ludzie krzyczeli, uciekali, ja natomiast podbiegłem do... nie, nie do Kurta. Nie mogłem. Do dzieciaka. Kurt leżał martwy, dzieciak konał mi na rękach, a ja nie mogłem nawet uścisnąć przyjaciela, bo przecież wsypałbym się, byłbym spalony.

Wędruję bocznymi uliczkami, oddalając się coraz bardziej od Placu Narutowicza. Z naprzeciwka idzie kilku chłopców. Smarkacze, jakieś trzynaście, czternaście lat. Do takich jak oni strzelałem w czasie wojny jak do kaczek. Przypominam sobie martwego Kurta i żałuję, że nie jestem znowu w tamtych czasach, kiedy za odstrzelenie szczeniaka nie poniósłbym żadnych konsekwencji.

– Ej, co się tak gapisz, dziadu? – słyszę. Zatrzymuję się. Dzieciaki przyglądają mi się z wrogimi minami.

*Do takich jak ty strzelałem bez mrugnięcia okiem, myślę i daję smarkaczowi w twarz.* Na odlew, najmocniej, jak potrafię. Nie obchodzi mnie, że zaraz zrobi się zamieszanie, jakaś matka wyleci z domu i wezwie policję. Nie zdaję sobie również sprawy z tego, że jeden z dzieciaków ma nóż. Ostrze wbija mi się w brzuch, raz za razem. Upadam na ziemię. Wszystko zaczyna wirować.

– Zajebałem go! Zajebałem! – wrzeszczy dzieciak.

Uciekają w popłochu. A ja leżę na chodniku, patrzę w niebo, którego kolory coraz bardziej się rozmywają. O dziwo, nie boli. Mali powstańcy pochylają się nade mną i tak koło się zamyka. Obergefreitera Helmuta Kaempffera, znanego jako Kinderkiller, zabiło dziecko.



# METAMORPHOSIS

Kornel Mikołajczyk

*Debbie nie umarła.*

Powtarzał te słowa jak mantrę, gdy stał nieruchomo przy trumnie żony, trzymając w ramionach wrzeszczącą wniebogłosy córeczkę. Mała obśliniła mu cały garnitur klejącą mazią, podobną do tej, którą wydzielają larwy *Philaenus spumarius*, pienika ślinianki.

Dla jednych po prostu paskudna piana. Dla niego – piękne stadium nimfy.

*Debbie nie umarła.*

Powtarzał te słowa, gdy koledzy z Instytutu Entomologii składali mu kondolencje w smutnym kondukcje jeszcze smutniejszych twarzy.

– Nie trzeba było – powiedział przy którejś okazji, ściskając współczującą dłoń. – I po cóż się fatygować, panie docencie? Moja żona nie umarła.

Uśmiechali się mechanicznie, wymieniali spojrzenia, kiwali głowami. Dostrzegał Wielkie Słowa tańczące na końcach ich języków, nigdy nie wypowiedziane: „Stres”, „Szok”,

„Trauma”, „Długi Urlop”... Jedno gorsze od drugiego. Bo przecież nie mógł się teraz zatrzymać, musiał kontynuować badania! Odkrył w końcu, po tylu latach, istny cud przyrody. Przeobrażenie niezupełne poza światem insektów. Tu, pośród nich samych, w gatunku *Homo sapiens sapiens*.

*Debbie nie umarła.*

Składali do trumny tylko jej ostatnią wylinkę. Miesiące przedtem ta powłoka stała się zbyt ciasna, cała napęczniała, wzdęła się, jakby coś próbowało się z niej wydostać. Aż w końcu rozpękła pod ostrzem cesarskiego cięcia, wypuszczając na świat doskonale imago.

*Debbie nie umarła.*

Entomolog pogładził zawodzącą córeczkę po włoskach. Dokładnie takie same, złociste jak zboże, miała martwa wylinka, nad którą tego dnia zatrzasnął wieko.

\*\*\*

### **Czternaście lat później**

– Nie, nie, ja nie chcę patrzeć! – pisnęła Lucy, ukrywając śliczną twarzyczkę w dłoniach.

Lucy zawsze wyglądała ślicznie. Jej mama pozwalała córce się malować i nawet pożyczła czasem swoje „dorosłe” kosmetyki. W porównaniu z koleżanką, Debbie wyglądała po prostu pospolicie: wszystko nie od pary, włosy jak siano, usta bez choćby śladu szminki. Tak przynajmniej uważała za każdym razem, gdy spoglądała w lustro.

Tak musieli myśleć o niej chłopcy.

– Lulu, głupia, teraz jest najlepsze. – Chwyciła Lucy za nadgarstek i odsłoniła jej oczy. Na ekranie telewizora wielka modliszka wgryzła się w głowę kopulującego z nią samca. Odwłok zaczął się poruszać z jeszcze większym zapamię, tłocząc nasienie.

– To paskudne, Deb!

– Paskudne? – Debbie wcisnęła pauzę na pilocie i spojrzała na nią, zaskoczona. – Przecież sama mówiłaś, że chcesz zobaczyć, jak to się robi.

Lucy zaczerwieniła się nieznacznie.

– Myślałam, że... sama nie wiem... poszukamy może czegoś w Internecie. Mamy już prawie piętnaście lat! – dorzuciła zaraz obronnie. – Musimy wiedzieć o takich rzeczach jak najwięcej. Mama mówi, że chłopcy myślą o TYM znacznie wcześniej, niż nam się wydaje. I znacznie częściej.

Debbie nerwowo poprawiła swoją przydużą, powyciąganą koszulę. Jak wszystkie ubrania w szafie, także i tę kraciastą paskudę miała po swojej zmarłej matce. Ojciec stanowczo zabraniał jej chodzić w czymkolwiek innym, a ona starała się być dla niego jak najlepsza. Zwłaszcza od tamtej Strasznej Nocy...

Potrząsnęła głową, wracając do rzeczywistości. No, w każdym razie, retro wracało w łaski, więc chyba nie miała co narzekać na przedpotopową garderobę.

– Czyli uważasz, że Josh też o TYM myśli? – spytała koleżankę.

Josh był bardzo mądrym chłopcem w okularach. Siedziała obok niego na matematyce. Zawsze kończył swoje zadania jako pierwszy, a potem nachylał się przez przejście, żeby jej pomóc – nieważne, ile razy pan Hartmann na niego nakrzyczał. Od zawsze chciała wykorzystać pretekst, że nie radzi sobie z trudną pracą domową, ale... Jak zareagowałby ojciec, gdyby przyprowadziła do domu chłopca?

Czy zawróciłby go w drzwiach i nakrzyczał na nią, żeby brała się wreszcie do kolacji?  
(nie przesolić, nie przesolić, tylko nie przesolić)

Czy uderzyłby ją tak, jak wtedy, gdy niechący wyprała jego koszulę z czerwoną skarpetką i wszystko się zafarbowało?

(białe oddzielnie, białe oddzielnie, zawsze białe oddzielnie)

Czy może tak, jak ostatnio, gdy na korytarzu rozległ się chrobot odnóży...

(nie, nie myśleć, nie myśleć, koniecznie o tym nie myśleć!)

– Josh, co?

Spojrzała na koleżankę. Lucy mierzyła ją wzrokiem, robiąc przy tym minę, która w jej mniemaniu była pewnie słodka i łobuzerska.

– Hm, no nie myślałam, moja droga, że kręcą cię takie mole książkowe, ale w zasadzie czemu nie? Jest całkiem słodki. Jemu pewnie spodobałby się ten głupi film o ważkach, ha, ha!

– To modliszki, Lulu. Nawet nie ten sam rząd, co ważki.

Ale koleżanka wcale jej nie słuchała. Skoczyła na nią z piskiem i zaczęła wydawać z siebie ssąco-mlaskające odgłosy całowania. W żołądku Deb coś się przewróciło, gdy poczuła na sobie ciężar.

– Lulu, złaż ze mnie! – zażądała poważnym głosem.

– Debbie i Josh buszują w trawie, buzi-buzi-buzi!

Skacząca po niej Lucy zaczęła się zmieniać. Lśniący pancerz, oczy jak dwa onyksy...

– Lulu! – wrzasnęła Debbie z przerażeniem. *Nie, nie, tylko nie to...*

– Pszczółki bzyczą bzyk-bzyk! No co się ze mną nie bawisz, Deb?

– Cicho! – Debbie zerwała się gwałtownie z wykładziny. Wszystko rozmyło się jak zły sen. – Cicho. Chyba... chyba słyszę ojca.

Nadstawiła uszu jak wystraszone zwierzątko. Tak... to niewątpliwie był ich stary, rozwalający się Volkswagen Beetle, parkujący w garażu. Ojca zawsze niepomierne śmieszyło, że on, entomolog, jeździ po mieście tym zmotoryzowanym „żuczkiem”. Gdy była młodsza, ona także się z tego śmiała – żuczek na kółkach, brum-brum! Kiedyś nawet przemalowali go na biedronkę, z kropkami i ze wszystkim. Ale stary lakier dawno już odpadł płatami, odsłaniając przeżartą rdzą blachę. Czas zdarł z niego tę warstwę bez troskiej, kropkowanej radości. Podobnie jak z ojca.

Tamtej Strasznej Nocy ujrzała bowiem jego prawdziwą postać. Przeobrażoną z tego cichego, spokojnego człowieka w...

W coś zgoła innego.

Prędko wyciągnęła płytę z odtwarzacza DVD i odłożyła „Rytuły seksualne w świecie owadów” na właściwe miejsce w kolekcji.

(zawsze na miejsce, zawsze na miejsce, wszystko musi być na swoim miejscu)

Zaganiając przed sobą wciąż chichoczącą Lucy, wyszła z gabinetu ojca i zamknęła drzwi na dorobiony ukradkiem klucz. Udały się do kuchni, gdzie na blacie czekały profilaktycznie rozłożone podręczniki i zeszyty, a także herbata, która dawno zdążyła wystygnąć.

Ledwo zdołały usadowić się na stołkach, gdy drzwi wejściowe otworzyły się na oścież i próg przekroczył zmęczony ojciec.

Debbie natychmiast wzdrygnęła się na jego widok. Na twarzy miał tę samą włóknistą maskę zmęczenia co od ostatnich trzech miesięcy. W zmarszczkach i pod oczami czaiły się głębokie cienie. Ostatnio dużo kłócił się z kolegami z Instytutu – tak przynajmniej słyszała od recepcjonistki, gdy któregoś razu przyniosła mu do pracy drugie śniadanie. Znów nie chcieli opublikować jego hipotez na temat możliwości ludzkiej metamorfozy, nazywając je snem wariata. Tak długo i sumiennie dźgali w niego ostrzem krytyki, aż wytworzyła się wokół ojca skorupa nie do przebicia. Oblekł się nią jak poczwarka i zagnieździł w bezpieczeństwie nieczucia.

A teraz coś z wolna zaczynało z niej wyłazić; wyglądać ciemnym okiem przez pęknięcia...

– Cześć, królowo moja. – Ojciec zauważył, że nie jest sama i zdołał uśmiechnąć się smutno spod wąsa. – Jak tam ten nasz ul, jeszcze się nie rozleciał?

– Wszystko w porządku, G-Greg – odparła z lekkim zająknięciem. – Odrabiamy lekcje.

– Człowiek się uczy przez całe życie. – Powiesił płaszcz w przedpokoju, wygładzając go aż do perfekcji. – Krzyczcie, jeśli będzie coś o owadach. Nawet jeśli tylko prusak wyskoczy spod lodówki. No, ale wtedy na pewno będziecie krzyżeć.

Lucy zaśmiała się cicho. Debbie nie miała sił, aby zrobić to samo. Ten fałszywy, żartujący ojciec był tylko złudzeniem. Być może nosił tę maskę przez całe życie, nawet gdy jeździli „zuczkim” na piknik nad rzekę albo do wesołego miasteczka. Ale teraz, zmęczony udawaniem, nakładał ją już tylko z konieczności.

– No nic, będę u siebie. Nie przejmuj się dziś kolacją, zamówię nam pizzę.

Debbie skinęła głową, nie śmiejąc wydusić ani słowa.

(nie kłóć się przy obcych, nie kłóć się przy obcych, nigdy nie kłóć się przy obcych)

Ojciec wyszedł, ściskając w dłoni swój czarny neseser. Zauważyła jego pobielale kłykie zakleszczone kurczowo na rączce. Skorupa znów zaczynała pękać.

– To takie fajne, że mówisz do swojego taty po imieniu – stwierdziła Lucy z zazdrością w głosie. – Mój by mi chyba dał szlaban, gdybym do niego powiedziała „Richard”. Jej, co to w ogóle za imię: Richard? Od razu wiadomo, że sztywniak, nie? Richard Trzeci.

– Na pewno lepsze niż Greg – odparła cicho Debbie, pochylając się nad zeszytem. Nie do końca świadoma tego, co robi, nabazgrała na marginesie równanie:

$1 \times \text{Richard} > 100 \times \text{Greg}$

*O tak* – pomyślała z drzeniem. – *Richard to sto razy lepsze imię.*

\*\*\*

Przypelzł do niej znowu tej nocy, gdy zgasła światła.

Leżała pod kocem, z wolna zapadając w sen i rozmyślając o Joshu – o tym, jak uroczo poprawiał wiecznie spadające z nosa okulary – gdy nagle usłyszała drapanie o framugę.

Szur, szur, szur, szur. Długie odnóża, lepkie zuwaczki...

Ojciec.

Przerażenie zmroziło ją w miejscu. A więc znów dopiekli mu w Instytucie. Znów wyśmiewali się z jego *opus magnum*, pukając się w czoła i sugerując bardzo długi urlop zdrowotny. Taki sam, jaki mu przyznali zaraz po śmierci matki...

*Nie* – poprawiła się w myślach. – *Nie po śmierci. Dla niego matka nigdy nie umarła. Odrodziła się po prostu w innym ciele.*

*W tym przeklętym ciele, które należy do mnie!*

– Debbie. – Drzwi uchyliły się nieznacznie, skrzypiąc na cały dom. – Królowo moja. To ja, twój wierny robaczek.

Wślizgnął się do środka. W półmroku dostrzegła jedynie plątaninę czulek, zuwaczek i odnóży – owadzie monstrum wielkości człowieka, ociekające jeszcze śluzem po przemianie. Księżyc w kwadrze migotał lekko na chitynowych powłokach jego cielska.

– Przepraszam, że znowu pracowałem tak późno. – Insekt westchnął głosem ojca. – Ci idioci... oni nie są w stanie zrozumieć. Ale zmuszę ich. Obiecuję ci, że zrozumieją wreszcie, dlaczego nie umarłaś.

Przysiadł na łóżku i wystawił pokrętnie odnóże, by pogłodzić ją po twarzy. Włochate paskudztwo przeszorowało po jej policzku jak szczotka. Zadrżała, ściskając dłońmi koldrę.

*Nie, proszę... nie znowu...*

– No jak? – Monstrum rozciągnęło otwór gębowy. – Masz ochotę pocieszyć trochę swojego robaczka?

*Nie! Nie! Nie!*

– T-tato – spróbowała się odezwać. Cicho, ledwie dosłyszalnie. – Tato, proszę cię... Ja nie jestem tą samą Debbie. Nie jestem m-mamą. Mama n-nie... nie żyje!

Ojciec obrócił się gwałtownie. Odnóża przycisnęły ją do łóżka, przeobrażając się w wielkie, tytanowe kleszcze. Wrzasnęła.

(nigdy nie mów tato, nigdy nie mów tato, zawsze tylko Greg)

– O czym ty mówisz, królowo moja? – wydyszał jej w twarz kwaśnym zaduchem. – Przyznajesz rację tym półgłówkom z Instytutu? Myślisz, że mają rację? O to chodzi?! Debbie nie umarła. Nie mogła umrzeć. Widziałem na własne oczy, jak wydostała się ze swojej wylinki w szpitalu. Debbie nie umarła!

Chwylił jej piżamę i rozdarł ją jednym ruchem kleszczy.

– Debbie nie umarła! – krzyczał przez cały czas. – Debbie nie umarła!

Przestała się poruszać. Szamotanina oznaczała ból. Uległość – szybszy koniec koszmaru. Odwróciła zapłakaną twarz od dyszącego nad nią Karalucha i zacisnęła zęby, wyobrażając sobie, że przemienia się w modliszkę – że ma nie ludzką siłę i zabójcze szczęki. Że może odgryźć łeb tej paskudnej istocie, która co jakiś czas wstępowała w jej ojca, może roznieść ją na kawałki!



Nie myśleć o tym, co się dzieje.

(nie myśleć, nie myśleć, nie myśleć)

Myśleć o Joshu. O łagodnym, uśmiechniętym, mądrym Joshu. Josh nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. Josh pewnie nawet nie myślał o TYM – wyglądał raczej na wiecznego romantyka, na marzyciela.

Ale może ojciec też kiedyś taki był. Zasypywał matkę kwiatami, zabierał na randki, całował czule, świata poza nią nie widział... a potem, gdy nagle zabrakło tej opoki, jego umysł napisał sobie całkiem nową historię. Nie historię śmierci przy porodzie, a przeobrażenia rodem ze świata owadów.

(nie myśleć, nie myśleć, nie myśleć)

*Boże, jak długo jeszcze?! Jak długo?!*

Kiedy w niej skończył, poczuła swędzenie chmary ruchliwych robaczków wstępujących w jej ciało. Jeszcze więcej Zła, żywotnego i wielonożnego, plotącego w niej z wolna swoje kokony... Opadła bez sił na cuchnące poduszki. Nie miała już więcej łez do wypłakania. Nie miała słów, by się pocieszyć. Pragnęła już tylko zapomnieć. Zapomnieć.

(nie myśleć, nie myśleć, nie myśleć)

Monstrum wycofało się z pomieszczenia, klekocząc z zachwytu. Między żuwaczkami pojawiła się nagle wąsata twarz ojca.

– Dobranoc, moja królowo – wyszeptał z progu. – Karaluchy pod poduchy.

\*\*\*

Debbie siedziała na ławce przed szkołą i rozgniatała obcasem *Pyrrhocoris apterus*, kowale bezskrzydłe. Czerwono-czarne pluskwiaki, lęgające się dziesiątkami wzdłuż szkolnej alei lip, uciekały w popłochu, nie wiedząc, skąd spodziewać się kolejnego ciosu. Z rozwagą wybierała spośród nich te szczipione odwłokami – kopulujące pary – i rozbijała je na miazgę.

W głowie dudnił jej głos ojca; jakiś skrzący się od ciekawostek wykład z czasów, gdy był jeszcze w pełni człowiekiem:

– Kowale bezskrzydłe są niezwykle towarzyskie, lubią tłok, dlatego jest ich tak dużo. Widzisz te tutaj, śmiesznie chodzące? W czasie kopulacji ledwie są w stanie się rozłączyć, a trwa to od połowy dnia do nawet całych siedmiu. Tak, właśnie, siedem dni! Wyobrażasz sobie, chodzić tak sklejonym z kimś tyłkiem przez tydzień, królowo?

Kiedyś potrafił żartować, zamiast krzywdzić. Ale nie teraz. Teraz był tylko smutek, przekleństwa krzyżane w słuchawkę telefonu i powracające jak zły sen Straszne Noce.

A ona mogła tylko deptać robactwo w bezsilnej złości.

*Giń. Giń. Giń!*

– Większość dziewczyn brzydzi się robaków – powiedział ktoś nad nią przeciągłym głosem. – Cieszę się, że nie jesteś jak większość, Debbie.

Zerwała się na równe nogi, w jednej chwili zapominając o pluskwiakach. Josh! Stał pośrodku alei, uśmiechając się do niej przyjaźnie, z opasłym tomem encyklopedii pod pachą. Lipowy pyłek osiadł mu na kręconych włosach.

– Cz-cześć, Josh! Ja tylko... tego... – Rozejrzała się w panice po owadziej masakrze u jej stóp. – No wiesz, to szkodniki.

Chłopak przykucnął, poprawił okulary i przyjrzał się rozmaślonej parze owadów.

– Doprawdy? Zawsze myślałem, że są nieszkodliwe. No – posłał jej uśmiech – ale to nie mój tata jest entomologiem, więc nie będę się kłócił.

Drgnęła lekko na wspomnienie o ojcu, zalana od stóp do głowy nagłą falą nienawiści.

(siedź cicho, siedź cicho, nie mów nikomu)

Chwilę później wszystko jednak minęło jak ręką odjął. Josh... on wiedział o jej ojcu. Wiedział o niej! Nigdy przedtem nie rozmawiali o swoich rodzinach, znaczy że musiał się wysilić, ażeby zdobyć skądś tę informację. Lucy miała rację, zależało mu na niej!

– Nie mówmy o moim ojcu – poprosiła cicho. – On... on za dużo czasu spędzał z robakami i namieszały mu w głowie.

Josh zmarszczył brwi.

– Namieszały?

(siedź cicho, siedź cicho, nie mów nikomu)

– W sensie, że myśli o nich jak o pracy, wiesz – poprawiła się prędko. – Zapomniał o tym, co naprawdę w nich fajne.

– Teraz jestem zaintrygowany. Opowiesz mi coś więcej? – Josh podniósł się na nogi. – Zawsze to ja gadam ci o matmie i o głupich równaniach. Najwyższy czas, żebyś się odwdzięczyła. Zdaje się, że mieszkasz po drodze do mnie, prawda?

– Tak! – wypaliła entuzjastycznie. – Eee... znaczy, nie to, że wiem, gdzie mieszkasz, ale... ale skoro tak mówisz. Mogę ci coś opowiedzieć. – Ruszyli ramię w ramię lipową aleją, oboje zaczerwienieni aż po uszy. – Co wiesz na temat modliszek?

Josh odpowiedział z uśmiechem.

Z Kokonów Zła w jej brzuchu po raz pierwszy wykluły się motyle.

\*\*\*

– Kim był ten młodzieniec, z którym cię dzisiaj widziałem? – zapytał ostro Ojciec-Karaluch podczas kolacji.

Coraz rzadziej widywała go w jego własnej skórze. W świetle żyrandola monstrum wyglądało znacznie gorzej niż nocą: śliskie od mazi, nieludzkie, poruszające wszystkimi tymi czułkami, kleszczami, żuwaczkami, odnóżami – wielkie, obłe paskudztwo.

– Jaki młodzieniec, Greg? – zapytała, nie podnosząc głowy znad talerza.

Nie chciała spoglądać na dziwadło siedzące po drugiej stronie stołu. Wołała wbijać wzrok w mętną zupę ogórkową – jego ulubioną, nad którą natrudziła się specjalnie, ledwie się wyrobiwszy po powrocie ze szkoły – i myśleć o tym, co dawało jej siłę.

*Josh, Josh, Josh...*

– Dobrze wiesz jaki, Debbie. Nie kłam mi tu w żywe oczy. Co, potrzebujesz aż tak młodych? Bo masz za męża życiowego nieudacznika? Nie to sobie obiecywaliśmy przed ołtarzem i dobrze o tym wiesz!

*O nie – pomyślała. – Jest z nim coraz gorzej.*

Jeszcze jakiś czas temu bywały chwile, że ojciec rozpoznawał w niej córkę. Pytał, co u niej w szkole, czy nie pomóc w pracy domowej, kiedy wycieczka do muzeum. Ale to już minęło. Teraz zdejmował maskę i stawał się mężem Gregiem, zagubionym w czasie dziwadłem.

– To tylko mój kolega ze szkoły, tato – odparła, niewiele myśląc.

Dlaczego matka musiała umrzeć i zostawić ją samą z tym monstrum? Z szaleńcem, przekonany, że ludzie też mogą się przeobrażać, powlekać kokonami, zrzucać wylinki i zmieniać – z żywym dowodem własnych teorii popchniętym na skraj poczytalności? Dlaczego...

Ojciec-Karaluch trzasnął odnóżami o stół. Machinalnie zacisnęła dłoń na widelcu, gotowa się bronić.

– Ty nie chodzisz do żadnej szkoły, Debbie! – huknął straszliwym głosem. Czułki zadygotały we wzburzeniu nad jego głową. – Nie chcę więcej słyszeć twoich tłumaczeń, rozumiesz? Miałaś się odrodzić jako forma idealna, imago. A jesteś znacznie gorsza, niż byłaś

przedtem! Nie chcę cię więcej widzieć z tym gówniarzem. Następnym razem, jak go zobaczę koło ciebie, wypatroszę go. – Zaciśnął groźnie kleszcze. – Jasne?

– A-ale tat...

– Jasne?!

(nigdy nie mów tato, nigdy nie mów tato, zawsze tylko Greg)

Pokiwała w milczeniu głową.

*Tak, jasne...*

Teraz już wszystko było jasne jak słońce. Jeżeli chciała być z Joshem; jeżeli chciała, by Straszne Noce skończyły się raz na zawsze; jeżeli chciała uratować ojca od tego paskudztwa, musiała najpierw rozgnieść Karalucha.

\*\*\*

– Ło, ho, ho, strasznie dużo tych pestycydów, panienko! Bomby, spreje, trutki... Jest panienka pewna, że potrzebuje aż tyle?

– Mój tata jest entomologiem. Mieszkamy tu za rogiem. Zna go pan?

– Pan Greg? Ach, oczywiście, oczywiście! Co to takiego się szykuje, jakiś eksperyment?

– Można tak powiedzieć. Chałupniczy. Będziemy testować umieralność karaluchów różnymi preparatami. To mój projekt na piknik naukowy w szkole.

– No, tylko powiedz tacie, żeby nie odpalał tego naraz w zamkniętym pomieszczeniu. Taka ilość zabije nawet większe istoty, jeśli wie panienka, co mam na myśli.

– Taki jest zamysł.

– 170 dolarów i 37 centów. I proszę życzyć tacie dużo zdrowia. Ostatnio wygląda jakoś niewyraźnie...

\*\*\*

Ta noc – nareszcie – nie była Straszną Nocą.

Tej nocy wycieńczony Karaluch usnął w swoim gabinecie. Czasami po ciężkim dniu pełnym przytyków i wyzwisk dokuczała mu migrena. Wtedy zwał się na sofę wśród spreparowanej owadziej braci, kładł zimną szmatkę na twarzy, wciskał zatyczki do otworów

sluchowych i po długich katuszach zapadał w niespokojny stan czuwania. Zawsze też pamiętał, aby zamknąć drzwi na klucz.

Nie miał jednak pojęcia, że Debbie ma swoją kopię.

Gdy wślizgnęła się do środka, z twarzą obwiązaną wilgotną chustą, Karaluch chrapał już solidnie z głębin chitynowych pancerzyków. Stąpając ostrożnie, rozstawiła wszystkie cztery bomby i powyciągała z nich zawlecзки. Rozsypała trutkę na dywanie. Zabrała ze stolika jego klucze, cały pęk. Gabinet na szczęście był ślepy, więc nie musiała nawet uszczelniać okna – tylko wychodząc przyłożyła do szpary pod drzwiami namoczony w wodzie kawałek materiału i przekręciła klucz w zamku.

A potem czekała.

Bomby odpaliły się z sykiem jedna po drugiej, tłocząc w powietrze zabójcze pyretroidy. Usłyszała głuchoe łupnięcie, gdy Karaluch wystraszył się i spadł z sofy, a potem nagły rumor, gdy zorientował się, że jest w pułapce.

– Debbie! – pisnęło monstrum całkiem ludzkim głosem, żadnego kłaskania ani pisków. – Debbie, co tu się wyprawia?! Debbie!

Kleszcze natarczywie załomotały w płytę drzwi.

*Bądź silna* – powiedziała sobie. – *Silna jak modliszka.*

Wsunęła w dziurkę od klucza trąbkę spreju na owady i zaczęła rozpylać.

– Aaaaaaaa! – Wrzaski. Syczenie. Kaszel. – Debbie! – Znów łomot ostrzych kleszczy. – Debbie, przepraszam cię! Debbie, już rozumiem! Wypuść mnie stąd, błagam!

*Nie słuchać. Rozpylać.*

– Debbie! Debbie, do kurwy nędzy, wypuść mnie w tej chwili!

Ach, cóż za rozkosz... Mogła teraz nareszcie zapomnieć o setkach zasad zaprojektowanych, by przedzierzgnąć ją w kopię matki i by dostosować rzeczywistość do jego Wielkiej Teorii. Mogła ustalić swoje własne, bezlitosne prawa natury. Jak modliszka.

Nie musiała już słuchać nikogo.

(nie słuchaj, nie słuchaj, po prostu rozpylaj)

(nie słuchaj, nie słuchaj, po prostu rozpylaj)

Ssssssszzz...

W puszcze skończył się środek owadobójczy. Debbie odrzuciła sprej i sięgnęła po kolejny, znacznie silniejszy. Zdjęła ochronkę, wsunęła w dziurkę i nacisnęła na zawór.

– Debbie... – usłyszała gdzieś za drzwiami, zza mgły pestycydów. – Imago... ja się pomy...

(nie słuchaj, nie słuchaj, po prostu rozpylaj)

(nie słuchaj, nie słuchaj, po prostu rozpylaj)

Wykręciła 911 dopiero, gdy doszedł do niej głuchy łoskot.

Policja musiała wyważyć drzwi ręcznym taranem. Poinformowani o sytuacji, pracownicy biura kontroli substancji chemicznych rozdali wszystkim gumowe kombinezony i maski, w których mogli swobodnie oddychać. Ktoś spróbował odciągnąć ją od drzwi, ale ona się nie dawała. Musiała zobaczyć to na własne oczy.

Ojciec leżał w trutce, jakby przypadkowo rozsypanej na dywanie, z sinym jęzorem wystającym mu z ust jak tłusta gąsienica. Skóra poparzona od chemikaliów przypominała pancerz, wytrzeszczone oczy – ścięte białka jaj.

Ale nie był już Karaluchem. Był sobą. Człowiekiem. Jej tatą, kochanym tatą sprzed metamorfozy, może nawet sprzed śmierci mamy, gdy jakieś paskudztwo podstępnie złożyło w jego wnętrzu jaja.

Uratowała go. Zabiła w nim Karalucha. Kosztowało go to życie, ale lepiej, że umarł tak – jako człowiek – niż gdyby miał żyć dalej jako wynaturzone monstrum, krzywdzące każdego, kogo spotka.

Przykucnęła nad ciałem ojca i dotknęła go przez rękawiczkę.

– Nie jestem Debbie – wyszeptała w maskę gazową prawdę, która za życia nigdy do niego nie dotarła. – Debbie umarła.

Gdzieś w środku niej pękł kokon, uwalniając śpiące modliszki.

\*\*\*

### **Dziesięć lat później**

*STRACIŁ GŁOWĘ DLA INNEJ. Lokalny milioner i filantrop, Josh Cunningham (25), został znaleziony martwy w pokoju motelowym ubiegłej nocy. Jak podaje policja, przyczyną śmierci było morderstwo z wyjątkową brutalnością. Nasze źródła donoszą, że chodzi tu o głowę odciętą narzędziem ogrodniczym. Bogacz spędzał w motelu noc z kochanką, Lucy R. (24), która została zatrzymana w charakterze oskarżonej. Jej odciski palców znaleziono na miejscu zbrodni.*

*Cunningham, który zbil fortunę dzięki rewolucyjnej wyszukiwarce internetowej OnTarget, zostawił wszystko zrozpaczonej żonie Debbie (24). Jeśli istnieje jakaś suma, która mogłaby osłodzić jej gorycz zdrady oraz stratę, z pewnością są to milionowe akcje OnTarget.*



www.kostnica.com.pl

# KOSTNICA

**POZORNIE MARTWA STRĘPA**

HORROR THRILLER KRYMINAL SENSACJA FANTASTYKA



[www.kostnica.com.pl](http://www.kostnica.com.pl)

RECENZJE  
OPOWIADANIA  
GALERIE  
NOWOŚCI  
KONKURSY  
FILM  
KSIĄŻKA  
GRA  
KOMIKS

rys. Roman Panasiuk



# ORATORIUM

Przemysław Karbowski

– Najprościej byłoby powiedzieć, że żadnego związku z muzyką to nie miało. Ale to pewnie nieprawda. Miało. Bo kto zaręczy, że za śpiewami o Bogu, Chrystusie, aniołach i apostołach, nie stoi Szatan? Któż wie, czy muzyka nie jest drogą do ludzkich dusz, aby je ogłupić, omamić i doprowadzić do zguby? Dlaczego Zły nie miałby zagrać na najczulszej dla nas strunie i nie popchnąć nas do występku? Wszystko to być może.

My, których nazywacie papistami, mieliśmy tu, w Londynie, siostrzyczkę Felicię, która w swych wizjach widziała piekło i niebo. Drobiazgowo opisywała w swoim dzienniczku, jakie męki piekielne cierpiał Cromwell i król Jakub ze Stuartów, sodomita przebrzydły. I jak cudownie będzie w niebiesiech wydzierać mordy na chwałę Pana, wąchać rajskie kwiatki i opychać się niebiańską szwininą. Wszystko to ładnie i ze szczegółami, stare baby łyzy roniły i świętą ją ogłaszały, zresztą nie tylko one. Sytuacja była już na tyle kuriozalna, że trzeba było znad ksiąg zawezwać najtęższe katolickie łby biegle w teologii:



Josepha Loafa i Milтона Dumpy'ego. A ci dalejże głupiemu motłochowi tłumaczyć, że dusza to nie jest coś, co na ruszcie obsmażyć można, do gnoju wrzucić, wrzątkiem polewać albo widelcem nakłuwać. Że w raju i o wążaniu czegokolwiek mowy być nie może, a co dopiero o opychaniu się do syta bliżej nieokreślonym żarciem. Że te wszystkie wizje o kant dupy można z powodzeniem potłuc. Że siostrzyczka Felicia była albo zdrowo walnięta, albo opętana przez Diabła. A przecież nie nawoływała do grzechu, polecała modlitwę i posty, i czynienie dobra na wszystkie strony. To jak to jest? Skoro za wstawieniem Szatana można o dobro zabiegać, to może Anioł jest władny wepchnąć człowieka w grzech śmiertelny?

Pierwsze dwie zbrodnie popełniłem bezpośrednio po wysłuchaniu muzyki, nie przeczę. Gdy uwznioślony wracałem z teatru czy świątyni, to prawda. I kiedy zabijałem, miałem wrażenie, że wygrywam kolejne akordy, pominięte przez kompozytora albo przemilczane przez orkiestrę, zakazane przez dyrygenta. Bzdura? Być może... Ale co do pozostałych zabójstw, tak prosto już to nie wyglądało...

Zresztą matka zawsze mówiła, że przez tę muzykę źle skończę. Znowu idziesz na te chóralne wrzaski? Znowu będą tłuc w te kotły, hałas robić? Takie miała matka o muzyce pojęcie... Wolałaby, żebym posłuchał jakiegoś smętnego posmarkiwania na niewielką orkiestrę albo solowych popiskiwań na flecie na przykład... Na koncerty organowe nawet się krzywiła, bo głośno, bo dudni, bo ogłuchniesz...

Pewnie, że na oratorium idzie człowiek, żeby odreagować. Do opery zresztą też. Hałas dnia codziennego trzeba zwalczyć hałasem odświętnym, wsłuchując się w dźwięki mamy zapomnieć o wrzaskach przekupek, gderaniu rodziców, płaczu dzieci. Zwłaszcza płaczu dzieci... A że głośno? Co z tego? Matki zawsze wiedzą lepiej. Traf chciał, że jak tylko, będąc jeszcze smarkaczem, udało mi się wyrwać na pierwsze w życiu oratorium, to od razu dostałem wpierdol...

– Wysoki sędzie, czy mam zaprotokołować? – zwrócił się pisarz Webb w stronę sędziego Proberta. Ten skinął głową.

– Zaraz mnie tam ktoś z naszej dzielnicy jako papistę rozpoznał i ledwo po koncercie zęby i nos uratowałem w całości. Z żebrami już tak wesoło nie było... A że wspomnienie rozruchów Gordona było jeszcze żywe, to i nie dziwne, że anglikańska gówniarzeria urządziła sobie polowania na katolików... Skoro można dostać po pysku na ulicy czy targu, można i przed albo po oratorium.

Opery nie lubię. Bywam, ale tylko dla towarzystwa. Mój kompan, Martin Drake, ma dziwną słabość do opery. Miłośnik chędożony... Zdarza mu się wyciągnąć mnie na tę nielubianą muzyczną formę. Żeby to jeszcze jakieś pozory czegokolwiek zachowywało.

Z oratorium jest dużo prościej. Nie biegają po scenie, stary dziad nie udaje piętnastolatka, gruby babsztyl nie wydziera się, jak bardzo na jej cnotę i szczupłe ciało dybie banda zbójców i gwałcicieli. Śpiewak to nie aktor, choć cały ten biznes operowy to jedno wielkie wmawianie artystom i publice, że tak jest. Gówno prawda. I najczęściej wielkie gówno z tego wychodzi.

Drake nie może tych moich wynurzeń na temat opery słuchać. Sam muzykuje z kilkoma kolegami, sadzą na skrzypcach i wiolonczelach proste w formie klocki okraszone śpiewem, zapraszają ich nawet tu i ówdzie. Teraz wprowadzie nie tak często jak kiedyś, bo pozbyli się jedynej kobiety w zespole, zastępując ją mężczyzną... Krąg odbiorców skurczył się momentalnie i znacznie... Taki żywot muzykantów...

Wracając do rzeczy, to muszę sobie przypomnieć, po jakim to koncercie dokonałem pierwszego mordu. Obstawiałbym „Stworzenie świata” Haydna, ale pewności nie mam... To dobre oratorium, choć nie tak udane jak dzieła Haendla... Tak, to było „Stworzenie świata”... Był przecież ze mną Drake, gdy wracaliśmy, rozczarowanie podsumował w swoim stylu: „spodziewałem się pierdolnięcia...”.

– Wysoki sędzie, czy mam...? – Sędzia Probert kiwnął potakująco głową, zanim pisarz Webb zdążył dokończyć zapytanie.

– Czyli jednak Haydn, przypomniałem sobie... Kiepsko wróżę muzyce, jeśli pójdzie ona w tę stronę... Jeszcze ten Mozart na doczepkę, którego zaczynają nam tu stręczyć z nadnaturalnym entuzjazmem i reklamą. Tłukli sobie rzeczeni panowie symfonie jedną za drugą, a w przypadku Haydna odróżnić jednej od drugiej nie sposób... Cóż, pewnie kasa musi się zgadzać. Tylko ileż można tych ósemek, tych szesnastek, tego zapieprzania na skrzypcach słuchać? Nudzi się to bardzo szybko. No, ale „Stworzenie...”, jak powiedziałem, całkiem, całkiem. Pożegnałem Martina, ruszyliśmy każdy w swoją stronę i musiał się napatoczyć ten cholerny żebraczyna. Ani nie byłem przesadnie zdenerwowany, ani frustracja nie męczyła mnie ponad zwykłą miarę, nuciłem nawet pod nosem. Zagadał nienachalnie, z marszu wyrwałem mu łagę, którą się podpierał, i dałem w łeb. Poprawiłem, gdy upadał, i na leżącym wygrałem solówkę jak na bębnach. Jakoś obrócił się na bok, jeszcze rzeźił, i okazało się, że wcale nie jest jednonogi, że drugą kończynę ma przemyślnie przywiązaną do pleców. Oż, sukinsynu, pomyślałem, może jeszcze drugie oczko też masz? A jakże, pod przepaską przedśmiertnie mrugało sobie zakrwawione oko i widziało mnie jeszcze, na pewno widziało, bo było w nim przerażenie.

Refleksja naszła mnie bardzo szybko, gdy oddalałem się z miejsca zbrodni. Zabiłem oszusta, złego człowieka, naciągacza. Obiboka, któremu nie chciało się wziąć do roboty... Już nikt nigdy nie nabierze się na jego sztuczkę z przywiązaną nogą i zakrytym zdrowym okiem.

Zatem, summa summarum, dobry uczynek, choć nie do końca zgodny z prawem. Uspokoilem się... Na tyle, na ile człowiek może się uspokoić po pierwszym w życiu morderstwie.

Tę nieszczęsną ladacznicę zatłukłem, pamiętam jak dziś, po „Mesjaszu” Haendla. Boże jedyny, cóż to było za wykonanie! Miałem wrażenie, że gdyby na widowni siedzieli wtedy jacyś libertyni, jacyś wojujący bezbożnicy, z samą muzyką spłynęłaby na nich łaska wiary... Ale, po głębokim namyśle, wciąż waham się, czy to Bóg, czy Lucyfer stoi za muzyką. Mówiłem już o tym...

Przy „Alleluja” ludzie wpadli w ekstazę, zaczerwienione w euforii pyski publiczności buchały uwielbieniem. Najlepsza odpowiedź na gnojenie w swoim czasie Haendla w tej naszej nieszczęsnej prasie. Wiem od dziadka, że krytyka suchej nitki na nim nie zostawiała, a bo po niemiecku, a bo rozbuchane, a to, a tamto, a sramto... Jak już zaczął komponować do słów po angielsku, trochę mu odpuścili, nie na długo. Wasi protestancy fundamentalści to nawet się krzywili, że w teatrze wystawiał dzieła zawierające słowa z Pisma Świętego, śmiech na sali... Niedługo może śpiewania kolęd na uniwersytecie zabronią, bo o Jezusie, Józefie, Maryi? I wy macie czelność nam, znieawidzonym papistom, zarzucać ortodoksję i dogmatyzm?

– Przywołuję oskarżonego do porządku! – Sędzia Probert nie wytrzymał.

– Na czym skończyłem? Aha, że Haendel... No, stęsknimy się tu jeszcze za Haendlem i Bachem, może nawet za Telemannem, jak z afisza nie będą schodzić te wiedeńskie fikołki... Przynajmniej nie ma problemu z librettem, bo przeważnie jest tak głupie, że aż zabawne, no ale w temacie głupoty żaden pastor głosu nie zabiera... Byle tylko w teatrze nieopatrzenie któregoś z ewangelistów nie zacytował. Czysty obłąd...

Ladacznica trafiła na mnie po „Mesjaszu” właśnie... Skróciłem jej grzeszny żywot z pomocą rąk i kamienia brukowego. Poczulem tak straszliwy dysonans między tym, czego jeszcze przed półgodziną słuchałem, a tym, co zobaczyłem w jej osobie, że nie zawahałem się ani sekundy. Nie mogłem... To tam, w teatrze, dyrygent z orkiestrą i chórem pocą się jak myszy w połogu, byle tylko strudzonych widzów zachwycić i oderwać od codziennych zmartwień, a to kurwiszcze plan ma niby podobny, ale wciela go w życie za pomocą liszajowatych ust i plugawego łona? Coś niesłychanego! I wypraszam sobie insynuację pana koronera, że sam z jej grzesznego ciała skorzystałem! Że pełna była męskiego nasienia zaprzeczyć nie zamierzam, ale że sam dołożyłem strugę własnego, to już nieprawda. Na tyle jeszcze mamy w Londynie wolnych panien, cudzych żon i wdówek, że o kochankę nietrudno i to za darmo... Wiem o tym najlepiej...

Dźwięczało mi w uszach jej „chodź ze mną” i kontemplowałem tę frazę na przemian z psalmem drugim, tak cudnie tego wieczora wyśpiewanym tenorem przez Nevilla. O różdze

żelaznej i sędziach ziemi, o służbie Panu z bojaźnią i o gniewie Pana, co prędko wybucha. I mój gniew też prędko wybuchł. W gniewie ją zadusiłem, i w gniewie tłukłem obleśną twarz brukowcem, aż zszedł z niej wabiący uśmiech i wejrzenie, które uważała zapewne za zalotne, a w istocie było szkaradne jak całe jej życie... Kolejny dobry uczynek, martwa nikogo nie przywiedzie do grzechu, nikogo nie obdarzy chorobą... Wyrzutów sumienia nie miałem. Przyszły po kolejnej zbrodni...

Gdyby tylko ten dzieciak tak nie był... Gdyby kwilił jak ptaszę, gdyby łkał cichutko, ale on tak wrzeszczał straszliwie. Myśleliśmy z żoną, że chory, że coś go boli, nie można prawie całą dobę płakać! Ale medycy nic nie znaleźli... To już będzie taki krzykacz, wypowiedział się fachowo doktor Lowry, pieniądze wziął, do domu poszedł. A William miał już dwa miesiące i te dwa miesiące spędził na wyciu, jakby go ze skóry obdzierali... Żonie mojej przez te dwa miesiące przybyło lat dwadzieścia. Nie przez to, że była brzemienna, że poród odebrał jej siły i urodę, przez tego małego zasańca po prostu.

Miałem dużo łatwiej niż moja małżonka. Ja wybywałem z domu, by uczyć anglikańskie bachory łaciny, na wypadek chyba, gdyby papież z armią najechał Wielką Brytanię i wziął za mordę króla Jerzego do spółki z premierem Pittem. Absurd i głupota... Nie darmo w Europie mówią „ale głupi ci Brytyjczycy”. Czasy takie, że na potęgę trzeba by uczyć francuskiego, bo zaraz zwali nam się na łeb Bonaparte, ale nic to. Chcą łacinników, niech mają, mam pracę przynajmniej, nie narzekałem. Dopiero gdy wracałem do domu, w którym dominował atonalny dziecięcy wrzask. I drżąca żona, z podkrążonymi oczami, z siwizną już nie tylko na skroniach, obolała od huśtania małego na rękach. Służąca warzyła napar na uspokojenie według setnej albo i sto pierwszej receptury, synek albo wypił, albo wyrzygał, ale drzeć się nie przestawał. Minęły prawie cztery miesiące od wieczora, gdy pozbawiłem życia wszeteczną dziewczkę. Przez ten czas nie udało mi się wyskoczyć na żaden koncert, doglądałem ciężarnej żony, pracowałem w pocie czoła, wbijając młodzieży do głów łacińskie sentencje i słówka. Owszem, nawiedzałem też moje kochanki, ale z rzadka oddawałem się cielesnym rozkoszom, byłem zbyt zmęczony. Tak mi się wtedy wydawało... Co to prawdziwe zmęczenie dowiedziałem się dopiero, gdy na świat przyszedł William, ten najmniejszy krzykacz świata o najdonioślejszym głosie. Bóg mi świadkiem, pomyślałem, że gdybym wiedział, co się będzie działo, przymusiłbym żonę do spędzenia płodu kosztem najbardziej wymyślnej pokuty...

Po dwóch miesiącach wyrwałem się do teatru, nie wytrzymałem, pragnąłem jakiegokolwiek doznania estetycznego. Niechby się produkował najpośledniejszy ansambl, niech mi suitę na psich kiszkach zagrają, niech wypierdzą trio na flet, obój i fagot, marsza na

dzwoniące z zimna zęby, zdzierzyłbym nawet Pachelbela albo najgorsze gówno, jakie w swej karierze wyknocił Telemann! Niech mi Martin Drake zagra ze swoimi kolegami, co mi tam...

Szczęśliwie pospadały wtedy chwilowo z afiszy grane na potęgę utwory tych przeklętych wiedeńczyków, publika miała najwyraźniej dosyć, zwłaszcza że co więksi dowcipnisie kolportowali informację, iż poza Haydnem i Mozartem Wiedeń dorobił się jeszcze jakiegoś Ludwika van coś tam, którego na szczęście prędko u nas nie zagrają, bo napisał symfonię ku chwale Napoleona. I Bóg z Ludwikiem! Niech jeszcze raczy skomponować hymn na cześć Thomasa Jeffersona, to na wieki wieków do Londynu nie zawita...

I znowu Haendel, Boże miłosierny! „Juda Machabeusz”, wspaniałość! Chór chórem pogania, a słuchacz się nie męczy... Rzecz o Żydach, ale jakże udatna i cudowna. To się musiało źle skończyć...

Wracając do domu wrzask Williama słyszałem już trzy przecznice dalej. Przekroczyłem próg i dziecięcy skowyt przeszył mnie na wylot jak sztylet. Dziecko drogie! Toż ojciec dopiero co aniołów bez mała słuchał, a ty mu, nieszczęsnemu, taki los gotujesz?

Syn darł się wniebogłosy i wiercił w kołysce, nieświadomy, jakie katusze przeżywa słuch tego, który go spłodził. Żona na siedząco spała przy stole. Na blacie stał pusty kubek, widocznie sama wypila uspokajające ziółka, musiały mieć moc nie lada, że ją ten krzyk nie obudził. Albo padła ze zmęczenia... Służąca przezornie wybyła z gachem w miasto.

Nie wpadłem w gniew. To nie był gniew, sam nie wiem, co to było. W każdym razie otworzyłem okno i wyrzuciłem Williama na ulicę. Małe ciało plasnęło w rynsztok, duszyczka uleciała do Pana.

Nie pobiegłem na dół, nie otrzeźwiałem, nie złapałem się w rozpacz za głowę... Byłem pewny, że malec nie miał najmniejszych szans przeżyć. Odszedł nie wiedząc, któż wyrządził mu taką krzywdę, ale ja już nie mogłem wytrzymać... Zdałem sobie tylko sprawę, że moja małżonka nie może się o tym dowiedzieć, nie mogę pozwolić, by żyła ze świadomością, że jej ukochany mąż zabił jej ukochanego, choć rozwrzeszczanego syna... I, całe szczęście, nie dowiedziała się. Zdążyłem ją udusić zanim się przebudziła, choć raz zadziałały te uspokajające wywary, nie odemknęła oczu, nie zobaczyła mnie, odeszła wtulona w moje dłonie zaciśnięte na swojej szyi...

I kolejna myśl błysnęła mi w głowie. Co na to moje nieszczęsne kochanki? Jakim szokiem będą dla nich wieści, że ten czuły łacinnik, ten, jak tu już zeznawali sąsiedzi, papista, ale w sumie dobry człowiek, to okrutny dzieciobójca, potwór, który zamordował żonę, a wcześniej żebraka i kurwę?

– Proszę zaprotokołować! – Sędzia Probert ubiegł pisarza Webba.

– Pod surdudem ukryłem kuchenny nóż i pogrzebacz, wybiegłem na ulicę i, traf chciał, od razu napatoczył się powóz. Odżałowałem nocną taryfę, byle jak najszybciej doszłusować do Fulham, do domu pana radcy Sommerseta. Moja logika i zatrwająco trzeźwy, jak na cyrkumstancje, umysł, nieco zawiodły. Poganiałem woźnicę, by jak najszybciej przywiózł mnie do Amandy Sommerset, niepomny faktu, że za moment będzie pierwsza w nocy, i pan Sommerset na pewno o tej porze nie będzie radził w biurze swoim klientom, jakby tu skutecznie ominąć wygórowane stawki podatkowe, tylko skupi się na zażywaniu wywczasu u boku Amandy właśnie, która z kolei przewraca się zapewne z boku na bok, pomna, że z grzesznej skłonności do płci własnej małżonek nie tylko się nie wyleczył, ale też żadnych działań w tym kierunku nie podjął... Przykre są tego typu mariaże, ale też na tyle powszechne, że przestaliśmy się temu dziwić dawno temu. Grunt, że niewiasta nie musi martwić się o jutro, a kto już tam zadba o jej poczucie kobiecości, staje się niejako kwestią drugorzędną. W przypadku boskiej Amandy padło, nie chwając się, na mnie... Bo i czym się chwalić, jak człek robi za kwestię drugorzędną?

Został więc pan radca prawny Sommerset zakłuty kuchennym nożem, gdy tylko zaspany raczył odemknąć drzwi, w które łomotałem jak oszalały z zupełnie innym planem działania. Bo ja cały czas działałem według planu, owszem, naprędce kleconego i modyfikowanego w miarę potrzeb, ale jednak planu. Zaplanowałem, że zabiję piękną Amandę, ale nie pomyślałem, iż w domu będzie jeszcze jej mąż, dziwne luki miałem w tym planie. Szczęściem, że służba Sommersetów też miała wolne, bo musiałbym pewnie zarznąć w drodze do sypialni Amandy kolejne Bogu ducha winne osoby.

Na moje szczęście, a i swoje po trosze również, Amanda spała. Zadałem jej kilka ciosów pogrzebaczem w głowę i wtedy przyszło otrzeźwienie. Za późno... Nie żył już mój maleńki syn William, skonała z moją pomocą żona, na progu swego domostwa leżał we krwi pan radca Sommerset, a z prześlicznej główki Amandy została krwawa miazga. Żyła tylko na Hanbury Street biedna Jane, druga moja kochanka, do której już nie miałem sił się udać, by pozbawić ją życia. Bo to jednak strasznie głupie było, to mordowanie ludzi tak, by się nie dowiedzieli, kim jestem i co zrobiłem. Konsekwentnie musiałbym wytłuc całą naszą ulicę, potem dzielnicę, wreszcie cały Londyn i to w ciągu jednej nocy... Plan nie do udźwignięcia... Prostsze było powlec się na posterunek, oddać się w ręce komendanta, posiedzieć w areszcie i stanąć przed sądem. Przyznać się do zamordowania żebraka i ladacznicy, bo niby czemu nie? To tylko nic nieznaczące epizody wobec tego, że utraciłem wszystko, co kochałem, oprócz biednej Jane...

Teraz mam już pewność. Za pięknem tkwiącym w muzyce stoi Szatan. Owo piękno tak straszliwie nie pasuje do plugastwa tego świata, że kontrowersja ta pcha nas do występku.

Ktoś powiedział, że muzyka Bacha to dowód na istnienie Boga. Nic bardziej mylnego. Muzyka to przejaw działania Złego. Kto kontempluje harmonię i piękno, nie może być obojętny na brzydotę, okropności i szkaradzieństwa dnia powszedniego. Im bardziej człowiek zagłębia się we wspaniałość, tym większe prawdopodobieństwo, że nie uniesie zderzenia ze smrodem, miałkością i płyciznami codziennego życia. I tak jak ja, w końcu popełni zbrodnię, bo nie będzie w nim zgody na świat, w którym dopuszczalne jest jednoczesne istnienie czystego i nieskalanego piękna z gnojem zwykłej egzystencji. Kontrast ten prędzej czy później zaowocuje grzechem popełnionym przez tego, który piękna dotknął i doświadczył...

Tyle miałbym do powiedzenia. A tak w ogóle, to nie bardzo orientuję się w bieżącym stanie brytyjskiego prawodawstwa. W związku z tym chciałbym zapytać Wysoki Sąd, czy papistom przysługuje już prawo odwołania zeznań złożonych na rozprawie?

\*\*\*

– Dziwny człowiek. – Sędzia Probert bezmyślnie bawił się peruką. – Gdybym był młodszy, powiedziałbym, że jest niespełna rozumu.

– Nawet przy takiej linii obrony nie unikałby szubienicy – ziewnął sędzia Chester. – Co z tym raportem koronera?

– Postanowiłem go utajnić i nie włączać do sprawy. Co mu z wiedzy, że jego małżonka popełniła samobójstwo, zażywając truciznę? Niech dalej myśli, że ją udusił i wyzwolił od plugastwa tego świata... Swoją drogą, mieliśmy nosa, że na rozprawę nie wpuściliśmy publiczności. Zamieszki gotowe, rozerwaliby go na strzępy...

– Nie tacy mordercy byli sądzeni z udziałem publiki, nie przesadzajmy.

– Nie to mam na myśli – uśmiechnął się półgębkiem Probert. – Bardziej idzie mi o to, co mówił.

– O naszym Kościele?

– Nie. O operze. I o Mozarcie... Pan Webb już wychodzi?

Pisarz sądowy trzymał już rękę na klamce.

– Kto tam dzisiaj do kotleta będzie przygrywał w „Mackey House”? – Z przekąsem zapytał sędzia Probert.

– Martin Drake z zespołem... – Webb zarumienił się, jakby wieczór z kolacją i kwartetem smyczkowym był nie wiadomo jaką hańbą.

– Obawiam się, że nic z tego nie będzie. – Sędzia Chester westchnął z udawanym współczuciem. – Drake jako wymieniony w zeznaniach oskarżonego został profilaktycznie

aresztowany, może rzuci nowe światło na sprawę. A wy podeżrecie w ciszy, co może być nawet zbawienne...

– Nie rozumiem – szczerze wyznał pisarz Webb.

– Jest szansa, że nikogo nie zabijecie...





rys. Roman Panasiuk

# TUŻ OBOK PIEKŁA

Łukasz Radecki

Mroczne chmury kłębiły się na ciemnym nieboskłonie, przez który przebijały się złociste promienie zachodzącego słońca, barwiącego niebo krwią, ognistym triumfem śmierci. Tak. Taki widok rozciągał się za moim oknem. W rzeczywistości po prostu słońce chowało się za horyzontem, zachód jak co dzień. Ale ja odbierałem go właśnie w tak grafomański sposób, jak opisałem w pierwszym zdaniu. Cóż, nie zrozumie tego nikt, kto nie miał siedemnastu lat i nie był nieszczęśliwie zakochany. A ja właśnie spełniałem obydwa warunki.

*Powiedziałaś mi raz, że jeśli odejdę, nie będzie już słońca.*

Tak, odczuwałem to właśnie w ten sposób, jak w tych wszystkich mrocznych wierszach i piosenkach, które uwielbiała Monika. Ja nie rozumiałem poezji, nigdy się nią nie interesowałem. A muzyka również jakoś do mnie nie przemawiała, choć muszę przyznać, że podobały mnie się te obcisłe, skórzano-lateksowe stroje, które Monika nosiła. A że przy okazji musiałem od czasu do czasu posłuchać jakiegoś gościa, zawodzącego przy wtórze przestarzałych klawiszy? Dało się ogarnąć. Wszystko w imię miłości, jak to mawiają.

Tyle tylko, że ona kazała mi iść do diabła.

A potem zginęła.

Brzmi to niezwykle egocentrycznie, ale uniemożliwiło mi to pogodzenie się z nią i wytłumaczenie wszystkich niejasności. Bo to były tylko niejasności, które dotyczą każdego młodego człowieka. Czy muszę o nich pisać? Czy nie odczuwacie codziennie beznadziejnego lęku przed samotnością, który stawia na drodze waszego życia ludzi, z jakimi nigdy byście nie rozmawiali, gdybyście mieli wybór? Czy lęk ów nie powoduje, że wkomponowujecie się w związki, sytuacje, zależności, które bezustannie zmuszają was do zmiany swoich upodobań, zachowań, gustu? Nie wierzę, że nie. Ja również tak miałem i nie chciałem się na to godzić. Monika nie chciała tego zaakceptować, a ja, chociaż panicznie bałem się ją utracić, nie chciałem uwierzyć, że ona po prostu sobie odejdzie. Z drugiej strony patrząc, przecież szanse na to, że w tak młodym wieku zbudujemy dojrzały związek, były minimalne. Tym bardziej, że ja, powiedzmy sobie szczerze, dojrzały nie byłem. I chyba dalej nie jestem.

*W półmroku wskażesz mi światło.*

Tak, typowy dla niej tekst. Lubilem, gdy szeptała mi go na ucho, gdy leżeliśmy w ciemnościach mojego pokoju. Nie wiem, co bardziej mnie podniecało. Jej głos, jej oddech na mej małżowinie, czy właśnie owe słowa. Kolejna z jej mądrości, wyczytana pewnie w tych pismach z farbowanymi i malowanymi laskami w sukienkach z koronki, mówiła:

*W ciemności waga słów jest podwójna.*

Wierzyłem jej wtedy. A nie mogłem uwierzyć, kiedy mówiła, że odejdzie, jeśli się nie zmienię. Zrobiła to, ja rozpaczam. Banał nad banały, prawda? Dlatego właśnie nie jest to historia ani o mnie, ani o Monice, ale o moim sąsiedzie.

Nazywał się Mariusz, ale wszyscy wołali na niego Ślepy, bo nosił okulary w grubej oprawce. Miał ze dwadzieścia parę lat, ale czy bliżej mu było trzydziestki, czy ćwierćwiecza, tego nie wiem. I nigdy się nie dowiem. Ani razu nie zauważyłem, żeby pracował, chociaż Monika mówiła, że łapie dorywczo różne fuchy, bo zna się na wszystkim – od elektryki po stolarkę. Nie widziałem go jednak nigdy ani w roboczych ciuchach, ani ze skrzynką narzędziową, za to zawsze biegał w czarnych bojówkach i bluzie Vadera. Zawsze tej samej. Co się na niej znajdowało, dojrzeć dokładnie nie mogłem, ale na pewno było tam jakieś upiorne oko. Ktoś powiedziałby, że myślę stereotypami, ale Mariusz naprawdę był satanistą, miał nierówno pod sufitem i okazał się kawałem niezłego skurwysyna. Chyba nawet dosłownie, bo jego matki nie znałem. On prawdopodobnie też nie.

W porządku. Domyślcie się pewnie, że Monikę poznałem właśnie przez niego. Ja tam nie mam szczególnych upodobań muzycznych, jak radyjko gra, jest fajnie, jak potrzebuję coś konkretnego, to sobie z youtube'a puszczę, względnie z mp3 odpalę coś, co od ziomali dostałem.

Dlatego nigdy nawet nie rozglądałem się za laskami w gotyckim typie. Ale Moniką zainteresowałem się, gdy zobaczyłem, jak siedzi na krawężniku pod furtką Ślepego. Dom moich rodziców dzielił z jego wspólną ścianę, stąd nieraz słyszałem łomot, który dochodził z chaty Mariusza i dziwiłem się, że coś takiego można w ogóle nazwać muzyką. Dobiegało mnie stamtąd wiele różnych innych dźwięków, których pochodzenia starałem się nie roztrząsać, a przypisywałem je po prostu zbyt głośno oglądanym horrorom. Słyszałem też często dziewczyny, gdy przychodziły tam poimprezować, co sprowadzało się do żenujących popisów wokalnych, których nawet umownie nie można by nazwać śpiewem. Czasem były to też jęki i krzyki, z gatunku tych, co wywoływały zażenowanie moich rodziców i zazdrość w moim sercu. I znacznie niżej. Krótko mówiąc, Mariusz żył sobie jak chciał, i korzystał z życia pełnymi garściami.

Monika siedziała pod jego furtką i zagadnęła mnie po prostu, gdy wracałem na chatę z siłowni.

– Hej, nie wiesz, czy tu nie mieszka Ślepy? – spytała wprost, a ja od razu poczułem, że miękną mi kolana. Wiem, znów banał. Ale jej głos zupełnie nie pasował do jej filigranowej, delikatnej sylwetki. Był niski, seksowny, zupełnie niesamowity. Nie umiem tego wyrazić. Może już wtedy wpadłem po uszy? Nie wiem.

*Jeśli odejdziesz, nie będzie już słońca.*

Powiedziała mi, że nawiała z domu, a znajoma poleciła jej wbić się tutaj. Meta u Mariusza była widać popularna wśród odzianych w sznurowane gorsety i buty za kolana dziewczyn. Ślepego jednak nie było, wybył na którąś ze swoich eskapad, z których nie wracał po kilka dni. Może rzeczywiście pracował? Może pił do upadłego? A może po prostu jeździł na jakieś festiwale i koncerty? Nie wiem, nigdy się nie dowiem. On też nie powie nikomu.

Zabiłem go.

To się zdarza. Wszędzie, każdemu, na całym świecie. Oczywiście, nie spodziewałem się, że będzie to również i moim udziałem, ale jednak stało się. Powiem szczerze, że nawet w dniu, kiedy do tego doszło, kiedy wstałem rano, nie myślałem o sobie jako o potencjalnym mordercy. Byłem po prostu załamany i zdruzgotany utratą Moniki. Wieczorem patrzyłem na te nieszczęsne chmury i widziałem przed oczyma grafomańskie zdania na temat zachodu słońca...

*W półmroku wskażesz mi światło.*

... a w południe dnia następnego wparowałem do domu Ślepego i na wejściu obaliłem go na glebę, skończyłem zaś kopać dopiero, kiedy przestał się ruszać. Dlaczego? Czy to takie trudne do odgadnięcia? Tak, chodziło o Monikę.

Wtedy, kiedy dwa tygodnie wcześniej spotkałem ją pod domem na krawężniku, stwierdziłem, że po co ma czekać na Ślepego, albo co gorsza odejść w poszukiwaniu innej kryjówki. Zaproponowałem jej, żeby przewaletowała chwilę u mnie. Rodzicom walnąłem ściemę,

że to koleżanka poznana na Asku, a potem wspólnie uwiarygodniliśmy całą historię. Były w końcu wakacje. Można było popłynąć z wyobraźnią. Poza tym, moi starzy zawsze wychowywali mnie bezstresowo. No, ale nie o tym. Monika zamieszkała u nas, a wkrótce w moim sercu. Nie będę ukrywał, że trafiła tam przez łóżko, ale gdy dodać do tego fakt, że byłem prawiczkim, to owa miłość może się jawić niektórym w niezbyt korzystnym świetle.

Miało być o Mariuszu, wiem. Zabiłem go, tak. Mówiłem już? Nie bardzo myślałem wtedy, ale teraz, gdy analizuję to na spokojnie, wcale nie żałuję. Ślepy wrócił na chatę jakieś trzy dni przed zaginięciem Moniki. Widać jego rajd był tym razem wyjątkowo długi. Już wtedy Monia próbowała mnie ugnać i dopasować do swojej formy. Potem, równie nagle, jak się pojawiła w moim życiu, tak samo szybko postanowiła je opuścić. I rzeczywiście, tak zrobiła. Pewnie przeboleałbym tydzień lub pięć ze złamanym sercem, a potem kumple pomogliby mi znaleźć sposób na pozbieranie się do kupy. Los chciał jednak inaczej.

Przez te trzy dni, przed zaginięciem, Monia dostawała całą masę smsów, a co jakiś czas ktoś uparcie do niej dzwonił. Teraz patrząc na to na spokojnie, nie mam problemów ze skojarzeniem faktów, ale wtedy do głowy by mi nie przyszło, że stoi za tym Ślepy. Ona mówiła, że to jej rodzice, zresztą kilka razy wcześniej dobijali się do niej, a ja po prostu uwierzyłem. Nie jestem już pewien, czy w ogóle choć raz dzwoniли jej starzy. Za to bardzo dobrze zapamiętałem dzwonek jej telefonu. To była któraś z tych jej piosenek, które pokazywała mi na youtube. I ten sygnał usłyszałem, gdy cztery dni po jej zaginięciu szedłem ulicą i nie wiem, który już z kolei raz, próbowałem się do niej dodzwonić. Dzwonek dobiegał z kieszeni bojówek Mariusza, który właśnie wchodził do domu. Zatrzymał się zaskoczony i spojrzał na mnie. Stałem akurat przy jego furtce, z telefonem przy uchu. Nasze spojrzenia spotkały się i obaj zrozumieliśmy.

Odrzuciłem telefon i skoczyłem przez furtkę. Ślepy zatrząskiwał właśnie drzwi, ale rzuciłem się szczupakiem do przodu, wbijając go w korytarz jego domu. Tam już był mój, a ja tłukłem, tłukłem go, ile popadło. Dopiero potem mogłem zadawać pytania.

Ślepy był w gruncie rzeczy słabeuszem. Pod tymi wielkimi bojówkami i obszerną bluzą kryło się wątłe, zaniedbane ciało. Nie chodzi mi o to, że się nie mył, tylko na pewno nigdy nie pakował, raczej rzadko też wystawiał je na słońce.

*Powiedziałaś mi raz, że jeśli odejdę, nie będzie już słońca.*

*W półmroku wskażesz mi światło.*

Mariusz stawiał opór tylko na samym początku. Potem wyraźnie liczył, że po prostu dam mu spokój, jak już się zmęcze. Może po prostu bał się, że nie daruję mu, gdy odkryję, co znajduje się w jego domu? A może postanowił, że taki będzie jego koniec? Miał już dosyć, na przykład? Ja nie miałem. Kipiałem rozsadzany furją i zazdrością. Kopałem go skutecznie, metodycznie, gdy tylko zbyt dobrze się zasłonił, pochylałem się, odgarniałem jego ręce, poprawiałem pięścią

i zaczynałem od nowa.

Tak, zdaję sobie sprawę z tego, że zatłukłem go gołymi rękoma. Nikt nie będzie miał do mnie o to pretensji. Zresztą, przecież biłem go w korytarzu, przy otwartych drzwiach jego domu. Ulicą na pewno przechodzili jacyś ludzie. Nikt jakoś nie udzielił mu pomocy, nie zatrzymał mnie. Policję też wezwano dosyć późno. Ja nie żałuję, nie sędzę, żeby żałował ktoś jeszcze. Nie po tym, co znalazłem w tym domu.

Mam o tym mówić? Po co? Pisały o tym wszystkie gazety. Mówili w telewizji. Na kilku kanałach. Facet miał świra i tyle. To, że malował ściany na czarno, a potem kredą ponakreślał jakieś dziwne symbole, odwrócone krzyże i rysunki kozłów, świadczy dość jasno o tym, że koleś nie miał równo pod dekle. Potem jednak było gorzej. W kuchni znalazłem pokrwawione narzędzia. W lodówce odciętą kobiecą rękę. Wolę się nie zastanawiać, co było w piekarniku. Do zamrażalnika nie zaglądałem. W jednym z pokoiów na parterze stało drewniane krzesło, do którego zamontowano pełno jakiś dziwacznych, wymyślnych metalowych urządzeń. Ktokolwiek na tym siedział, musiał bardzo cierpieć. Ślady krwi i fekalii świadczyły o tym nad wyraz dobitnie. Drugi pokój musiał być sypialnią Mariusza, bo jako jedyny prezentował jakiś ład i porządek, a łóżko w nim stojące wyglądało na takie, w którym czasem ktoś zmienia pościel. Nie mogłem tego powiedzieć o tych wyrach na piętrze. Wolałem się nie zastanawiać, co działo się na tych łózkach o metalowych prętach z kajdankami, z trudem powstrzymałem wymioty na widok prześcieradeł, sztywnych od rdzawo-żółto-brązowych cieczy... Dziś wszyscy piszą o tym, co tam się działo. Po co ja mam teraz mówić, co ja myślałem? Większość tego, co napisały gazety, rzeczywiście tam się wydarzyło. W końcu to ja znalazłem tę dziewczynę pod łóżkiem. Tę z obciętymi piersiami.

Tak, to prawda, że jeszcze wtedy żyła. Była otumaniona jakimś narkotykiem, ale żyła. Nie. Nie wiem jakim. Nie znam się na tym, tylko trawkę paliłem kilka razy.

Co zrobiłem? Wyciągnąłem ją stamtąd i zaniósłem na dół. Położyłem na łóżku w pokoju Mariusza i poszedłem do piwnicy.

Oczywiście, że się bałem, ale raczej tego, co tam znajdę. Nie zagrożenia. Zagrożenie wyeliminowałem, kto mógł mnie tu jeszcze napaść? No tak, Mariusz mógł mieć współnika, ale nigdy nie widziałem nikogo innego poza nim. Dlatego byłem pewien, że w piwnicy nie ma kolejnego psychola. Bałem się, czy znajdę tam Monikę.

I w jakim stanie.

Tak, była tam, wraz z wieloma innymi.

Po co mam to opisywać? Naprawdę, nie widzę potrzeby. Nie, nie mam nic do ukrycia. Wszystko wiecie, przecież byli świadkowie.

Niech będzie, ale potem dajcie mi spokój.

Pomieszczenie było duże i ciemne. Dopiero po dłuższej chwili moje oczy przyzwyczyły się

do półmroku, który rozświetlały tylko dwie dość słabe żarówki. Do smrodu nie mogłem się przyzwyczaić i czuję go do tej pory. To brzęczenie much śni mi się do dziś po nocach...

Pod jedną ze ścian leżały trupy. Nagie, okaleczone. Na pewno żeńskie.

Pod drugą siedziały przywiązane za szyję i ręce haków wbitych w ceglany mur trzy inne rozneglizowane, brudne i maltretowane dziewczyny. Były zakneblowane, wystraszone, ale żywe i w miarę przytomne.

Na środku pomieszczenia stało jednak krzesło, nieco podobne do tego z góry, z tą różnicą, że ustawiono je tak, by siedząca na nim osoba miała rozszerzone nogi. Wiadomo po co. I wiadomo, kto na nim siedział.

W pierwszej chwili skurcz żalu ścisnął mnie za gardło, gdy ujrzałem spętane nad głową ręce. Obnażone, posiniaczone piersi i zgwałcony, pewnie wielokrotnie, srom. Mogę powiedzieć, że omal nie zemdlałem, mój świat się rozpadł, że oszalałem z rozpaczy, i takie tam.

Pewnie tak było.

Ale gdy tylko spojrzałem na jej twarz zrozumiałem wszystko.

Twarz czystą, nie zakneblowaną.

Bezoką.

*Powiedziałaś mi raz, że jeśli odejdę, nie będzie już słońca.*

Uwięził ją w piwnicy i wyłupił oczy. Pozbawił ją słońca zgodnie z jej wierszykiem. A to oznaczać mogło tylko jedno. Znała go wcześniej, i to bardzo dobrze. Nie porwał jej. Sama do niego przyszła. Nie przyjechała tu przypadkiem, tylko celowo. Do mnie wkręciła się w oczekiwaniu na niego. I karmiła mnie tymi swoimi głodnymi kawałkami, tymi samymi, którymi karmiła widać jego.

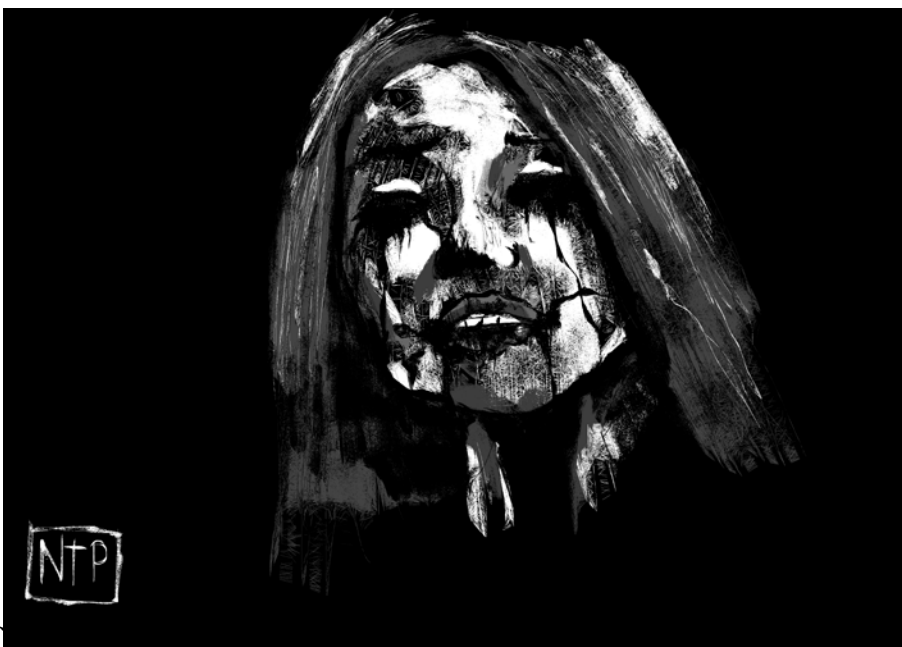
Nie chcę wnikać, czy była wcześniej jego współnikiem. Nie obchodzi mnie, co było jego motywem.

Wyłupił jej oczy i zamknął w piwnicy, bo *jeśli odejdę, nie będzie już słońca.*

*W półmroku wskażesz mi światło.*

Nie zważając na gorąco, wykręciłem jedną z żarówek i wepchnąłem ją Moni do gardła.

rys. Roman Panasiuk



# ZAPISANE

Piotr Borowiec

To właśnie poczucie misji było rzeczywistym powodem, dla którego została sama. Jej wszystkie wybory życiowe były przecież zdarzeniami, do których prowadził ciąg przyczynowo-skutkowy, u którego początku leżało właśnie to. Przeświadczenie, że ma coś do zrobienia, przekonanie, że to, co robi w życiu, jest ważne. Ślub z Markiem, tak, ale po obronie doktoratu. Dzieci, owszem, ale po awansie na kierownika Działu Historycznego. I nie stopień naukowy, ani nie większy prestiż czy pensja się liczyły. Doktorat przecież dotyczył skali rabunku, którego dokonała Armia Czerwona na Ziemiach Odzyskanych, a Muzeum Ziemi Lubuskiej ciągle się rozwijało. Sprawy Naprawdę Ważne, przez duże W. Czasu, serca, poświęcenia, zaangażowania ofiarowanego historii i muzealnictwu nie wystarczało dla innych spraw. Tylko ważnych.

Dlatego też pani doktor Marta Jędrzejewska nie miała do nikogo żalu, gdy pewnego sierpniowego wieczoru, po powrocie z pracy, znalazła list od Marka. Napisany odręcznie, czytelnym, starannym pismem, na kartce czystego papieru. Było to dokładnie to, czego oczekiwała. W czasach maili i smsów taka forma rozstania miała swój anachroniczny, staroświecki wręcz urok.

Kto jak kto, ale muzealnik miał obowiązek wręcz to docenić. Nie wydzwaniła, nie wymuszała spotkań. Skoro Marek okazał jej szacunek, to ona też musiała.

Nie czuła do nikogo żalu. Może tylko trochę do siebie. Rozczarowała kogoś, osobę, na której jej zależało. Nie mogła więc teraz rozczarować nikogo innego, przede wszystkim siebie. Dni spędzane w muzeum stawały się dniami i popołudniami, te anektowały wieczory, które z czasem z kolei zabierały ze sobą kawałek nocy. Nikt, ani z kierownictwa, ani z współpracowników, nie miał nic przeciwko. Marta czuła, że kryje się za tym litość. Biedna dziewczyna, zostawił ją narzeczony, ucieka w pracę.

To, co mówili o niej koledzy, o ile faktycznie mówili, było bez znaczenia. Przesiadkiwanie po godzinach w Muzeum miało swoje praktyczne uzasadnienie. Tutaj mieściła się cała dokumentacja, którą trzeba było opracować. Zamówienia materiałów z Archiwum Państwowego miały priorytet, jednak pozyskanych stamtąd dokumentów nie można było wynosić, zgodnie z umową tych dwóch instytucji. Marta nie musiała płacić ciężkich pieniędzy za kserokopie akt, potrzebnych jej do pracy habilitacyjnej, a czas korzystania z nich nie był ograniczony godzinami pracy archiwum. Nikt jej nie przeszkadzał, cisza i puste korytarze ukochanej instytucji pozwalały się skupić.

Zresztą, Muzeum też angażowało ją coraz bardziej. Kierownictwo miało ambicję stworzyć nowoczesną placówkę o bogatej ofercie. Dobrze zarządzaną. Aktywną. Marcie to odpowiadało. Nawet wtedy, kiedy jej działowi powierzono zorganizowanie i opiekę nad Muzeum Tortur Dawnych. Dwa lata ciężkiej pracy. Ekspozycje stworzono od zera, począwszy od opracowania koncepcji, poprzez remont i adaptację muzealnej piwnicy, skończywszy na ułożeniu i opisaniu eksponatów.

– Czemu oni nie wymyślą czegoś prostszego? – Krzysztof, jej współpracownik z działu też kochał swoją pracę, ale okazywał to narzekając na nią. – Na przykład Muzeum Tortur Obecnych? Nie byłoby problemu z eksponatami. Na przykład... autobus MZK w godzinach szczytu... albo odtworzony dziekanat Wydziału Humanistycznego z tą rudą, wściekłą zołą. Wyobrażasz sobie, że ta strzyga dalej tam pracuje?

Chociaż Marta specjalizowała się w historii najnowszej, to Muzeum Tortur Dawnych napawało ją dumą.

To właśnie tam po raz pierwszy zobaczyła Annę.

\*\*\*

Niezbyt uciążliwym, ale koniecznym obowiązkiem ostatniej osoby wychodzącej było włączanie systemów alarmowych na każdym piętrze. Trzydzieści sekund po uruchomieniu



ostatniego z nich należało wyjść z budynku, który aż do momentu przyjścia pierwszego pracownika objęty był czujnym, bezsennym, elektronicznym okiem.

Panel sterowania alarmów w piwnicy znajdował się tuż przy końcówce schodów. Marta chciała jak najszybciej znaleźć się w samochodzie. Wieczory były jeszcze bardzo zimne. Marcowy chłód był nie do zniesienia w starym fordzie Ka, w którym remont ogrzewania był ostatnią z serii zaplanowanych napraw.

W piwnicy było zimno. Nienaturalnie zimno. Był to pierwszy z elementów Spotkania, pierwszy, ale nie ten, który zatrzymał Martę w jej biegu do samochodu.

Postać była wyraźna, w niczym nie przypominała zamazanych zjaw z fotografii astralnej. Nie była też biała czy przezroczysta. Po prostu nie miała koloru. Żadnego. Pomimo to wszystkie szczegóły były łatwe do rozpoznania. Zapamiętania. Opisania. Długa spódnica z sukna. Skromna kamizelka. Czepiec. Czepiec na nienaturalnie przekrzywionej głowie, która opadała na lewe ramię. Spuchnięty, zniekształcony kark.

Marta zatrzymała się, zastygła tuż przy panelu sterowania. Zjawa przeszła parę kroków, obrócona do schodów bokiem, po czym zniknęła.

Dlaczego nie zapytała, kim jest i jak się tu dostała? Absurdalność tej myśli rozśmieszyła muzealniczkę. Do halucynacji się nie mówi. W ogóle nie warto nic mówić, jeśli popada się w szaleństwo. Warto natomiast się przebadać.

Nie była szalona. Tak przynajmniej orzekł doktor.

– Halucynacje nie są jedynym objawem zaburzenia psychicznego. – Psychiatra miał przyjemny, uspokajający głos. – Gdyby była pani chora, tak jak pani przypuszcza, widziałbym inne symptomy. U pani ich brak.

I tyle, to wszystko. Jednak to, co widziała Marta, nie było efektem przemęczenia, złej diety, nie była to też projekcja jej podświadomych lęków. Zrozumiała to przy drugim Spotkaniu, tym razem przy wejściu do schodów. Postać szła odwrócona do niej tyłem, wolno pokonując kolejne stopnie w dół. Tył sukni był rozdarty, więc zmasakrowany kark można było dostrzec jeszcze wyraźniej.

Po zniknięciu zjawy za rogiem piwnicznego korytarza, Marta przez długą chwilę stała nieruchomo. Powtarzała sobie w myślach słowa psychiatry: „*brak innych symptomów. Brak innych symptomów. Brak...*”. *I co z tego, że innych brak?*

– Nie zwariowałam. Nie zwariowałam, bo brak innych symptomów. Poza tym dobrze wiem, kim jesteś. – Nie zdziwiło jej to, że mówi do siebie. Zdziwiła ją natomiast pewność i spokój, jaki słyszała w swoich słowach.

„... zmarła przez diabła uduszona, bo jej szyja całkiem chwiejna i spuchnięta była”. Opis zgonu Anny Klich, oskarżonej o czary. *Extract protocollii Judycij Grunbergensis ex actis*

Tekst, który opracowywali i tłumaczyli pracownicy Działu Historycznego.

Najcenniejszy z zabytków Muzeum Tortur Dawnych, zawierający nieocenione źródło informacji o kaźni kobiet, oskarżonych o czary na lubuskiej ziemi w XVII wieku. Tak był opisywany grupom, które oprowadzała Marta. Dla niej miał znaczenie szczególne, pozwolił jej przypisać spotykaną postać do konkretnej osoby. Pozwolił uwierzyć w duchy i przekonać samą siebie, że nie traci zmysłów.

Zawsze, oprowadzając wycieczki szkolne po piwnicy, miała ochotę powiedzieć o tym specjalnym znaczeniu zabytku. Wyobrażała sobie reakcje zblazowanych gimnazjalistów na jej oświadczenie: „księga ta zwiera opis zgonu jednej z kobiet, zamęczonych w lochach Zielonej Góry, której ducha niekiedy osobiście widuję”.

Uczniowie nie zawsze byli zblazowani, często byli przejęci, czasem zniesmaczeni:

– Ale po co takie muzeum? Tych tortur i tych kół do łamania?

– Naszą misją jest przekazywanie wam wiedzy o wszystkim. Nie możemy pamiętać tylko o tym, co dobre. Pamięć to coś uniwersalnego, czego nie można cenzurować.

– A czy jest tu jakieś duch? – To pytanie rozśmieszyło resztę grupy. Uśmiechnęła się również Marta.

– Oczywiście.

Myliła się.

Kolejne Spotkanie miało miejsce w holu. Zaczęło się jak poprzednie, chłodem, szatkującym ciało zimnymi szpilami, wdzierającymi się poprzez skórę i kości, aż do samego szpiku. Zjawa szła w kierunku Marty, ta mogła spojrzeć jej prosto w twarz, zobaczyć rany na policzkach, nienawiść ziejącą z oczu, wargi, wypowiadające bezgłośnie słowa.

Jak dowiedziała się później, to nie był duch, to był upiór.

– Anno... proszę cię... boję się...

Marta czuła jej wściekłość. Było to gęste i obce uczucie, przytłaczające wszystkie inne wrażenia, emocjonalne czy zmysłowe. Czysta furia, chęć zniszczenia, opierająca się jakiegokolwiek próbie opanowania. I nie rany, ślady metodycznie zdawanych tortur, ani nie coraz mocniejszy odór rozkopanego grobu, zmusiły Martę do krzyku. Właśnie ta wściekłość oraz myśl, że być może padnie kiedyś jej ofiarą, spowodowały, że skulona, z rękami złożonymi za głowę, wydała z siebie najgłośniejszy wrzask, jaki może wydać ludzka istota. Była zwiniętym, wciśniętym w kąt strachem. Stała się ponownie człowiekiem, istotą zdolną do myślenia, działania, podejmowania decyzji, gdy zorientowała się, że wszystko się skończyło. Nie ma smrodu, nie ma zimna, nie ma obcego uczucia furii.

Nie, nie wszystkie znaki Spotkania zniknęły. Na ścianie naprzeciwko Marty widniał napis,

znikający, jakby ulatniał się pod wpływem powietrza. *Memoria est maledictum*. Po kilku sekundach znikł zupełnie.

Coś się zmieniło. Anna się zmieniła. Poprzednie Spotkania napawały smutkiem, to poprowadziło umysł na krawędź obłądu.

\*\*\*

Mira była jedną z tych koleżanek, które zazwyczaj spotyka się na mieście przez przypadek. Znajomość z liceum zobowiązywała, aby zachować dane w telefonie, był to jednak numer, który praktycznie nigdy nie był wybierany. Pomimo to na propozycję spotkania się się z Martą przystała ze szczerym entuzjazmem.

Przyszła nieco spóźniona, ubrana w długi, ciemny płaszcz z jakiegoś nieznanego ludzkości materiału. Ekscentryczny kapelusz przystroiła ewidentnie za dużym, białym kwiatem. Wrażenie niezbyt gustownego bałaganu potęgował jeszcze wisiołek z pentagramem. Profesjonalny strój XXI-wiecznej wróżki.

– Mira, ty dalej zajmujesz się... tym... no wiesz... – zaczęła Marta. Sam początek tej rozmowy wydał jej się absurdalny.

– Astrologią? Pewnie. A co, chcesz wróżby?

– Nie... chodzi, wiesz, tak tylko teoretycznie, o duchy.

– A co, problemik jakiś?

– Tak... to znaczy nie, ja się teoretycznie pytam o upiora, bo wiesz...

– No to duch teoretyczny czy upiór?

– A jest różnica?

Mira spoważniała. Wyprostowała się, porzuciła nonszalancką pozę. Trzymany w ręku drink z jakimś badylem położyła na stoliku.

– Jest. Zasadnicza. Masz problem? Dobra... słuchaj, duchy są to нефизyczne ludzkie istoty, egzystujące w naszym świecie, po swojej fizycznej śmierci. I to wszystko. Upiory to duchy, które działają, to nie jest tylko egzystencja. Upiór to też wola i realizacja tej woli. Ale to nie jest najważniejsza różnica. Chodzi o natężenie złej woli.

– Duchy są dobre, a upiory...

– Nie, nie że dobre... neutralne, cierpiące, skrzywdzone, obrażone, zagubione, no różne. Ale nie wykazują natężenia złej woli w tak silnym stopniu jak upiory. Rozumiesz już?

Marta przypomniała sobie furię i wściekłość, którą poczuła od zjawy podczas ostatniego Spotkania.

– Coś, co na początku było duchem, może stać się upiorem?

Mira zmarszczyła brwi, mocno pogrubiła kredką do makijażu.

– Nie wiem, ja o takim przypadku nie słyszałam. To, czy jakiś człowiek będzie nawiedzał po śmierci świat żywych, a także czy będzie on duchem czy upiorem, jest determinowane tym, co zdarzyło się za jego życia, a ściślej, tuż przed śmiercią. Na przykład, umiera ktoś w cierpieniu, z poczuciem krzywdy – no to duch. Umiera ktoś w cierpieniu, ale z nienawiścią do oprawców, o, to już może być upiór. Chyba może wystąpić zmiana nasilenia złej woli u istoty pozagrobowej, ale zawsze musi mieć to związek z tym, co zdarzyło się tuż przed jej śmiercią.

– Co na przykład?

– Jejku, nie wiem... to nie jest dokładnie moja działka. Ja wróżę, a ty szukasz medium. Albo egzorcysty. Kto cię nawiedza?

– Widuję... zjawę w muzeum. – Marta czuła się jak autentyczna wariatka. *Dlaczego rozmawiając o duchach z psychiatrą tak się nie czułam, a mówiąc to wszystko wróżce mam wrażenie, że bredzę?* – To jedna z kobiet zamordowanych tu w czasie procesów czarownic.

– O, wiedźma.

– Nie, niewinna kobieta posądzona...

– A skąd wiesz, że niewinna?

– Jej zeznania były wymuszone torturami..

– A jak torturami to już znaczy, że nieprawdziwe?

– No nie, ale te oskarżenia to były brednie. Miały się kontaktować z diabłem i uprawiać czary. Oraz obcować płciowo z czartem.

– Brednie? O, i to mówi kobieta, która widuje osobę zmarłą trzysta lat temu, i tylko nie może się zdecydować, czy to duch czy upiór.

Zażenowanie odebrało Marcie zdolność formułowania myśli. Oprócz jednej: nawet wróżki uważają mnie za wariatkę.

– Słuchaj, Marta. Nie zrozum mnie źle. Zawsze, w każdym czasie, w każdej kulturze znajdują się ludzie, którzy interesują się wiedzą ukrytą. Teraz to jest co najwyżej wyśmiewane, wtedy było karane stosem. Tych wiedźm, ile spalono...

– Trzydzieści pięć tysięcy w całej Europie...

– ... albo dziewięć milionów. No, nie patrz się tak, Gerald Gardner tyle podaje. Mój szef, jakby nie było, nie? Nieważne. Z rachunku prawdopodobieństwa wynika, że w tej liczbie, niech ci będzie, trzydziestu pięciu tysięcy, były osoby mające z magią coś wspólnego, a więc w świetle prawa winne. Winne jak cholera. Wiesz, po co ci to mówię?

– Nie.

– Żebyś się nie litowała nad biedną mieszczką... czy chłopką? Nieważne... no, nad biedną kobietką, zamęczoną przez okrutników. Ja wróżę. Ty masz kontakty ze światem pozagrobowym.

A może ona faktycznie rzucała uroki i ruchała diabła? Ja nie jestem specjalistką, ale jedno wiem. Upiory nie znoszą litowania się nad nimi, i uzalania się, jakie to są pokrzywdzone. Szczególnie te, które za życia paralyzowały się czarną magią. I jeszcze jedno, one zawsze czegoś chcą.

– Czego?

– Rany, a skąd ja ma to wiedzieć? Martuniu! Mówię dużymi literami! Ja – wróżka, nie – medium, nie – egzorcysta.

*Anno, czego ty chcesz?*

\*\*\*

Marta nie mogła zmusić się, aby zostawać dłużej w muzeum. Na samą myśl, że miałyby spędzić wieczór w pustym gmachu, dostawała dreszczy. Dlatego też dokładne studia nad najobszerniejszym źródłem dotyczącym śmierci Anny Klich postanowiła poczynić w czasie pracy.

– Proszę cię, Marto! Dlaczego akurat teraz, gdy przygotowujemy dwie konferencje? Dlaczego akurat ty, specjalistka od szalonych lat czterdziestych, postanowiłaś zgłębiać losy kobiet palonych za to, że krowy mleka nie dawały? Obarczając mnie swoimi obowiązkami... a, rozumiem! Własnych miałem za mało...

Krzysztof robił wszystko, aby wyglądać na jeszcze bardziej nieszczęśliwego niż zazwyczaj. *Kiepski kandydat na upiora*, pomyślała Marta.

*Extract protocoli*, wyciąg z akt procesowych, obejmujących sprawy karne przeciw czarownicom, rozsiadł się na blacie stołu pracowni konserwacyjnej. Jakby czekał, spokojny, niemy, lecz rzetelny monument, w którym rękami kilku różnych skrybów biurowo-biurokratycznie zapisano anatomie szaleństwa. Sabaty na Łysej Górze, orgie z diabłem, czynienie złych uroków. Marta nie mogła już podchodzić do tej księgi jak historyk opracowujący źródła. Straciła gdzieś obiektywizm. Pytania sędziów, często nacechowane perwersyjną ciekawością o szczegóły seksualnego pożycia z demonami, oraz suche i systematyczne wyliczenia tortur przyprawiały czytającą o mdłości.

Oczywiście, nie był to dla niej tekst nieznan. Tłumaczyła wcześniej niektóre jego partie, czytała inne. Nazwisko Anny Klich z Przylepu przewijało się w nim kilkakrotnie. Pochodziła ze zubożałej szlachty, wdowa, szanowana do momentu procesu. Nic szczególnego. Nie była ona ani pierwszą, ani ostatnią, która straciła życie w prześladowaniach. Spośród innych zamęczonych kobiet wyróżniała ją to, że zmarła w lochu, ze złamanym karkiem. Samobójstwo? Skutek zbytnej gorliwości kata? A może jego litość, wywołana mieszkaniem wręczonym przez członka rodziny, który chciał oszczędzić Annie dalszych tortur i stosu. Jeszcze jedno było charakterystyczne. Jej opisy praktyk wiedźm były nieco bardziej makabryczne niż pozostałych oskarżonych. Czarownice miały się smarować maścią przyrządzoną z zamordowanych dzieci, pożerać ich ciała oraz dusić matki

pępowinami noworodków.

Po trzech dniach bezowocnej pracy Marta miała już przerwać poszukiwania, dając za wygraną. Albo nie potrafiła odczytać żadnej wskazówki, albo jej tam po prostu nie było. Przed przyznaniem się do porażki, i zwróceniem książki na ekspozycję postanowiła przejrzeć jeszcze raz środkowe partie tekstu. I wtedy natrafiła na zeznanie Ewy Werner z Przylepu, straconej 22 września 1663 r.

*Czy oskarżona była czarownicą i na Łysej Górze bywała? Tak! Czy oskarżona za namową innej czarownicy to czyniła? Tak! Anna Klich nas namówiła. To jej wina! Zapiszcie to! Niech pamięć o tym będzie dla niej przekleństwem!*

*Pamięć nie jest przekleństwem, droga więdźmo, pomyślała Marta. Nawet jeśli niektóre z was pożerały niemowlęta, to trzeba pamiętać też o tym. Pamięć to obowiązek, Ewo. Tym bardziej, że próbując ratować własną skórę, wkopałaś koleżankę. I pewnie o to chodzi Annie. Tylko co z tego wynika? Porażka, zdecydowanie porażka.* Marta zamknęła księgę i zaczęła spisywać protokół czynności z obiektem.

W drzwiach pracowni stanęła Joasia, eteryczna, krucha blondynka, odbywająca w muzeum praktyki studenckie.

- Pani doktor... przepraszam... bo jest sprawa.
- Co jest, Joasiu?
- Z sekretariatu prosili, abym to pani dała, pismo do działu historycznego.
- Dobra, połóż na moim biurku. Już idę.

Pismo było wnioskiem o udostępnienie eksponatu do badań naukowych. Tego samego eksponatu, który Marta miała w rękach jeszcze kilka minut wcześniej. Podpisał je doktor Paweł Mazurek, adiunkt zatrudniony w Zakładzie Powszechnej Historii Państwa i Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego. Z dokumentu wynikało, że dostęp do *Extract protocoli* jest mu potrzebny do pracy nad monografią: „*Czarownice z Liegnitz i Grünberg. Cechy charakterystyczne procesu karnego o czary w XVII. Studium przypadków*”.

*Co za zbieg okoli...* Nie, to nie jest zbieg okoliczności. Tu nie ma przypadków, nie teraz, nie w tej sytuacji.

Marta odłożyła pismo na stół, uruchomiła komputer. Drżały jej ręce, miała więc pewne trudności z wpisaniem hasła. Doktor Paweł Mazurek historia prawo. Ponad milion wyników. Strona uczelni, strona zakładu, strona prywatna. Wybrała tę ostatnią.

Znalazła tam standardowe informacje. Krótką notę biograficzną (rok starszy od niej, absolwent prawa i historii), opis zainteresowań naukowych (proces karny siedemnastego wieku, laicyzacja prawa karnego na przestrzeni wieków), listę publikacji (oprócz historii prawa była też znaczna liczba tekstów z zakresu historii idei), linki (strona uczelni, Oddział Wrocławski Polskiego

Stowarzyszenia Racjonalistów), zdjęcie (przystojny, nie wyglądał na swój wiek, pewnie przez długie włosy). Nic nadzwyczajnego. Uwagę Marty zwróciło motto naukowca, które wypisane było drobną czcionką u góry strony: „*Powołaniem historyka jest budowanie wspólnej pamięci. Pamięć jest obowiązkiem*”. Trochę niezgrabne, nieco patetyczne, aczkolwiek słuszne.

Pamięć jest obowiązkiem. Trzeba pamiętać o wszystkim, nawet o torturowanych kobietach. Dla nich pamięć będzie odkupieniem, zadośćuczynieniem, przeprosinami pokoleń późniejszych za szaleństwo tych, co byli przed nimi. Niektóre kobiety były winne, winne jak cholera. O tym też trzeba pamiętać. *Zapiszcie to! Niech pamięć o tym będzie dla niej przekleństwem*. Napis na ścianie, pozostawiony przez wściekłego upiora. *Memoria est maledictum*. Pamięć to przekleństwo.

Anna Klich, zubożała szlachcianka, mieszkająca w swoich dobrach w Przylepie, która zginęła w lochach zielonogórskiego więzienia, nie chciała, aby pamiętano o jej winie, procesie i hańbiącej śmierci. Została przeklęta przez współniczkę, przekleństwem pamiętania. Anna chciała spokoju.

A ten facet, posiadający wiedzę, znający metodologię badań historycznych, pchany do działania poczuciem misji... będzie pisał o niej monografię.

\*\*\*

Faktycznie był przystojny. Powinien mieć na stronie zdjęcie lepszej jakości. Wysoki, szczupły, ale nie wychudzony. Długie, gęste włosy, spięte w kucyk. Twarz trochę chłopięca, co przy mocnym głosie budziło pewien dysonans:

– ... proszę jeszcze o chwilę uwagi! Już kończymy! Jeszcze tylko o zawieszeniu wykonania kary. Było ono w kodeksie Makarewicza wzorowane na systemie francusko-belgijskim. Stosowano je, jeśli kara nie przekraczała dwóch lat. Czas zawieszenia wynosił od dwóch do pięciu lat. W tym okresie skazany nie mógł popełnić kolejnego przestępstwa pod rygorem odwołania zawieszenia. Dobrze. Taka rada, proszę państwa, uczyć się tego do egzaminu najlepiej ze źródeł. Internet, jakiś lex albo coś, wydrukować i zakuwać. Do widzenia... aha, przełożyłem konsultacje, zobaczcie na stronie zakładu.

Marta zaczekała, aż studenci wyjdą. Gdy sala opustoszała, podeszła do Pawła.

– Dzień dobry, panie doktorze...

– Pani nie jest studentką...

– Aż tak staro wyglądam?

Jej rozmówca uśmiechnął się.

– Nawet nie śmiałybym tak myśleć. Po prostu kojarzę panią z jakiejś konferencji, jest pani historykiem albo....

– Nazywam się Marta Jędrzejewska. Pracuję w Muzeum Ziemi Lubuskiej.

– Faktycznie! Przepraszam! Paweł Mazurek... to pani wie. Pani z tym wnioskiem? Proszę mi nie mówić, że fatygowała się pani tu tylko w tej sprawie?

– W pewnym sensie tak. Muszę o coś Pana prosić...

– Oczywiście! Udostępnię wam wszystko, co sam do tej pory zebrałem. Zrobiłem bardzo interesujące kwerendy w archiwach w Legnicy i Lwówku Śląskim.

– Musi pan zaprzestać badań.

– Słucham? – Uśmiech zniknął z ust naukowca. Z wyrazem zdziwienia jego twarz wydała się jeszcze bardziej chłopięca. Niemniej przystojna. – A... czy może mi pani wyjawić powód?

– Jest osobisty. Bardzo. Proszę pana o niepisanie pańskiej monografii.

Marta przez trzy godziny jazdy pociągiem zastanawiała się, co powiedzieć, gdy padnie pytanie: dlaczego. Powiedzenie prawdy nie wchodziło w grę. Jedyne, co mogła zrobić, to użyć niezbyt wiarygodnego kłamstwa.

– Tu chodzi o moją rodzinę. Jedna z kobiet, które wtedy zginęły, była moim przodkiem. Od zawsze przestrzegamy, aby te sprawy nie były zanadto rozgrzebywane. To już jest bardziej tradycja, ale u nas przestrzegano jej bardzo skrupulatnie.

– Pani wybaczy, ale ja tego nie kupuję. – Doktor po raz kolejny się uśmiechnął. Ciepło. Sympatycznie. – Po pierwsze dlatego, że prędzej uwierzę, że pani praprababka miała konszachty z diabłem, niż że historyk nie chce ruszać tematu sprzed czterech wieków, bo dotyczy mrocznego sekretu jego rodziny. To po pierwsze. Po drugie, nie mogę sobie wyobrazić młodej pani historyk, który nie chwaliłaby się, że jej przodka spalono na stosie. Po trzecie, to jest pani piekielnie niekonsekwentna, bo to pani przecież była szefem zespołu opracowującego *Extract protocols*. Tu chodzi o coś innego, prawda?

*Tak, panie doktorze, tu chodzi o to, że nawiedza mnie upiór, który sobie pańskich badań ewidentnie nie życzy. Jezu słodki, jaka ze mnie kretynka!* Marta nie wiedziała, co powiedzieć. Kompletnie.

– Jedyne, co mi sensownego przychodzi do głowy to to, że próbuje mnie pani powstrzymać, ponieważ opracowuje identyczny temat i nie chce pani, aby moja publikacja ukazała się pierwsza. Oskarżenie o plagiat może zrujnować karierę. Rozumiem. O to chodzi?

– Tak. – *Po co ja kłamię? Nie umiem. Prawdy też nie mogę powiedzieć. Po co mi to było?* Marta nigdy tak się nie czuła, miała ochotę zapaść się pod ziemię.

– To chcę panią zapewnić, że moja praca będzie koncentrować się na kwestiach stricte prawno-karnych, oczywiście w historycznym ujęciu. Poza tym mam pomysł... proszę... to mój numer telefonu, dzwoniczmy się i porównamy nasze prace. Tym razem to ja przyjadę do Zielonej Góry. A teraz muszę lecieć. Jestem już spóźniony. Do widzenia!



Odszedł, pozostawiając Martę w pustej sali wykładowej. *Jestem żalosna*, pomyślała, *wyszłam na kretynkę*. Zaraz potem pojawiła się kolejna myśl, która stworzyła jeszcze gorszy chaos, myśl dziwna i niechciana. *Gdyby on był w moim życiu zamiast Marka, za nic w świecie bym mu nie pozwoliła odejść*.

\*\*\*

*Co ja, do jasnej cholery, powiem mu po raz kolejny?* Marcie kończył się już repertuar wykrętów, jakie mogła przedstawić Pawłowi. A ten tylko dziś dzwonił dwa razy. *Dlaczego on tak bardzo chce się ze mną spotkać? Tu chodzi o Extract protocols. Źródło bezcenne, materiał nie oceniony, konieczny absolutnie do jego monografii. Jednak ani razu nie wspomniał o zabytkowej księdze. Może nie o nią mu chodzi?*

– A co głupia, naiwna krowo? Myślisz że o ciebie? – zapytała się na głos. *Tak, jestem żalosna. Oto klasyczne zachowanie żalostnej, głupiej krowy: mówienie sobie ciągle, jaką się jest żalostną, głupią krową.*

Wstała i podeszła do stołu. Był to jeden z niewielu mebli w jej mieszkaniu. Podniosła leżący na nim kieliszek od wina. Czy nie tak robią żalostne krowy? Upijają się w samotności, marząc o przystojnym facecie? Odłożyła kieliszek na miejsce, powlekła się z powrotem na łóżko. Było bardzo chłodno, szczególnie jak na czerwcowy wieczór. Noc, już w zasadzie.

Gdy wzięła do ręki książkę, którą zamierzała czytać, zorientowała się, że zrobiło się jeszcze zimniej. Wstała, przeszła parę kroków w kierunku drzwi do sypialni. Im bardziej się do nich zbliżała, tym temperatura była niższa. Przy samym wejściu do tego pomieszczenia była solidnie zmarznięta. To niemożliwe. *Możliwe.*

*Ona tu jest. Za tymi drzwiami. W twoim mieszkaniu.*

Strach przez moment sparaliżował ją zupełnie. Najbardziej przerażająca nie była bynajmniej świadomość, że upiór po raz kolejny ją nawiedził, a fakt, że stało się to poza muzeum. Od tej pory nie mogła już być niczego pewna, nigdzie nie mogła być bezpieczna. Anna może jej już nie opuścić. Na zawsze z nią, na zawsze za nią. Dopóki nie dostanie, czego chce, albo dopóki... dopóki co? Dopóki nie zwariuje i nie skończy ze sobą.

Nie, nie skończy ze sobą. To jej teren, jej mieszkanie. Nieważne, duch czy upiór, winna czy nie – Anna nie ma prawa tego robić, tu nie ma nic, co mogłoby ją przyciągać. Tam jest pokój żywego człowieka, i jego łóżko. *To właśnie znajdę, jak nacisnę klamkę*, pomyślała Marta.

Otworzyła drzwi i zrobiła krok w pustą, przygniatającą ciemność. Tam, gdzie była jej sypialnia, teraz znalazła tylko zimno i ziejącą czerń. Po dwóch sekundach oczy przyzwyczyły się do braku światła. Znajdowała się lesie, w środku nocy. Uczucie chłodu ustąpiło, temperatura

powietrza była co najmniej znośna. Myśli kołatały się w niej chaotyczne, postrzępione, porozdzierane w fragmenty zdań i znaczeń. Noc. Zimno i ciepło. Las, w nocy. *To niemożliwe. To możliwe. Widzę to.*

Nie poznawała otoczenia, cały czas mając nadzieję, że to, co znalazła za drzwiami zniknie, a to, czego się spodziewała, wróci. Jej sypialnia, jej brzydkie tapety na ścianach, jej niechlujnie pościelone łóżko mają wrócić. Las, smukłe sylwetki drzew, niebo rozświetlone gwiazdami, księżyc w pełni mają zniknąć. *Sypialnia i tapety! Już!*

Jednak to, czego być nie powinno, nie zniknęło. Marta dostrzegła za to kolejne szczegóły otoczenia. W oddali płonęło ognisko, migocząc w rytm lekkiego wiatru. Wokoło niego tańczyło kilka sylwetek. Kobiety. Nagie.

Przerażenie porwało Martę, pociągnęło w bieg poprzez las. Byle dalej, gdziekolwiek. Uciec. Gałęzie uderzały w twarz, na języku poczuła smak krwi z rozciętej wargi. Była pewna, że odwróciła się od źródła światła, nie kontrolowała tego, ale wiedziała, że wybrała kierunek odwrotny od ogniska. Pomimo to, po kilku sekundach ucieczki znajdowała się zaledwie parę metrów od niego.

Wszystko w niej się rozpadło. Emocje, myśli i reakcje popękały, posypały się. Każdy fragment jej osobowości dryfował oddzielnie, jak kawałki kry na odmarzającej rzece wiosną. Nie potrafiła już myśleć, podejmować decyzji. Mogła tylko odbierać bodźce. Widzieć, słyszeć, czuć.

Nagie kobiety przestały tańczyć. Było ich kilka, nie więcej jak dziesięć, w różnym wieku. Marta poznała, iż jedna z nich to Anna, spostrzegła też, że trzyma ona w ręku nóż. Towarzyszka położyła jej pod nogami żywe niemowlę. Dziecko płakało, poruszało bezradnie członkami. Wiedźma schyliła się i przyłożyła ostrze do skóry ofiary.

Zanim skończyła ciąć, Marta padła na kolana, wymiotując na dywan swojej własnej sypialni.

*Paweł musi ją zobaczyć.*

\*\*\*

*Pani jest naprawdę ekscentryczna!* Tak powiedział. Ze zdziwieniem w głosie. *Może drwiną? Nieważne.* Ważne jest to, że zgodził się z nią spotkać o dziesiątej w nocy w muzeum. Marta bardzo chciała mu powiedzieć, że może przenocować się u niej, ma przecież wolne mieszkanie. Nie musi po nocy wracać dwie godziny samochodem. Oczywiście, nie zrobiła tego. Dlaczego on się nie wypytywał o powód, dla którego ma wieczorem pokonywać sto pięćdziesiąt kilometrów? Może naprawdę chce się ze nią spotkać, a pretekst nie jest ważny.

– No to się, kurde, chłopie, zdziwisz, bo najpierw masz randkę z Anną. – Marta roześmiała się głośno. – A potem śpij u mnie. Zapomnisz o upiorach.

Wino zaczęło działać. Rozluźniło ją, spowodowało, że była tylko przerażona, zamiast umierać ze strachu. Tylko. *Jaką mam gwarancję, że ona się pokaże? Pokaże się. Wiesz to. Ona przesyła klarowny komunikat. Chce, aby Paweł tutaj przybył.* Marta spojrzała na komórkę. Dochodziła dziesiąta. Korciło ją, aby zadzwonić, spytać się, czy jest już w drodze.

– Ogarnij się, krowo, nie zachowuj się jak zabujana gówniara z gimnazjum. – Głos odbijał się groteskowym echem w pustym holu Muzeum.

Zadzwonił domofon. Jest! Marta podbiegła do drzwi i otworzyła je.

– Mam nadzieję, że kierownik tej instytucji nie ma nic przeciwko takim wizytom? – Uśmiech Pawła skrywał zakłopotanie całą sytuacją.

– Są przyzwyczajeni, że pracuję tu wieczorami. Nie, nie będzie problemu.

– Czy może mi pani wyjawić ten tyleż ważny, co tajemniczy powód mojej wizyty? To co pani...

– Czy możemy mówić sobie po imieniu?

– Tak... Marto... to wszystko wydaje mi się dziwne.

– Bo jest, Pawle. Chodź, *Extract protocoli* jest w Muzeum Tortur Dawnych. Trzeba zejść na dół.

Nie pojawiła się od razu.

Najpierw musieli wejść w płataninę korytarzy, odnóg i pomieszczeń piwnicy. Mijali zakratowane cele, w których odwzorowano sceny tortur, egzekucji, przesłuchań i posiedzeń sądowych. Plastikowe kościotrupy patrzyły się na mijających ich ludzi pustymi oczodołami. Woskowe figury skazanych i ich oprawców zastygły w momentach zadawania i odczuwania bólu. Sztuczne tworzywo, martwe tkaniny. Pozy i figury, statyczne, niezmiennie.

Anna stała na samym końcu ostatniego korytarza, w miejscu, gdzie znajdowała się gablota z księgą.

Czekała, pozbawiona koloru i wściekła. Była naga, lecz nie przypominała w niczym postaci żywej kobiety, widzianej przy ognisku. Całe ciało pokryte było śladami tortur, doskonale widocznymi na bezbarwnej skórze. Oparzenia ozdobiły ją nabrzmiętymi pęcherzami, ostrza pozostawiły otwarte rany. Była wielkim bólem, idącym ku nim upokorzeniem. Hańbą i winą, uosobieniem tego, o czym istniejąca kiedykolwiek istota ludzka chciałaby zapomnieć. Zrobiła ku nim krok. Drugi. Trzeci. Rozszarpane cęgami piersi kołysały się wolno. Z pokaleczonych ust wydobywał się dźwięk, jednak wybite zęby i wyrwany język uniemożliwiały artykulację.

Paweł patrzył się na upiora bezrozumnym wzrokiem. Zrobił rękami nieskoordynowany gest, bezbronny i pokraczny. Przypominał on ruchy niemowlęcia, które Marta widziała dzień wcześniej.

– Przecież... co to... czym ty... byłaś niewinna! – Nie tylko gesty, ale i słowa przestały być uporządkowanymi, sensownymi działaniami. Paweł wycofywał się bezładnie, potykając się o jeden

z eksponatów. Runął na ziemię, głośną jęcząc.

To był chyba impuls do zupełnie panicznej ucieczki. Szybciej, dalej od tego czegoś, czego nie mógł zrozumieć. Marta ruszyła za nim. Mężczyzna wybiegł na dwór, pozostawiając otwarte drzwi.

Kilka sekund później muzealniczka usłyszała dźwięk odjeżdżającego samochodu.

\*\*\*

Nie musiała bardzo kłamać, składając wyjaśnienia. Tak, w dniu wypadku Paweł Mazurek odwiedził ją w jej pracy. Oczywiście, często zdarzało się jej pracować wieczorami. Jak najbardziej, jego wizyta miała związek z ich badaniami naukowymi. Nie, niestety nie potrafi podać przypuszczalnej przyczyny, dla której odjeżdżając tak znacznie przekroczył prędkość i stracił panowanie nad pojazdem. Być może ich sprzeczka mogła być tego powodem. Tak, mogło tak być. Wsiadł do wozu taki wzburzony. Tak, ta osoba z nagrań monitoringu przed muzeum to Paweł. Nie, nie rozmawiali o niczym innym, jak tylko o sprawach zawodowych. O czym konkretnie? O tym, pani prokurator, że Paweł powinien powstrzymać się z pisaniem swojej monografii przed dokładnym opracowaniem materiałów źródłowych. Dlaczego go to tak zdenerwowało? Odebrał to jako zarzut, że jego publikacje są nierzetelne.

Mężczyźni bywają tacy przeczuleni na punkcie swojej pracy, pani prokurator.

Tak, jest pewna, że był w samochodzie sam. Nie, nie ma pojęcia, dlaczego świadkowie wypadku zeznali, iż na tylnym siedzeniu widzieli kobiecą postać. To jakiś idiotyzm, pani prokurator.

Pismo o umorzeniu czynności dochodzeniowo-śledczych w sprawie śmiertelnego wypadku Pawła Mazurka odebrała w kilka miesięcy po pogrzebie. Nosiła je cały czas przy sobie, jak jakiś zaklęty amulet albo cenną pamiątkę. Sama już nie wiedziała po co.

Miała je w tej chwili, gdy jedna z uczennic z kolejnej wycieczki zapytała:

– A czy są tu jakieś upiory?

– Nie, tylko duch. Diabelnie przystojny.

Snuje się, szukając sensu w tym, co zobaczył. Poszukuje wyjaśnienia, uwięziony w tej strasznej chwili, gdy wyuczona na świetnych uczelniach, szlifowana na zagranicznych stypendiach metodologia badań naukowych okazała się bezradna wobec konieczności zrozumienia tego, co rozumiane być nie może. Ale tego przejętej licealistce Marta już nie powiedziała.

Wieczorem, gdy i uczestnicy wycieczek, i pojedynczy turyści opuścili już budynek, zasiadła do pracy.

Wykonywała swój obowiązek, swoją misję. To dzięki niej, i takim jak ona, ludzkość

pamięta. Wszystko, co zapisane, będzie zapamiętane. Wszystko. Wstyd i rozpacz, nadzieja i gniew. Podłość i jeszcze podlejsza kara. Wszystko. Ci, co odeszli, będą powracać. Bo nigdzie nie ma więcej duchów, jak w ludzkiej pamięci, która trzyma ich przy nas, czy tego chcą, czy nie.

Marta włączyła komputer w swoim gabinecie. Szum starego zasilacza zagłuszył padający za oknem deszcz. Trzeba wezwać kogoś z działu technicznego, to żelastwo nie powinno tak hałasować. Po kilku sekundach tekst, nad którym pracowała, wyświetlił się na monitorze. „*Doktor Paweł Mazurek (1976 – 2012). Wspomnienie w pierwszą rocznicę śmierci*”. Oprócz tytułu nie miała nic ponadto. Nie musi się spieszyć, ma jeszcze dużo czasu. Artykuł zamówiony przez Wrocławski Przegląd Historyczny miał się ukazać dopiero za pół roku.

Zaczęła pisać, wolno, często nie trafiając w klawisze. Przenikliwe, siarczyste zimno, które właśnie zaczęła czuć, przeszkadzało jej w pracy. Marta wiedziała jednak, iż Paweł jej nie powstrzyma.

Przecież nie jest upiorem.

## Strach tnie głębiej

*Strach tnie głębiej niż miecze*  
George R.R. Martin „Gra o tron”

Te słowa, wypowiedziane we wspaniałej książce ustami jednego z jej bohaterów, przypominają mi się za każdym razem, kiedy siadam do komputera, by zająć się pisaniem czegoś, co ma być straszne, ma budzić lęk lub inne skrajne emocje. Za każdym razem, gdy biorę się do pisania, przypominam sobie, co tak naprawdę znaczy to zdanie. Bo nastraszenie kogoś za pomocą słów jest zadaniem naprawdę niełatwym. Przynajmniej dla mnie. Ale pocieszające jest, że inne powiedzenie mówi, iż „pióro ostrzejsze jest od miecza”. Zatem założyć można, że strach tnie mniej więcej tak głęboko jak pióro, którym próbujemy go wywołać. Nieprawdaż?

\*\*\*

Lubimy się bać, taka jest ludzka natura. Strach dodaje naszemu życiu emocji, adrenaliny i pikanterii. To dlatego oglądamy horrory, czytamy opowieści grozy, gramy w straszne gry komputerowe, uprawiamy sporty ekstremalne. Ale jednocześnie – paradoksalnie – nie lubimy się bać, ponieważ prawie każdy człowiek odczuwa bardzo silnie potrzebę bezpieczeństwa. Jak to więc jest naprawdę?

Osobiście uważam, że ludzie lubią się bać, ale w warunkach komfortowych lub kontrolowanych – takich, nad którymi do pewnego stopnia panują. Lubią się bać w kinie – z którego przecież mogą wyjść, jeśli film okaże się zbyt przerażający. Lubią się bać z książką w rękach – którą mogą zamknąć, odłożyć w dowolnym momencie. Lubią się bać przed ekranem komputera, gdy mogą wyłączyć grę w każdej chwili. Lubią strach wtedy, kiedy mogą zaspokoić swoją potrzebę jego odczuwania, jednocześnie wiedząc, że są bezpieczni, że nie czyha na nich żaden potwór lub psychopata zaczajony w ciemnym kącie. Nie lubią strachu, który godzi w nich bez możliwości obrony, przed którym nie można uciec. Na autorów piszących powieści grozy lub „opowieści z dreszczykiem” czeka zatem naprawdę trudne zadanie, aby pogodzić jedno z drugim. Aby spotkać gdzieś po drodze chęć do odczuwania lęku z niechęcią do tego stanu, pisać tak, żeby z jednej strony czytelnik chciał

odłożyć tekst, ze względu na emocje, jakie w nim on wywołuje, z drugiej jednak nie mógł się oderwać od lektury. Na tym właśnie zadaniu skoncentrowałem dalsze moje rozważania.

Jednak od razu, jako autor, uczciwie powiem – pisarzem się nie czuję, a swoje doświadczenie w „straszeniu ludzi” zdobyłem, zajmując się szeroko pojętymi grammi fabularnymi – prowadząc mroczne, pełne grozy scenariusze czy też pisząc sesje – horrory, na forum LastInn. Nie wiem, czy robię to dobrze. Nie wiem, czy ludzie boją się tego, co im oferuję. Ludzie mówią, że ponoć jestem skuteczny w tym, co robię – jednak nie mi to oceniać. To właśnie tymi doświadczeniami chciałem podzielić się z Wami, drodzy czytelnicy, w tym artykule.

Zacznijmy od odpowiedzenia sobie na pytanie: *czego boją się ludzie?*

To pytanie ma fundamentalne znaczenie dla dalszej części naszych rozważań. Bo czyż można opowiedzieć o tym, jak budzić strach, bez uzyskania wiedzy na temat tego, co ów strach wywołuje? Muszę was zmartwić – odpowiedź na to pytanie jest tak samo trudna, jak próba uzyskania odpowiedzi na to, czy jesteśmy sami we wszechświecie, jak powstał człowiek czy co było powodem wymarcia dinozaurów. Jednym słowem – uzyskanie satysfakcjonującej odpowiedzi jest niemożliwe.

Jedni ludzie boją się wirusów, drudzy duchów, jeszcze inni pajaków, węży, psów, kleszczy, chorób, płaczących dzieci czy czarnej wołgi. Każdy człowiek ma różne lęki, różne źródła strachu, różne powody do obaw. Najlepiej więc od razu wykluczmy, że uda nam się wystraszyć każdego tym, co napiszemy. Nie ma takiej możliwości. Zawsze będzie ktoś niezadowolony z naszych starań, kto parsknie pod nosem i powie – „*słabo, to nawet nie było straszne*”. Pogódźmy się z tym. To ułatwi nam pracę. Jednak możemy osiągnąć zadowalające rezultaty, wykorzystując sprawdzone przeze mnie techniki, które przedstawiam poniżej. Wiedząc, że nie zdobędziemy klucza do źródła strachu naszych czytelników czy słuchaczy, musimy zdobyć do niego wytrych, który jest narzędziem uniwersalnym i we wprawnych rękach potrafi otworzyć większość zamkniętych drzwi. A jeżeli wytrych nie pomoże, użyjemy wtedy łomu lub tarana, o których napiszę więcej w dalszej części tego artykułu.

Cóż zatem będzie tym wytrychem, tym naszym „uniwersalnym lękiem”?

W mojej opinii, najsilniejszym katalizatorem lęku jest zawsze nieznanne. To właśnie *nieznane* działa na wyobraźnię odbiorcy lepiej niż sfera żądnych krwi potworów, która za chwilę ma rozszarpać na strzępy bohatera. Większy niepokój odczuwamy, kiedy zło jest ukryte, zbliża się nieuchronnie, a poprzedzają je subtelne znaki i omeny, niż kiedy potwór wypada z ciemności, szczerząc ociekające śliną kły.

Pierwszą zasadą, którą warto zapamiętać, jest zatem ta, która mówi: **nie stosujmy bezpośrednich opisów**, które ujawniają całą istotę zła. Nie odsłaniajmy wszystkich kart

w jednej chwili. Róbnmy to powoli, krok po kroczku, stopniując napięcie. Może niech bohater opowieści dostrzeże coś ukradkiem oka, usłyszy dźwięk w ciemnym pokoju, a kiedy zajrzy tam i zapali światło, okaże się, że pokój jest pusty? Może kruk – ten posłaniec zła – przysiądzie przez chwilę na parapecie, wykracze imię bohatera i odleci z furkotem skrzydeł? Może coś skapnie na czoło bohatera piszącego przy biurku, przetrze on dłonią włosy i zobaczy, że palce ubrudzone ma krwią, ale kiedy uniesie głowę, nie zobaczy jej źródła? Technik straszenia związanych ze stopniowaniem napięcia istnieje naprawdę dużo – mniej lub bardziej skutecznych. Każdy znajdzie swoją własną metodę, która przypadnie mu do gustu. Najważniejsze jest jednak to, byśmy w swoich opisach nie pokazali za wiele na raz, nie ujawnili natury zagrożenia za szybko. Niech skrywa się ono w ciemnościach, za maską, czarną kotarą, gdzieś pod wodą. Niech nikt do samego końca nie wie, czym lub kim jest owo zło. Niech odbiorca sam snuje przypuszczenia: to demon, to zmutowany potwór, mściwy duch, psychopatyczny seryjny morderca. Niech się domyśla prawdy, niech się zastanawia, angażuje swój intelekt, swoją wyobraźnię, ale do końca nie może mieć pewności! To żelazna reguła. Zasada w tym przypadku jest wyjątkowo prosta – im mniej zdradzisz, tym więcej pozostawisz dla wyobraźni czytelnika. A w przypadku opowieści grozy to właśnie wyobraźnia odbiorcy jest największym sprzymierzeńcem. Dopieść ją, doceń, daj jej pożywkę, a będzie twoja. To, moim zdaniem, pierwszy ząbek naszego wytrychu – *nieznane*.

Teraz przechodzimy do drugiego mechanizmu budowania naszego narzędzia do emocji odbiorców. Do czegoś, co ja nazywam „analogią lęków”.

Nim weźmiesz się za pisanie, zgaś światło w mieszkaniu, usiądź w ciszy i spokoju, zamknij oczy i przeprowadź małe, proste ćwiczenie.

Zacznij od siebie. Pomyśl, czego boisz się najbardziej? Zastanów, co budzi twoje lęki? Strach o to, że coś spotka twoich bliskich: członków rodziny, przyjaciół – że zginą, zachorują, znikną bez śladu? A może boisz się o siebie: że zostaniesz kaleką, stracisz pracę, pieniądze? Pomyśl, jakie zwierzęta budzą twoją odrazę i dlaczego? Zapisz to sobie, zapamiętaj. A potem postaw się „w skórze” kogoś bliskiego, spójrz na tę osobę przez pryzmat tego, co o niej wiesz. Czego się boi? Gdzie tkwią jej lęki? Jakie sytuacje, w których widziałeś tę osobę, wzbudzały jej negatywne emocje? Powtórz tę prostą analizę dla kilku znanych ci osób. Nie spisuj jednak tych lęków, personalizując je imiennie (np. Jola boi się pajaków, Staszek nie znosi widoku krwi), lecz grupując w źródła strachu i odrazy (pajaki, krew). W wyniku przeprowadzonego „zabiegu” pojawi się lista lęków, która może stanowić doskonały materiał wyjściowy do pracy nad opowieścią. Jeśli ma być to dzieło literackie, lista stanowić może ciekawą paletę wydarzeń do scenariusza. Jeśli tworzysz sesję rpg – masz wręcz gotowe sceny, które na pewno zadziałają na graczy.



Opracowawszy tę listę, stworzyłeś już swój drugi ząbek do wytrychu. Właśnie w te „odkryte” emocje celuj swoją opowieść, wokół nich skupiaj swoją fabułę. Jeśli większość boi się starości, niech bohater twojej opowieści nagle zacznie się starzeć z niewiadomych przyczyn. Może to klątwa, a może działanie czegoś innego, nieznanego – nie wiadomo, ale szybsze starzenie staje się realnym zagrożeniem i medycyna jest bezradna. Masz już swój motyw. Wiesz, co powinno wzbudzić lęk odbiorcy. Takie zastosowanie „analogii lęku” daje sporą szansę na to, że odkryjesz „źródło strachu”, które okaże się również pożywką dla wyobraźni odbiorców. A wtedy będą uczestniczyć w twojej opowieści z dużo większym zaangażowaniem. Oczywiście pewności nigdy nie masz, lecz ten lęk o końcowy efekt pracy powinien ci towarzyszyć w całym procesie twórczym i dodawać motywacji.

Kolejnym ząbkem naszego wytrychu do emocji czytelnika jest **ułatwienie mu wczucia się w opowieść**. Różne szkolenia na temat technik sprzedaży uczą, że rozmowy prowadzić powinno się w ten sposób, aby pojawiało się w nich możliwie jak najwięcej słów, które chcemy usłyszeć na samym końcu – na przykład: „tak”. W podobny do tej techniki sposób możemy spróbować zburzyć dystans pomiędzy tym, co stworzyliśmy, a czytelnikiem. Najprostszą metodą na to jest używanie pierwszej osoby w naszych opisach. Pozwala to zbudować silniejszą relację odbiorcy z bohaterem, ułatwia mu „wejście w jego skórę”, pograżenie się w tym, co dzieje się w naszej historii. Który fragment lepiej oddziałuje na wyobraźnię? „Szedłem korytarzem wsłuchując się w złowieszczą ciszę pogrążonego w ciemności domu. Serce biło mi szybko, a w żołądku czułem rozrastającą się, włochatą kulę strachu. Coś tam było! Byłem tego pewien! Czaiło się w czeluściach budynku, w którymś z pustych pokoi. Nie widziałem tego ani nie słyszałem, lecz czułem. Tak właśnie, czułem, że tam jest! Przyczajone. Ukryte za tymi odrapanymi drzwiami. Z wahaniem położyłem dłoń na oblażącym farbą drewnie. Nasłuchiwałem odgłosów z salonu, który był po drugiej stronie. Dłoń drżała mi lekko, kiedy przełamałem się w sobie i pchnąłem drzwi.”

I ten sam opis w trzeciej osobie.

„Szedł korytarzem, wsłuchując się złowieszczą ciszę pogrążonego w ciemności domu. Serce biło mu szybko, a w żołądku czuł rozrastającą się, włochatą kulę strachu. Coś tam było! Był tego pewien! Czaiło się w czeluściach budynku, w którymś z pustych pokoi. Nie widział tego ani nie słyszał, lecz czuł. Tak właśnie, czuł, że tam jest! Przyczajone. Ukryte za tymi odrapanymi drzwiami. z wahaniem położył dłoń na oblażącym farbą drewnie. Nasłuchiwał odgłosów z salonu, który był po drugiej stronie. Dłoń drżała mu lekko, kiedy przełamał się w sobie i pchnął drzwi.”

Który budzi więcej emocji? Moim zdaniem pierwszy, ponieważ jest bardziej bezpośredni, zmusza nas niemal do obserwowania wydarzeń z perspektywy tego bohatera.

Ostrzegam jednak, że nie jest to technika łatwa, bowiem nie zawsze odbiorca może zgadzać się z zachowaniem czy postawami bohatera, a wtedy „ja” staje się powodem podświadomej niechęci do tego, co próbujemy przekazać i może przynieść nam więcej szkody niż pożytku. Niemniej jednak przekaz w pierwszej osobie wart jest rozważenia.

Następną techniką, którą sam często stosuję, jest „sensoryczność”. Cóż takiego mam na myśli? Już wyjaśniam.

Wiemy, że jako gatunek świat postrzegamy za pomocą naszych zmysłów, zatem nasza percepcja ograniczona jest do pięciu źródeł informacji: wzroku, zapachu, dotyku, smaku i słuchu. A my, twórcy czegoś, co ma wzbudzać lęk w odbiorcy, powinniśmy zdawać sobie sprawę z tego, jak ważnym elementem dobrej opowieści grozy są właśnie nasze zmysły. Znow czas na małe wyjaśnienie.

Ludzie nie mają jednego zmysłu dominującego. Dla jednych najważniejszy jest wzrok, dla innych słuch, jeszcze dla innych dotyk lub węch. Ale to nam akurat nie przeszkadza, chociaż też nie pomaga, bo stanowi kolejny element układanki – jak znaleźć klucz do strachu naszego odbiorcy? Jak spowodować, by jego wyobraźnia popłynęła podczas naszych opisów tam, gdzie chcemy? Przed nami kolejne zadanie, niezbyt łatwe, które można ponownie poprzedzić podobnym do wcześniejszego ćwiczeniem.

Znow zajrzyjmy „w głąb” siebie samych. Pomyślmy o jakiś nieprzyjemnych doznaniach, których doświadczyliśmy. Paskudny smak? Oparzenie? Choroba? Zgubienie w lesie nocą? Znajdźmy punkt zaczepienia i przypomnijmy sobie, jak się wtedy czuliśmy. Potem poprośmy bliskie nam osoby – przyjaciół, członków rodziny, by opisały nam nieprzyjemne doznanie ze swojego życia. Niech opowiedzą o nim swobodnie. Uważnie słuchajmy. Zobaczmy, jakich słów używają nasi „respondenci”, do jakich doznań się odwołują. Szukajmy słów kluczy: „było mi zimno”, „czułem, jak moje zęby szarpie potworny ból”. To są nasze kolejne części składowe do wytrychów. Kiedy poznamy, jak ludzie opisują swoje nieprzyjemne doznania, jakimi zmysłami się kierują, do jakich zmysłów się odwołują, będziemy wiedzieć, jak powinny wyglądać nasze opisy. Dzięki tej dość prostej metodzie mamy sporą szansę spowodować, że nasz opis trafi w odczucia innych ludzi, sięgnie do ich zmysłów, a przez to zyska na wiarygodności, zwiększy szansę na wzbudzenie emocji podczas czytania.

Opisując przeżycia naszych bohaterów, nie zapominajmy o tym, by odnosić się do ludzkich zmysłów. Nie tylko do wzroku, ale również do węchu czy smaku. Możemy z dużą dozą pewności założyć, że każdy z naszych odbiorców miał jakieś nieprzyjemne doznania w tym zakresie. Kiedy napiszemy, że po „otwarciu krypty dało się wyczuć smród trupa” – możemy nie trafić w pakiet doświadczeń naszego czytelnika. Nie każdy miał zapewne

wątpliwą przyjemność otwierać starą kryptę, prawda? Ale jeśli napiszemy, że „po otwarciu krypty uderzył w nich odór, przypominający smród nieświeżego kurczaka, który pozostawił zgniły posmak w ustach”, opis będzie bardziej sugestywny. Nie dlatego, że użyto w nim więcej przymiotników, lecz dlatego, że odwołano się do czegoś, czego odbiorca miał szansę doświadczyć. Czytając wasze słowa, jego umysł od razu sięga do zaszklanych wspomnień i istnieje szansa, że wyobraźnia spleta mu nieładnego psikusa – przed oczami stanie widok nieświeżej porcji mięsa, przypomni się towarzyszący temu zapaszek i ogólne wrażenia. To działa lepiej niż nawet najciekawsze porównania rodem z powieści Lovecrafta – „plugawy”, „złowieszczy”, czy „mroczny”.

A skoro znaleźliśmy się przy plugawych i paskudnych opisach, to chyba czas sięgnąć po coś, o czym wspomniałem na początku moich męczących wynurzeń. Po technikę „łomu” czy wręcz „tarana”. Sięgamy po nią, kiedy mamy powody przypuszczać, że wszystkie subtelne metody zawodzą, lub wtedy, kiedy chcemy naprawdę zaszokować odbiorcę. Ja staram się robić to niezbyt często. Bo z opisami tego typu jest jak z przemocą w filmach – to, co kiedyś było szokujące, z czasem traci na efektywności i musimy przekroczyć kolejną granicę. A przekraczanie granic nie zawsze jest dobre. Warto o tym pamiętać.

Wracajmy jednak do naszego łomu. Jego metoda jest prosta jak konstrukcja i zastosowanie tego narzędzia. Należy uderzyć, nie siląc się na subtelność, elegancję czy dobry smak. Technikę łomu lub tarana porównać można do efektów „gore” w filmie. Skończył się strach, zaczęła makabra i niesmak. Waszym celem jest nie tyle wywołanie lęku, lecz obrzydzenia i niesmaku.

Stosując swój „łom” sięgamy po najniższe poziomy estetyki: krew, rozbryzgi krwi, dużo krwi, jeszcze więcej krwi, opisy rozrywanych ciał, wnętrzności, jeszcze więcej płynów ustrojowych i ropy. Sięgamy po arsenał najobrzydliwszych własnych doznań, takich, w których nie panowaliśmy nad naszą fizjologią, nie daliśmy rady powstrzymać żołądka na miejscu. Odór ekskrementów, larwy wijące się na przegniłym mięsie, gołąb rozjechany przez samochód – proszę bardzo, to wasze inspiracje. Pomocne mogą być też obejrzone filmy, przeczytane książki, gry komputerowe, w których widzieliście jakieś makabryczne sceny. Wszystko, co pomoże wam zwizualizować w waszych głowach okropną scenę i przelać ją na papier. W konstruowaniu takich opisów nie sięgamy już do emocji bohatera. One przestają się w tym momencie liczyć. W chwili, kiedy decydujemy się użyć łomu zamiast wytrychu, zapominamy o tym, co czuje lub myśli bohater. W takich chwilach, kiedy dzieje się coś tak okropnego, że aby to opisać, sięgamy po „najcięższy arsenał”, wszystko, co subtelniejsze w tym momencie traci na znaczeniu. Sterroryzowany widokiem rozszarpywanego przyjaciela bohater nie czuje zbyt wiele poza obrzydzeniem i szokiem.

Użycie „łomu” ma jedno zadanie – zniszczyć „obronę” odbiorcy. Zaserwować mu krwawą, paskudną kąpiel. Zaszokować. To doskonale zakończenie wielu opowieści. Doskonale narzędzie do wprowadzenia momentu zwrotnego w fabule. Ale należy go używać z rozwagą i niezbyt często. Najlepiej w połączeniu z ostatnią techniką, o której chciałbym napisać – „wyciszeniem”.

Wyciszenie, jak to nazywam, to moment w którym zwalniamy tempo straszenia. Powraca normalność. Zapala się światło, które wcześniej nagle zgasło. Dziwne dźwięki, które słyszał nasz bohater, okazują się być czymś zwyczajnym, co w danych okolicznościach wydawało się być czymś nienaturalnym – upiorny płacz dziecka dochodzący z piwnicy w nowo kupionym domu okazał się miauczeniem kociaka, który jakimś cudem znalazł się w tym domu. Jednym słowem – wszystko wydaje się być tylko wytworem rozbudzonej wyobraźni bohatera. Niech wróci on do domu, uspokoi emocje, napije się drinka, położy spać – a wtedy – bach! – uderz po raz drugi, tym razem nie przebijając w środkach. Już nie szukaj drogi do strachu za pomocą wytrycha, lecz użyj łomu. To dobre miejsce na atak tego złego – nawiedzenie wejdzie w fazę finalną, morderca wyjdzie z ciemnego kąta, nad zasypiającym bohaterem pojawi się unoszący tuż nad łóżkiem demon. Wszystkie chwytaki dozwolone! Pamiętaj jednak, że kiedy pokażesz oblicze zła, przeprowadzisz atak, wytrych przestanie już być potrzebny.

Na zakończenie chciałbym dodać jeszcze jedno. Proszę nie zamykać się na moje „porady”, nie traktować ich jako wykładni. To są moje metody, wypracowane przez te kilkanaście lat zabawy w horrory. Myślę, że każdy z pisarzy, mistrzów gry czy osób, które w jakiś sposób tworzą własne opowieści grozy, z powodzeniem odkryje swoje własne ścieżki, swoje własne sposoby, którymi może nastraszyć odbiorcę.

Bo najważniejsze jest w tym artykule to, aby zapamiętać, że każdy człowiek jest inny, każdy boi się czegoś innego, inaczej reaguje, inaczej czuje i myśli. Zatem nie da się każdego straszyć w ten sam sposób. Straszenie to, jak się okazuje, sprawa niezwykle indywidualna i niezbyt prosta.

Niemniej jednak liczę na to, że moje wskazówki w jakiś sposób wam w tym straszeniu pomogą.

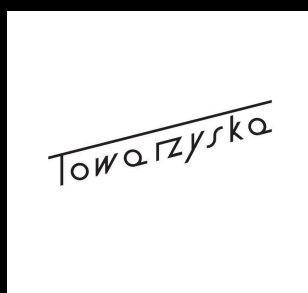
Dziękuję za cierpliwość i powodzenia  
Arkadiusz „Armiel” Mielczarek

# PARTNERZY



## STRASZNE-HISTORIE.PL

ODWAŻYSZ SIĘ?!







Jeśli  
piszesz  
horro-  
ry,  
wiedz,  
że HIS-  
TERIA  
się  
tobą  
intere-  
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.  
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

[magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

